

Edith Nesbit

Historia amuletu

The Story of the Amulet
Tłumaczyła Irena Tuwim

ROZDZIAŁ I PIASKOLUDEK

Było sobie kiedyś pięcioro dzieci, które spędzały wakacje letnie w białym domku ulokowanym pomyślnie między starym kamieniołomem a złożami wapiennymi. Pewnego dnia dzieciom poszczęściło się, gdyż znalazły w kamieniołomie dziwne stworzonko. Miało ono oczka osadzone na długich szypułkach jak oczka ślimaka i mogło poruszać nimi wciągając je i wysuwając niczym teleskopy. Uszka miał ów stwór podobne do uszu nietoperza, pękaty tułów był w kształcie pająka, tyle że pokryty gęstym, miękkim futerkiem, a dłonie i stopy jak u małpki. Powiedział dzieciom — których imiona brzmiały: Cyryl, Robert, Antea i Janeczka — że jest Piaskoludkiem, czyli piaskowym duszkiem. Był bardzo, bardzo stary, gdyż urodził się prawie jednocześnie z powstaniem świata. Leżał zagrzebany w piasku od tysięcy lat. Zachował jednak swoją duszkowatość, co polegało częściowo na tym, że stworek mógł obdarować każdego tym, czego sobie ten ktoś życzył. Jak wiadomo, duszki i wróżki zawsze to potrafiły. Cyryl, Robert, Antea i Janeczka przekonali się, że ich życzenia się spełniają, ale jakoś inaczej: bo nigdy nie przychodziły im na myśl odpowiednie życzenia, więc czasami kończyło się to wszystko bardzo dziwnie. Wreszcie nie przemyślane życzenia doprowadziły do tego, że dzieci znalazły się „w paskudnym położeniu”, jak to określił Robert, a Piaskoludek zgodził się pomóc im w zamian za obietnicę, że nigdy, ale to nigdy nie będą zwracali się do niego z nowymi życzeniami i nikomu nic o nim nie powiedzą. Piaskoludek bowiem nie chciał, aby ktokolwiek zwracał mu głowę jakimiś życzeniami. W chwili rozstania Janeczka powiedziała grzecznie:

— Chciałabym, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

A Piaskoludek, wzruszony taką czułością, zgodził się wypełnić to życzenie. Książka o tym wszystkim nazywa się „Pięcioro dzieci i »coś« „, a kończy się w sposób zupełnie nudny słowami:

„Piaskoludka, rzecz jasna, dzieci jeszcze spotkały, ale już nie w kamieniołomie, ale w zupełnie, zupełnie innym miejscu. Było to w... Nie, nie powiem już ani słowa”.

Nie mogłam wtedy powiedzieć ani słowa więcej, bo nie wiedziałam jeszcze dokładnie, gdzie i kiedy dzieci spotkają ponownie Piaskoludka. Wiedziałam, naturalnie, że go spotkają, bo stworek zawsze dotrzymywał słowa i jeśli powiedział, że coś się zdarzy, to z pewnością wszystko to się zdarzało. Różnił się tym bardzo od ludzi, którzy zapowiadają nam, jaka będzie pogoda w najbliższy czwartek np. w Londynie czy nad morzem!

Wakacje letnie, odkąd znaleziono Piaskoludka i życzenia spełniały się jedno po drugim, były rozkosznymi wakacjami na wsi, toteż dzieci marzyły o jeszcze jednych podobnych następnego lata. Wakacje zimowe upamiętniły się nadzwyczajnymi przygodami Feniksa i Dywana*, a utrata tych dwóch skarbów pogrążyłaby dzieci w zupełnej rozpacz, gdyby nie oczekiwanie lata na wsi. W przekonaniu dzieci, zresztą dość słusznym, świat był pełen cudownych rzeczy, a same dzieci należały do tych, którym takie nadzwyczajności się zdarzają. Czekały więc niecierpliwie letnich wakacji, ale kiedy wreszcie nadeszły, okazało się, że były inne od tego, na co czekały, i — po prostu okropne. Ojciec musiał jechać do Mandzurii, aby przekazywać wiadomości wojenne* nudnej gazecie, dla której pracował, a która nazywała się „Goniec Codzienny” czy też coś w tym rodzaju. Mama zaś, biedna,

* „Feniks Dywan” — to dalszy ciąg przygód „Pięciorga dzieci”.

* Mowa o wojnie rosyjsko-japońskiej w r. 1904–5

ukochana mama, ciężko się rozchorowała i musiała wyjechać na Maderę*. A Baranek — to znaczy mały braciszek — był razem z mamą. Ciocia Emma, czyli siostra mamy, wyszła nagle za mąż za stryja Reginalda, brata ojca, i oboje pojechali do Chin, które są tak strasznie daleko, że nie można było spodziewać się zaproszenia na wakacje, choćby nawet chodziło o ulubioną ciocię i ulubionego stryja. Dzieci zostały więc pod opieką starej niani, mieszkającej na Fitzroy Street, czyli na ulicy Fitzroy, niedaleko Muzeum Brytyjskiego*. Niania była zawsze bardzo dobra dla dzieci i właściwie psuła je w sposób nieodpowiedni i niewskazany nawet dla dorosłych; mimo to czwórka dzieci czuła się okropnie, kiedy odjechała dorożka zabierając ojca, walizy, futra, koce i aluminiowy sprzęt polowy. Najbardziej mężne serca nie wytrzymały i dziewczynki po prostu rozbeczały się, gdy tymczasem chłopcy spoglądali posepnie przez okna salonu udając, że żaden chłopiec nie beczy w takiej sytuacji. Pewnie zauważyliście już, że dzieci zdołały powstrzymać się od płaczu aż do wyjazdu ojca. Wiedziały przecież, że ojciec i bez tego ma dosyć kłopotów. Kiedy jednak odjechał, wszyscy poczuli się tak, jakby się powstrzymywali od płaczu przez całe życie, ale teraz nie mogą już wytrzymać. I zaczęły płakać.

Podwieczorek trochę ich pocieszył, bo były krewetki i zielona sałata, ułożona na półmisku w sposób, jakiego dzieci nigdy dotąd nie widziały.

Mimo to podwieczorek upłynął w ponurym nastroju.

Po herbacie Antea poszła do pokoju ojca i kiedy zobaczyła, jak bardzo go tam nie ma, i uprzytomniła sobie, że z każdą chwilą ojciec jest coraz dalej od niej, a coraz bliżej armat Japończyków i Rosjan, rozplakała się jeszcze bardziej. Następnie pomyślała o mamie, chorej i samotnej, na próżno być może teraz właśnie wyczekującej, by mała córeczka skropiła jej głowę wodą kolońską i zaparzyła herbatę; wtedy rozplakała się na dobre.

Potem przypomniała sobie, jak mama w przeddzień wyjazdu mówiła, że Antea jest najstarsza z rodzeństwa i powinna opiekować się resztą dzieci.

Wobec tego przestała płakać i zaczęła myśleć. Myślała tak długo, jak tylko mogła, i po namyśle umyła twarz, przczesała włosy i zeszła na dół starając się wyglądać jak ktoś, kto nigdy nawet nie słyszał o płaczu.

W salonie panował nastrój grobowy, czego nie rozpraszały wysiłki Roberta, który dla zabicia czasu ciągnął Jankę za włosy, niezbyt mocno, ale dokuczliwie.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — zawołała Antea. — Urządzmy palawer.

Było to słowo zapamiętane z owego nieszczęsnego dnia, kiedy Cyryl wyraził życzenie, aby w Anglii znaleźli się Czerwonoskórzy — no i znaleźli się*. Słowo przywiodło wspomnienia zeszłorocznych wakacji letnich i wszyscy aż jęknęli z żalu. Pomyśleli o białym domku ze ślicznym ogrodem, pełnym róż, astrów, stokrotek i pierzastego asparagusa; o dzikiej puszczy, którą ktoś chciał przerobić na kwitnący sad, a która teraz, jak powiedział ojciec, wyglądała niczym „pięć morgów chwastów nawiedzonych przez widma karłowatych wiśni”. Pomyśleli o widoku ze wzgórza na równinę, gdzie złoża wapienne wyglądały jak pałace Aladyna w słońcu; o ulubionym kamieniołomie, zarosłym trawą i polnymi kwiatami, o małych otworkach w zboczu, które były drzwiczkami frontowymi maleńkich domków maleńkich skalnych jaskółek. Pomyśleli o cudownie świeżym powietrzu, pachnącym tymiankiem i polnymi różami, o zapachu dymów snujących się w dolinie — a potem rozejrzeli się po saloniku starej niani i Janeczka powiedziała:

— Ach, jakie to wszystko inne!

* Madera — jedna z grupy wysp portugalskich o łagodnym klimacie; położona na Atlantyku, przy zachodnim wybrzeżu Afryki.

* Muzeum Brytyjskie — jedno z najslawniejszych i największych muzeów na świecie. Znajdują się tam bogate zbiory starożytne i ogromna biblioteka.

* Patrz: „Pięcioro dzieci i coś”.

I naprawdę wszystko było tu inne. Niania odnajmowała pokoje aż do czasu, kiedy ojciec umieścił pod jej opieką dzieci. Toteż pokoje w jej mieszkaniu były urządzone jak „pokoje do wynajęcia”. Otóż z „pokojami do wynajęcia” jest tak, że nikt ich nie urządza z myślą o zamieszkanu tam samemu. W saloniku niani wisały ciężkie, ciemnoczerwone zasłony — na tym kolorze krew nie zostawia śladów — a firanki były ze sztucznych koronek. Na podłodze leżał żółto–fioletowy dywan z wyraźnymi śladami szarych i brunatnych plam. Przy kominku stały szczytce i pogrzbacz. Bardzo błyszcząca, mahoniowa szafa miała zepsuty zamek, krzesła było za dużo, a wszystkie twarde i przykryte pokrowcami, które wciąż się zsuwały. Na stole leżała serweta okropnego zielonego koloru z żółtym szlaczkiem. Nad kominkiem wisiało lustro, w którym wyglądało się o wiele brzydziej niż naprawdę, choćby nawet i tak było się dostatecznie brzydkim. Na półeczce kominka, obitej brązowym pluszem, stał wstrętny zegar podobny do czarnego, marmurowego grobowca. Był też grobowo milczący, bo już od dawna oduczył się tykać. Z obu stron zegara znajdowały się malowane szklane wazy, w których nigdy nie było kwiatów, malowany bębenek, w który nikt nigdy nie uderzał, a wreszcie malowana, drewniana podstawka, na której nic nie stało.

W pokoju znajdowały się tylko dwie książki: stary podręcznik historii starożytnej i jakiś oprawny rocznik ilustrowanego czasopisma.

Zresztą trudno się wprost rozwozić nad tym smutnym obrazem. Było tu naprawdę, jak powiedziała Janeczka, zupełnie inaczej.

— Urządźmy palawer — powtórzyła Antea.

— A o czym? — spytał ziewając Cyryl.

— Nie ma w ogóle nad czym się naradzać — powiedział Robert kopiąc ze złością nogę stołu.

— Wcale mi się nie chce bawić — powiedziała Janeczka ponurym tonem.

Antea z wielkim wysiłkiem starała się nie obrazić. Jakoś to jej się udało.

— Słuchajcie — odparła — nie myślcie, że chcę wam prawić kazania czy w ogóle mądrzyć się. Ale chcę, jak powiada tatuś, zdać sobie sprawę z sytuacji. Zgadzaście się?

— Jedź dalej — odezwał się bez zapału Cyryl.

— Więc dobrze. Wszyscy wiemy, że przysłano nas tutaj, bo niania nie może opuścić swojego domu z powodu tego biednego uczonego pana na piąterku. A znów tatuś nikomu innemu nie mógł nas oddać pod opiekę, bo wiecie przecież, jak dużo pieniędzy będzie kosztowała kuracja mamy na Maderze.

Janka żałośnie pociągnęła nosem.

— Wiem, wiem — powiedziała z pośpiechem Antea — ale nie myślmy teraz o tym, jak tu jest okropnie. Chcę powiedzieć, że nie możemy nic robić, co by dużo kosztowało, ale musimy coś robić. A wiem, że jest mnóstwo rzeczy, które można zobaczyć w Londynie bez płacenia, i pomyślałam, że powinniśmy je obejrzeć. Jesteśmy już dosyć na to dorośli, a nie mamy z sobą Baranka...

Janeczka pociągnęła nosem jeszcze głośniejszym niż przedtem.

— Chcę powiedzieć, że nikt nie może zabronić nam wyjść, zasłaniając się naszym kochanym maleństwem. A myślę, że powinniśmy wytłumaczyć niani, że jesteśmy już całkiem dorośli i że może pozwolić nam chodzić wszędzie samym. Bo inaczej nie będzie żadnej zabawy. Proponuję, żebyśmy obejrzeli wszystko, co można, i na początek poprosili nianię, żeby dała nam trochę chleba, to pójdziemy do najbliższego parku. Są tam kaczki, więc możemy je karmić. Tylko niania musi nas puścić samych.

— Niech żyje wolność! — zawołał Robert. — Ale niania nas nie puści.

— Owszem, puści — wtrąciła niespodziewanie Janeczka. — Myślałam o tym jeszcze dziś rano, spytałam tatusia, i tatuś powiedział, że dobrze. Powiedział także niani, że możemy wychodzić, tylko musimy zawsze uprzedzić ją, dokąd chcemy pójść.

— Niech żyje mądra Janeczka! — zawołał Cyryl, przestając rozpaczliwie ziewać. — W takim razie chodźmy.

Poszli więc, a stara niania prosiła ich tylko, aby uważali przy przechodzeniu przez ulice i zwracali się o pomoc w razie potrzeby do policjanta. Ale dzieci były przyzwyczajone do ulicznych skrzyżowań, gdyż mieszkały w ruchliwej dzielnicy i często chodziły ulicą, którą w obydwie strony o każdej porze dnia i nocy pędziły po wariacku tramwaje, jakby miały lada chwila na kogoś najechać.

Dzieci obiecały być w domu przed zapadnięciem zmroku, ale był lipiec, więc ściemniało się bardzo późno, znacznie później, niż gdy przychodziła pora kładzenia się spać.

Ruszyły w stronę parku, z kieszeniami pełnymi kawałków i skórek chleba dla kaczek. Wyruszyły do parku, powtarzam, ale wcale tam nie dotarły.

Między ulicą, gdzie mieszkała niania, i parkiem znajduje się bardzo dużo ulic, więc nawet jeżeli idzie się prostą drogą, trzeba minąć mnóstwo sklepów, przed którymi trudno się po prostu nie zatrzymać. Dzieci przystawały przed wielu sklepami, oglądały w witrynach złote koronki, paciorki, obrazy, kosztowności, suknie, kapelusze, ryby i ostrygi, a ich smutek nie był już tak nie do zniesienia jak w saloniku niani na Fitzroy Street pod numerem 300.

Wreszcie Robert, którego wybrano na kapitana (bo dziewczynki sądziły, że tak będzie dobrze dla niego, i Robert też tak sądził, a Cyryl oczywiście nie mógł głosować przeciw, bo wyglądałoby to na zwyczajną zazdrość), otóż Robert przypadkiem skrzył i zaprowadził ich na małą uliczkę, gdzie były najbardziej interesujące sklepy, w których sprzedawano różne żywe stworzenia. W jednej witrynie pełno było klatek, a w klatkach pełno prześlicznych ptaków. Dzieci oglądały je z zachwytem, aż przypomniały sobie, jak kiedyś wyraziły życzenie, aby mieć skrzydła; i miały skrzydła*. Przypomniawszy to sobie, poczuły, jak nieszczęśliwe muszą być wszystkie skrzydlate stworzenia, jeżeli są zamknięte w klatce i nie mogą latać.

— To musi być okropne, kiedy się jest ptakiem w klatce — powiedział Cyryl. — Chodźmy!

Poszli więc dalej, a Cyryl zaczął obmyślać plan zrobienia majątku na poszukiwaniu złota w Klondike, a potem wykupienia wszystkich ptaków w klatkach na całym świecie i puszczenia ich na wolność. Potem zobaczyli sklep, w którym sprzedawano koty. Ale koty były w klatkach i dzieci zaczęły marzyć, żeby ktoś kupił wszystkie koty i umieścił je na dywanikach przed kominkami, co jest właściwym miejscem dla kotów. Potem był sklep z psami, ale ten widok także nie był przyjemny, bo wszystkie psy były na łańcuchach albo w klatkach, i wszystkie, duże i małe, spoglądały na czworo dzieci smutnym, tęsknym spojrzeniem i zachęcająco wymachiwały ogonami, jakby chciały powiedzieć: „Kupcie mnie! Kupcie mnie i weźcie z sobą na spacer! Ach, kupcie mnie i moich biednych braci! Tak! tak! tak!” Psy skowytały mówiąc zupełnie wyraźnie „tak! tak! tak!” z wyjątkiem dużego teriera irlandzkiego, który warknął, kiedy Janeczka go pogłaskała.

„Wrrrr — zdawał się mówić patrząc na nich spod oka — wy mnie nie kupicie; i nikt mnie nie kupi, będę tu tkwił na łańcuchu aż do śmierci, i wszystko mi jedno, kiedy się to stanie”.

Nie jestem pewna, czy dzieci rozumiały to wszystko, ale kiedyś były w oblężonym zamku*, wiedziały więc, jakie to okropne być zamkniętym, kiedy się chce wyjść.

Naturalnie żadnego psa nie mogły kupić. Spytały nawet o cenę najmniejszego, ale kosztował 65 funtów, bo był to karłowaty spaniel japoński, jakiego kiedyś można było zobaczyć na portrecie królowej, kiedy była jeszcze księżną.

Dzieci jednak pomyślały sobie, że jeżeli najmniejszy pies kosztuje tyle pieniędzy, to za największego na pewno żądać będą tysiący — poszły więc dalej.

* To także zostało opisane w książce „Pięcioro dzieci i coś”.

* Znowu przygoda z „Pięcioro dzieci i coś”.

Nie zatrzymywały się już przy żadnym sklepie z kotami, psami czy ptakami, ale mijały je, aż wreszcie doszły do sklepu, gdzie, jak się zdawało, sprzedawano wyłącznie stworzenia, którym było wszystko jedno, gdzie są — złote rybki, białe myszki, koniki morskie i inne stwory z akwarium, jaszczurki, żaby, jeże, żółwie, domowe króliki i świnki morskie. Przed tym sklepem dzieci przystanęły na dłużej, karmiły świnki morskie poprzez pręty klatek kawałeczkami chleba i zastanawiały się, czy można by trzymać rudawą parę królików w suterenie domu na Fitzroy Street.

— Zdaje mi się — powiedziała Janeczka — że niania tak bardzo by się nie sprzeciwiała. Króliki są często zupełnie oswojone. Myślę, że poznawałyby ją po głosie i chodziłyby za nią wszędzie.

— I dwadzieścia razy na dzień wpadałyby jej pod nogi — dodał Cyryl. — Kiedy właśnie wąż...

— Tu wcale nie ma węzów — wtrącił pośpiesznie Robert. — Nie mówię już o tym, że nigdy nie mogłem przyzwycząić się do węzów, sam nie wiem dlaczego.

— Robaki są też nieprzyjemne — powiedziała Antea. — Tak samo, jak węgorze i ślimaki. Pewnie dlatego, że nie lubi się stworzeń bez nóg.

— Papa mówi, że węże mają nogi schowane do środka — odezwał się Robert.

— Tak — odparła Antea — ale papa też mówi, że my mamy ogony schowane do środka; ani jedno, ani drugie nie jest prawdziwe. Nie cierpię stworzeń, które nie mają nóg.

— Jeszcze gorzej jest, kiedy ich mają za dużo — zdrygnęła się Janeczka. — Pomyśl o stonogach!

Dzieci stały na chodniku, zawadzały trochę przechodniom i zabijały czas rozmową. Cyryl opierał się łokciem o wierzch klatki, która zdawała się pusta, kiedy do niej zajrzeli, i starał się wzbudzić zainteresowanie w jeżu zwiniętym w kłębek, gdy nagle tuż obok niego rozległ się cichy, ledwo dosłyszalny głosik. Mówił cicho, ale najzupełniej zrozumiałe: nie trzeba było się głowić, bo mówił po angielsku:

— Kupcie mnie, proszę was, kupcie!

Cyryl odskoczył, jakby go ktoś uszczypnął.

— Wróć, wróć! — zawołał głosik wyraźniej, choć nadal cichutko. — Pochyl się i udawaj, że zawiązujesz sznurowadło; widzę, że jest rozwiązane jak zwykle.

Cyryl odruchowo usłuchał. Przyklęknął na jedno kolano na suchym, rozgrzanym i zakurczonym chodniku, zajrzał do wnętrza ciemnej klatki i zobaczył tam... Piaskoludka.

Wydawał się bardzo wychudzony w porównaniu z tym, jak wyglądał podczas ostatniego spotkania. Był brudny, zakurzony, sierść miał zaniedbaną. Skulił się, a jego długie, ślimacze oczka były całkowicie wciągnięte i ledwo je było widać.

— Słuchaj — rzekł Piaskoludek takim głosem, jakby miał się rozplakać lada chwila. — Nie przypuszczam, żeby typ, który prowadzi ten sklep, żądał za mnie dużo. Ugryzłem go kilka razy i starałem się wyglądać jak najzwyczajniej. Nie przyjrzał się ani razu moim prześlicznym oczom. Powiedz całej reszcie, że jestem tutaj, ale póki rozmawiam z tobą, niech przyglądają się tamtym zwyczajnym zwierzętom. Stwór w sklepie nie powinien domyślać się, że wam na mnie zależy, bo inaczej zażąda ceny, jakiej nie będziecie mogli zapłacić. Pamiętam, że zeszłego lata nigdy nie mieliście za dużo pieniędzy. Dobre to były czasy. Nie spodziewałem się, że będę się tak cieszył ze spotkania z wami. — W tym miejscu zaszlochał i wystrzelił jedno oczko, aby uronić łzę z dala od swej sierści. — Powiedz rodzeństwu, że jestem tutaj, a ja wytłumaczę wam dokładnie, co macie zrobić, aby mnie kupić.

Cyryl mocno zawiązał sznurowadło, wyprostował się i zwrócił do rodzeństwa stanowczym tonem.

— Słuchajcie — powiedział — ja wcale nie żartuję i odwołuję się do waszego honoru — podkreślił wiedząc, że odwołanie się do ich honoru nigdy nie jest daremne. — Nie patrzcie na

tę klatkę, patrzcie na białego szczura. Nie patrzcie na tę klatkę w żadnym razie, cokolwiek bym powiedział.

Dla pewności stanął sam przed klatką.

— Przygotujcie się teraz na wielką niespodziankę. Tam jest nasz stary przyjaciel — nie, nie wolno patrzeć! — tam jest Piaskoludek, nasz kochany Piaskoludek. I chce, żebyśmy go kupili. Mówi, żeby mu się nie przyglądać. Patrzcie na białego szczura i porachujcie, ile macie pieniędzy!

Wszyscy zachowali się jak należy. Wpatrywali się w białego szczura, aż ten stracił cierpliwość, usiadł na tylnych łapkach w odległym końcu klatki, przednimi zasłonił oczka i udawał, że czyści sobie pyszczek.

Cyryl znowu się nachylił udając, że zajęty jest drugim sznurowadłem, i czekał na dalsze wskazówki Piaskoludka.

— Wejdźcie do sklepu — powiedział Piaskoludek — i spytajcie o cenę rozmaitych innych stworzeń. A potem spytajcie się, ile kosztuje ta małpka, która zgubiła ogon, stara, wynędzniała małpka w trzeciej klatce od końca. Nie troszczcie się o moje uczucia, nazywajcie mnie wyleniałą małpką sam robiłem wszystko, żeby tak wyglądać. Nie myślę, że dużo za mnie zażąda, ugryzłem go jedenaście razy, od kiedy tu jestem, to znaczy od przedwczoraj. A jeżeli sklepikarz zażąda ceny, której nie możecie zapłacić, powiedzcie, że życycie sobie mieć te pieniądze.

— Ależ ty nie możesz spełniać naszych życzeń — odparł zdumiony Cyryl. — Obiecałem przecież nigdy cię o nic nie prosić.

— Nie bądź głupi! — zawołał Piaskoludek drżącym, ale przyjaznym głosem. — Sprawdź, ile macie razem pieniędzy, a potem zrób, jak ci mówię.

Cyryl wytłumaczył wszystko reszcie dzieci, wskazując palcem na białego szczura, jakby mówił tylko o nim, a przez ten czas Piaskoludek skulił się w kłębek i robił wszystko, aby wyglądać jak najmniej interesująco.

Po czym czworo dzieci weszło do sklepu.

— Ile kosztuje biały szczur? — spytał Cyryl.

— Osiem pensów.

— A świnki morskie?

— Od osiemnastu pensów do pięciu szylingów, zależnie od rasy.

— A jaszczurki?

— Dziewięć pensów sztuka.

— A żabki?

— Po cztery pensy. Słuchaj — zawołał nagle tłusty właściciel tych wszystkich stworzeń w klatkach głosem tak wściekłym, że cała czwórka cofnęła się gwałtownie — słuchaj! Mam już dosyć tego przewracania całego sklepu do góry nogami i dopytywania się o ceny wszystkich zwierząt, jakie tu tylko są! Jak chcesz coś kupić, mów od razu! Nigdy nie widziałem kogoś, kto za jednym zamachem chce kupić myszy, jaszczurki, żaby i świnki morskie. A jeśli nic nie kupujesz — zabieraj się!

— Chwileczkę, proszę pana — powiedział zrozpaczony Cyryl widząc, jak niezręcznie, choć w dobrej intencji wykonuje wskazówki Piaskoludka. — Proszę mi powiedzieć jeszcze tylko jedno: ile pan chce za tę wyleniałą starą małpę w trzeciej klatce od końca?

Sklepikarz dopatrzył się w tym nowej obrazie.

— Sam jesteś stara, wyleniała małpa! — krzyknął. — Zabieraj się! Już cię nie ma!

— Niech pan się nie gniewa — wtrąciła Janeczka tracąc głowę — czy pan nie widzi, że on to właśnie chce kupić?!

— Chce? Rzeczywiście? — drwił sklepikarz. Potem jednak podrapał się niepewnie za uchem, gdyż był doświadczonym kupcem i w tym, co usłyszał, wyczuł brzmienie prawdy.

Rękę miał obandażowaną i trzy minuty temu gotów był sprzedać „starą wylenią małą” za dziesięć szylingów. Teraz jednak...

— Uhm, chce, chce — powtórzył podejrzliwie — w takim razie cena jest dwa i pół funta. Drugiej takiej mały nie ma po tej stronie równika, a ona pochodzi z tamtej. To jest jedyna taka mała w całym Londynie. Powinna być w ZOO. Dwa i pół funta gotówką albo wynosić się!

Dzieci spojrzały po sobie. Razem miały dwadzieścia trzy szylingi i pięć pensów, co stanowiło ich majątek. A i to dzięki temu tylko, że ojciec dał im na pożegnanie funta do podziału.

— Mamy tylko dwadzieścia trzy szylingi i pięć pensów — odparł Cyryl potrząsając pieniędzmi w kieszeni.

— Dwadzieścia trzy groszaki i figa — mruknął sklepikarz, gdyż nie wierzył, by Cyryl mógł mieć tyle pieniędzy.

Zapadła złowroga cisza. Wtem Antea coś sobie przypomniała.

— Chciałabym mieć dwa i pół funta — wyrzekła.

— Ja też, panienko — odparł z drwiącą grzecznością sklepikarz. — Chciałbym, żeby panienska je miała.

Antea trzymała rękę na ladzie, gdy poczuła, że coś wślizguje się pod jej dłoń.

Podniosła rękę. Na ladzie leżało pięć błyszczących półfuntówek.

— Zdaje się, że akurat tyle mam — powiedziała Antea. — Proszę wziąć pieniądze i dać mi Piasko... dać mi małą.

Kupiec spojrział surowo na pieniądze, ale szybko wsunął je do kieszeni.

— Spodziewam się, że nie ma w tym oszustwa — mruknął wzruszając ramionami i znów podrapał się za uchem. — Muszę chyba ją sprzedać panience — dodał — chociaż wiem, że warta jest trzy razy tyle.

Podszedł opieszale do klatki, ostrożnie otworzył drzwiczki i gwałtownie chwycił Piaskoludka, który natychmiast mocno go ugryzł.

— Proszę sobie wziąć tego zwierzaka — rzekł sklepikarz ściskając Piaskoludka tak, że omal go nie udusił. — Ugryzł mnie aż do kości.

Otworzył szeroko oczy, gdy Antea wyciągnęła ręce po Piaskoludka.

— Proszę nie mieć do mnie pretensji, jeżeli całkiem rozkwasi twarz panience — powiedział, a Piaskoludek jednym susem przeniósł się z jego brudnych i twardych rąk w ręce Antei, które z pewnością nie były bardzo czyste, ale w każdym razie były miękkie i różowe, a trzymały go delikatnie.

— Ale nie możesz go tak nieść do domu — odezwał się Cyryl. — Za chwilę cały tłum będzie szedł za nami.

Istotnie przy drzwiach stało już dwóch gazeciarzy i policjant.

— Mogę wam dać tylko torbę papierową — powiedział sklepikarz. — Mam je dla żółwi.

Całe towarzystwo weszło znów do sklepu, a kupiec wytrzeszczył oczy, kiedy dał Antei największą torbę papierową, jaką miał, i zobaczył, że Piaskoludek ostrożnie wsuwa się do niej.

— No, no, dziwna rzecz — zauważył. — Chyba że już kiedyś spotkaliście tego zwierzaka.

— Tak — odparł uprzejmie Cyryl — to nasz stary znajomy.

— Gdybym o tym wiedział — warknął sklepikarz — zażądałbym dwa razy tyle. Zresztą — dodał, gdy dzieci były już za progiem — nie zrobiłem złego interesu, bo sam dałem za zwierzaka pięć szylingów. Tylko muszę doliczyć ukąszenia.

Dzieci, przejęte i wzruszone, zaniósł do domu Piaskoludka drżącego w papierowej torbie.

Kiedy już były w domu, Antea odchuchała go, wycesała i byłaby nad nim zapłakała, gdyby nie wspomnienie, że Piaskoludek nie znosi wilgoci.

Kiedy Piaskoludek odzyskał siły, powiedział:

— Przynieście mi piasku. Srebrzystego piasku z mydlarni. Tylko dużo.

Przynieśli piasek, wsypali do wanienki, umieścili tam Piaskoludka, a ten zaczął się tarzać, ocierać, otrząsać, szorować, aż wreszcie poczuł, że jest czysty i że jest mu dobrze.

Wtedy wykopał sobie dołek w piasku i zasnął.

Dzieci ukryły wanienkę pod łóżkiem i zjadły kolację. Niania przygotowała im wspaniałą kolację złożoną z chleba z masłem i smażonej cebuli. Bardzo się o nich troszczyła.

Kiedy Antea zbudziła się następnego ranka, Piaskoludek wtulał się między jej ramię i ramię Janki.

— Uratowaliście mi życie — powiedział. — Wiem, że tamten człowiek prędzej czy później oblałby mnie zimną wodą, a wtedy umarłbym. Widziałem wczoraj rano, jak mył klatkę świnek morskich. Jestem wciąż strasznie śpiący, chyba wrócę w piasek na jeszcze jedną drzemkę. Zbudź chłopców i Janeczkę, a kiedy zjecie śniadanie, porozmawiamy.

— A czy ty nie zjadłbyś śniadania? — spytała Antea.

— Chyba coś zjem — odparł Piaskoludek — ale wystarczy mi piasek. Jest dla mnie jedzeniem, piciem, a nawet żoną i dziećmi.

Z tymi słowami wrócił do wanienki i słychać było, jak zagrzebuje się w piasku.

— W każdym razie — powiedziała Antea — nasze wakacje nie będą t e r a z nudne. Mamy znów Piaskoludka.

— Nie, nie będzie n u d n o — odparła Janeczka wciągając pończochy. — Ale kiedy on nie może spełniać naszych życzeń, to będzie tylko tak, jakbyśmy mieli ulubionego pieska.

— Ach — przerwała Antea — nie martw się na zapas. Jeżeli Piaskoludek nie potrafi nawet robić nic innego, może nam opowiedzieć o megaterium* i o innych rzeczach.

* Opowiadał im już o tym w poprzedniej książce: „Pięcioro dzieci i coś”.

ROZDZIAŁ II

PÓL AMULETU

Dawno, dawno temu — to znaczy zeszłego lata — kiedy dzieci były w kłopotcie z powodu pewnego życzenia, które piaskowy duszek spełnił, a które kucharka przyjęła w niewłaściwy sposób*, wyraziły pragnienie, aby żadna ze służących nie dostrzegała darów Piaskołudka. A kiedy rozstawały się z nim, ostatnim ich życzeniem było, żeby go jeszcze kiedyś spotkać. Dlatego też go spotkały, a jak podkreślił Robert, złożyło się to bardzo szczęśliwie dla duszka. Rozumiecie więc teraz, że obecność Piaskołudka w domu starej niani była następstwem jednego z życzeń dzieci, była więc duszkowym życzeniem, toteż nie mogła być dostrzeżona przez nikogo ze służby.

A wkrótce okazało się, że w przekonaniu Piaskołudka stara niania była nadal służącą, chociaż teraz miała własny domek, ponieważ nigdy nie zauważyła Piaskołudka. Tak było najlepiej, gdyż niania nie pozwoliłaby nigdy dziewczynkom przechowywać pod łóżkiem jakiegoś zwierzaka i wanienki z piaskiem. Kiedy już było sprzątnięte po śniadaniu, doskonałym śniadaniu z ciepłymi bułeczkami, które rzadko się pojawiały — Antea poszła na górę, wydostała spod łóżka wanienkę i zbudziła Piaskołudka.

Duszek przeciągnął się i otrząsnął.

— Musieliście chyba połknąć śniadanie — powiedział — co jest bardzo niezdrowe. Przecież byliście na dole niecałe pięć minut.

— Byliśmy prawie godzinę — odparła Antea. — Wstawaj, przecież nam obiecałeś.

— Słuchaj — zawołał Piaskołudek siadając na piasku i strzelając długimi oczkami — lepiej od razu powiedzmy sobie, co trzeba! Żeby nie było żadnych nieporozumień, muszę ci jasno wytłumaczyć...

— Zaczekaj — poprosiła Antea — zaczekaj, aż wszyscy przyjdą. Bo inaczej pomyślą, że to bardzo nieładnie z mojej strony, że sama z tobą rozmawiam. A tymczasem chodź do mnie na rękę.

Uklękła przed wanienką i wyciągnęła rękę. Piaskołudek przypomniał widać sobie, z jaką przyjemnością skoczył w te otwarte ramiona zaledwie wczoraj, bo tylko chrząknął i znalazł się na rękach Antei.

Antea owinęła go fartuszkami i zaniósła na dół. Powitało ich głębokie milczenie.

— Teraz możesz już mówić — powiedziała wreszcie Antea.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał Piaskołudek strzelając oczkami i obracając nimi powoli dookoła.

— Jak to, nie widzisz? — odparł Robert. — Przecież to salonik.

— W takim razie jest brzydki — rzekł Piaskołudek.

— Mniejsza z tym — odparła łagodnie Antea. — Zabierzemy cię gdzie indziej, jeżeli nie chcesz być tutaj. Ale co miałeś zamiar powiedzieć na górze, kiedy przerwałam ci i powiedziałam, że inni nie chcieliby, żebyś sama z tobą rozmawiała?

Piaskołudek przyjrzał się jej bacznie i Antea poczerwieniała.

— Nie mów głupstw! — zawołał duszek. — Przecież to widać, że bardzo chcesz, aby twoi bracia i siostra wiedzieli dokładnie, jaka byłaś dobra i bezinteresowna.

— Nieładnie jest tak mówić — przerwała Janeczka. — Antea miała rację. Co chciałeś jej powiedzieć na górze?

— Wytłumaczę wam — odparł Piaskołudek — jeżeli tak bardzo wam na tym zależy. Chciałem powiedzieć, że uratowaliście mi życie, za co wam jestem wdzięczny, ale to nie

* Dzieci życzyły sobie być bardzo piękne, ale kiedy to się spełniło, służąca nie poznała ich i nie wpuściła do domu.

zmienia waszego charakteru ani mojego. Jesteście bardzo niemądry, nawet głupkowaci, a ja jestem tysiąc razy więcej wart niż każde z was.

— Oczywiście! — wykrzyknęła Antea, ale duszek jej przerwał.

— To bardzo niegrzecznie komuś przerywać — powiedział. — Chciałem wam wytłumaczyć, że nie zniosę żadnych głupstw i jeżeli wam się zdaje, że to, co zrobiliście, upoważnia was do głaskania mnie czy zmuszania do zabawy z wami, przekonacie się, że wasze pomysły są nieważne. Rozumiecie? Ważne jest to, co ja o tym myślę.

— Wiem — odparł Cyryl — zawsze tak było, jeżeli sobie przypominasz.

— Dobrze więc — rzekł Piaskoludek — to już jest postanowione. Będziemy się traktować nawzajem, jak na to zasługujemy. Wy będziecie mieć dla mnie szacunek, a ja dla was... zresztą, nie chcę wam mówić nic przykrego. Czy chcecie wiedzieć, jak dostałem się do tej strasznej nory, skąd mnie wykupiliście? Widzicie, mam dobrą pamięć. Nie zapomniałem o tym i potrafię się wam odwdziżyć.

— Słuchaj, duszku — rzekła Antea. — Wiem, jaki jesteś mądry, ale nawet przy całym twoim rozumie nie myślę, żebyś mógł wiedzieć, jak bardzo cię szanujemy. Okropnie!

Wszyscy przytaknęli i zaczęli się kręcić na krzesłach. A Robert wyraził życzenie ogółu mówiąc:

— Proszę cię, opowiadaj dalej.

Piaskoludek usiadł na stole, na zielonej serwecie, i ciągnął dalej.

— Kiedy wyjechaliście — powiedział — zagrzebałem się w piasku i zasnąłem. Byłem bardzo zmęczony z powodu waszych niemądrych życzeń i czułem się, jakbym od roku już nie był w piasku.

— W piasku? — powtórzyła Janeczka.

— Tam gdzie sypiam. Wy idziecie do łóżek, a ja w piasek.

Janeczka ziewnęła. Sama wzmianka o łóżku podziałała na nią usypiająco.

— Dobrze — mruknął Piaskoludek obrażonym tonem. — Możecie być pewni, że nie zamierzam was raczyć długim opowiadaniem. Jakiś człowiek schwytał mnie, a ja go ugryzłem. Wtedy on wpakował mnie do torby z nieżywym zajęcem i nieżywym królikiem. Zabrał mnie do swojego domu i umieścił w koszyku tak dziurawym, że wszystko mogłem widzieć. Wtedy ugryzłem go w nogę, a on przyniósł mnie do tego miasta, które, jak słyszałem, nazywa się Współczesnym Babilonem — choć wcale nie przypomina dawnego Babilonu — i sprzedał mnie osobnikowi, od którego mnie wykupiliście, a ja pogryzłem obydwóch. No, a co było u was?

— U nas nikt nikogo nie gryzł — odparł z zalem Cyryl. — Papa wyjechał do Mandzurii, a mama z Barankiem na Maderę, bo mama zachorowała, i chciałbym bardzo, żeby już byli z powrotem.

Piaskoludek z przyzwyczajenia zaczął się nadymać, ale nagle przestał.

— Zapomniałem — powiedział — że nie mogę już spełniać żadnych waszych życzeń.

— To prawda — przyznał Cyryl. — Ale czy nie moglibyśmy zawołać tu naszej starej niani i postarać się, żeby wyraziła życzenie ich powrotu? Z pewnością ona też by tego chciała.

— To na nic — rzekł Piaskoludek. — To zupełnie tak samo, jakby to było wasze życzenie. Nic z tego nie wyjdzie.

— Ale wczoraj wyszło — przypomniał Robert — z kupcem w sklepie.

— Tak — potwierdził duszek — ale nikt z was nie prosił go o życzenie i nikt z was nie wiedział, co może się zdarzyć. Tego nie można powtórzyć. To już się zużyło.

— W takim razie nie możesz nam wcale pomóc — powiedziała Janeczka — a ja myślałam, że możesz coś dla nas zrobić. Tak mi się zdawało od chwili, kiedyśmy cię wczoraj uratowali. Byłam pewna, że sprowadzisz tutaj ojca, jeżeli nie mamę.

I rozplakała się.

— Przestań! — zawołał z pośpiechem Piaskoludek. — Wiesz, jak nie znoszę, kiedy płaczecie. Nie czuję się bezpieczny ani przez chwilę. Ale uważaj: trzeba koniecznie wymyślić nowy rodzaj czarów.

— Łatwiej to powiedzieć niż wykonać.

— Wcale nie — odparł stworek. — Jeden z najpotężniejszych czarów na świecie znajduje się bardzo blisko miejsca, skąd mnie wykupiliście. Człowiek, którego ugryzłem — ten pierwszy — wszedł do pewnego sklepu, żeby dowiedzieć się o cenę czegoś tam — zdaje się, że chodziło mu o harmonijkę — i kiedy tłumaczył sklepikarzowi, że chce za nią o wiele za dużo, zobaczyłem czar leżący na tacy razem z mnóstwem innych rzeczy. Jeżeli tylko uda się wam go kupić, będziecie mogli spełnić swoje najgorętsze pragnienie.

Dzieci popatrzyły po sobie, potem na Piaskoludka, a wreszcie Cyryl odchrząknął i wypowiedział to, o czym myśleli wszyscy:

— Nie chcę ci mówić nic przykrego, ale sam wiesz, że kiedy spełniałeś nasze życzenia, zawsze wpadaliśmy w jakiś kłopot. Myśleliśmy nawet, że nie byłbyś zadowolony, gdyby nie było kłopotu. Więc jeśli chodzi o czar, o którym mówisz, pamiętaj, że mamy bardzo mało pieniędzy i jeżeli wszystko wydamy i nic z tego nie wyjdzie... rozumiesz chyba, o co mi chodzi?

— Rozumiem — odparł z gniewem Piaskoludek — że nie widzisz dalej niż koniec twego nosa, co wcale nie jest daleko. Pomyśl, przecież ja musiałem spełniać wasze życzenia, a kończyły się one w nieprzyjemny sposób, bo nie umieliście życzyć sobie nic pożytecznego. Ale z tym czarem jest całkiem inaczej. Nie musiałem wcale o nim mówić, powiedziałem wam tylko przez moją wielką dobroć. Więc z tym nie może skończyć się źle. Rozumiecie?

Nie gniewaj się — szepnęła błagalnie Antea — ale, widzisz, my naprawdę mamy bardzo mało pieniędzy. Nie dostaniemy kieszonkowego, aż dopiero kiedy ojciec wróci, chyba że przyśle nam w liście. Ale wierzymy ci. Prawda — ciągnęła — chyba wszyscy uważacie, że warto wydać wszystkie pieniądze, jeżeli jest choćby najmniejsze prawdopodobieństwo sprowadzenia już teraz ojca i mamy z powrotem? Pomyślcie sami!

— Nic mnie nie obchodzi, co zrobicie — rzekł Piaskoludek. — Schowam się w piasek i będę tam czekał, aż coś sobie postanowicie.

— Nie, zostań! — zawołałi wszyscy. A Janeczka dodała:

— Już sobie postanowiliśmy, przecież widzisz! Weźmiemy tylko kapelusze. Czy ty pójdziesz z nami?

— Naturalnie — odparł Piaskoludek. — Jakże beze mnie znaleźlibyście ten sklep?

Wszyscy pobiegli po kapelusze, a Piaskoludka umieścili w torbie na ryby, w której niedawno kupiono na targu dwa funty fląder. Teraz torba zawierała przeszło trzy funty Piaskoludka i dzieci niosły ją po kolei.

— Nie waży nawet połowy tego, co Baranek — zauważył Robert, a dziewczynki westchnęły.

Piaskoludek bacznie wzywał oczkiem ze swej torby i wskazywał dzieciom, jakimi mają iść ulicami.

— Skąd ty wiesz? — spytał Robert. — Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

— Nie umiesz — odparł sucho duszek. — Nie spodziewałem się, żebyś umiał.

Wreszcie doszli do właściwego sklepu. W witrynie było mnóstwo różności — harmonijki, jedwabne chusteczki, chińskie wazony i filiżanki, niebieskie japońskie słoje, fajki, miecze, pistolety, koronki, srebrne łyżeczki związane po pół tuzina i obrączki na czerwonej tacy z laki. Były tam też oficerskie epolety i chirurgiczne narzędzia. Były imbryki wykładane szylkretem i mosiężne pałeczki, garnuszki pełne rozmaitych monet i całe stopy talerzy. Był śliczny portrecik dziewczynki myjącej pieska, który podobał się bardzo Janeczce. A na samym środku stała brudna srebrna taca, pełna starych pieczętek, przedmiotów z masy perłowej, sprzączek, tabakierek i różnych innych drobiazgów.

Piaskoludek wysunął łepkę całkowicie z torby, by przyjrzeć się witrynie, a Cyryl nagle powiedział:

— Tam stoi taca pełna różności.

W tym momencie ślimacze oczka coś dostrzegły i wyciągnęły się tak, że wyglądały jak długie, cienkie ołówki. Duszek nastroszył sierść i szepnął z przejęciem:

— Tam, tam leży! Pod tą żółto–niebieską książką! Wystaje kawałek. Czerwony. Widzicie?

— Czy to wygląda trochę jak podkówka? — spytał Cyryl. — Jest czerwone jak zwykły lak do pakowania?

— Tak — odparł Piaskoludek. — A teraz musicie wejść do środka i postąpić jak wczoraj. Spytać o ceny różnych innych rzeczy. Wystarczy, jak spytacie o niebieską sprzączkę. Wtedy kupiec wyjmie tacę z wystawy. Myślę, że najlepiej będzie, jak pójdziesz tam sama — zwrócił się do Antei — a my poczekamy na dworze.

Antea weszła, a reszta dzieci rozplaszczyła nosy o witrynę, aż wreszcie zobaczyły dużą, brudną rękę o krótkich palcach, z ogromnym brylantowym pierścieniem. Ręka sięgnęła do witryny i zabrała tacę. Nie mogli się zorientować, jaki był przebieg rozmowy między Antea i Brylantowym Pierścieniem. Zdawało im się, że gdyby Antea miała dosyć pieniędzy, to miałyby czas kupić wszystko, co tylko jest w sklepie. Nareszcie stanęła przed nimi uśmiechnięta trzymając w ręku czarodziejski przedmiot. Wyglądał mniej więcej tak:



a zrobiony był z czerwonego, gładkiego, lekko połyskującego kamienia.

— Mam — szepnęła Antea, rozchylając dłoń tyle tylko, aby inni mogli zobaczyć, co trzyma. — Wracajmy do domu. Nie możemy tego oglądać na ulicy.

Wrócili więc do domu. Salonik na Fitzroy Street był niezbyt odpowiednim tłem do czarodziejskich praktyk. Na wsi, wśród kwiatów i zielonych pól, wszystko wydawało się i nawet było możliwe. Ale trudno było uwierzyć, że coś nadzwyczajnego może się zdarzyć przy takiej zwykłej ulicy. Z dziećmi jednak był Piaskoludek, sam przecież niezwykle: umiał mówić i wskazał dzieciom, gdzie mają nabyć czarodziejski przedmiot, który posiadacza jego uczyni szczęśliwym. Toteż czwórka dzieci pędziła do domu z wielkim pośpiechem, wyciągając szyje i zaciskając usta. Szli tak szybko, że Piaskoludek podskakiwał w swojej torbie, ale nic nie mówił, może z obawy, żeby nie zwrócić uwagi przechodniów.

Wreszcie bardzo spoceni znaleźli się w domu i posadzili Piaskoludka na zielonej serwecie.

— Teraz oglądajmy! — rzekł Cyryl.

Ale Piaskoludek musiał zjeść najpierw talerzyk piasku, bo bardzo był osłabiony. Gdy sobie trochę podjadł, zawołał:

— Teraz muszę obejrzeć talizman!

Antea położyła zaczarowany przedmiot obok duszka; Piaskoludek przyjrzał mu się uważnie, a potem zwrócił się jakby z wymówką do Antei:

— Ależ to jest tylko połowa!

Był to prawdziwy cios.

— Więcej nie było w sklepie — odparła potulnie, ale stanowczo Antea. Wiedziała, że to nie jej wina.

— Powinna być jeszcze druga część — wyjaśnił Piaskoludek — i rodzaj szpilki łączącej obydwie połowy.

— A czy połowa na nic się nie zda? — Czy to nie będzie działać bez drugiej połowy? — Kosztowało siedem i pół szylinga! — Ojej, i co teraz będzie? — Nie bądźcie głupi! — wołali wszyscy łącznie z Piaskoludkiem.

Zapadło ponure milczenie. Przerwał je Cyryl:

— I co teraz mamy robić?

— Iść z powrotem do sklepu i sprawdzić, czy nie ma tam drugiej połowy — odparł Piaskoludek. — A ja pójdę w piasek, póki nie wrócicie. Ale pocieszcie się! Nawet ten kawałek także się na coś przyda, tylko będzie mnóstwo kłopotu, jeżeli nie znajdziecie drugiego.

Cyryl wrócił do sklepu, a Piaskoludek schronił się w piasek.

Reszta dzieci poszła na obiad, który już był gotów, a niania była bardzo niezadowolona, że Cyryl jeszcze nie jest gotów.

Trójka dzieci spoglądała przez okna, gdy Cyryl wracał, ale zanim się zbliżył na tyle, by mogli zobaczyć jego twarz, widać było po jego zgarbionych ramionach i sposobie, w jaki pociągał nogami, że jego wyprawa się nie udała.

— No i co? — spytali wszyscy, stając w drzwiach frontowych i spodziewając się czegoś wbrew wszelkiej nadziei.

— Nic z tego! — odparł Cyryl. — Sklepiarz powiedział, że to jest całe, że to zapinka rzymska i nie należy kupować ciekawostek, jeżeli ktoś się nie zna na sztuce. Mówił coś takiego i dodał, że nigdy nie zwraca pieniędzy, bo to nie byłby żaden interes. Był po prostu niegrzeczny. A teraz chciałbym zjeść obiad.

Widać było, że Cyryl nie jest zadowolony.

Przekonanie, że nic naprawdę ciekawego nie może zdarzyć się w saloniku, przytłoczyło wszystkich jak ciężki kamień. Cyryl zjadł obiad i w chwili gdy przełykał ostatni kawałek ciasta z jabłkami, rozległo się skrobanie do drzwi. Antea otworzyła je i wszedł Piaskoludek.

— Mogło być gorzej — powiedział dowiedziawszy się o wszystkim. — Tylko nie dziwcie się, jeżeli zdarzą się wam różne przygody, nim znajdziecie drugą połowę talizmanu. Bo chyba chcecie ją znaleźć?

— Naturalnie — odezwał się chór głosów. — Przygód wcale się nie boimy!

— Tak — rzekł Piaskoludek — zdaje się, że zawsze z wami tak było. Siadajcie więc i słuchajcie wszystkimi waszymi uszami. Jest ich, zdaje się, osiem? Prawda? Dobrze przynajmniej, że umiecie rachować. A teraz uwaga, bo nie będę dwa razy powtarzał.

Dzieci roztasowały się na podłodze, gdzie było wygodniej niż na krzesłach i grzeczniej wobec Piaskoludka, który czyścił wąsiki o dywanik przed kominkiem. Nagle ostry ból przeszył serce Antei. Papa, mama, kochany Baranek — wszyscy są tak daleko. Potem jednak ogarnęło ją miłe, pokrzepiające uczucie. Piaskoludek był z nimi i połowa czarodziejskiego przedmiotu, a miały też zdarzyć się różne przygody. (Jeżeli ktoś z was nie wie, czym jest ostry ból, cieszę się za was i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiecie).

— Słuchajcie — odezwał się pocieszająco Piaskoludek. — Nie jesteście specjalnie mili ani rozumni i wcale nie jesteście ładni. Jednakże uratowaliście mi życie — pomyśleć tylko o tym strasznym człowieku i wiaderku z wodą! — więc powiem wam wszystko, co wiem. Nie, tego naturalnie zrobić nie mogę, bo wiem za dużo. Ale powiem wam wszystko, co wiem o tym czerwonym przedmiocie.

— Powiedz! Powiedz! — rozległo się ze wszystkich stron.

— Otóż — ciągnął Piaskoludek — ten przedmiot jest połową Amuletu, który może sprawić najrozmaitsze rzeczy. Może sprawić, że zboże rośnie, że woda płynie, drzewa wydają

owoce, a na świat przychodzą śliczne niemowlęta. (Niemowlęta — dodał — nie są rzecz jasna ładne, ale ich mamusie myślą, że są, a póki ktoś myśli, że coś jest prawdą, to to jest prawdą dla tej osoby).

Robert ziewnął.

— Całkowity Amulet — ciągnął dalej duszek — może usuwać rzeczy, które czynią ludzi nieszczęśliwymi: zazdrość, złość, pychę, chciwość, samolubstwo, lenistwo. Czy nie myślicie, że warto go mieć?

— Warto — odparły bez zapału dzieci.

— Udziela także siły i męstwa.

— To już lepsze — wtrącił Cyryl.

— I cnoty.

— Mam wrażenie — rzekła Janeczka bez wielkiego zainteresowania — że byłoby przyjemnie go mieć.

— I może także spełnić wasze najgorętsze pragnienie.

— Teraz mówisz, co trzeba! — zawołał Robert.

— Zawsze tak mówię — odciął ostro duszek — więc możesz się nie wysilać.

— Najgorętsze pragnienie — rzekł Cyryl — o, to rozumiem!

— Tak — wtrąciła Antea — ale to może sprawić tylko cały Amulet. A czy połówka, którą mamy — zwróciła się do Piaskoludka — może też sama coś zrobić?

— Tak — skinął Piaskoludek — połówka ma moc przeniesienia was, dokąd tylko chcecie, żeby szukać drugiej połowy.

Wydawało się to wspaniałą możliwością, dopóki Robert nie spytał:

— A czy ta połówka wie, gdzie szukać drugiej?

Piaskoludek pokręcił łepkiem.

— Bardzo wątpię.

— A czy ty wiesz?

— Nie.

— W takim razie — rzekł Robert — możemy równie dobrze szukać igły w stogu siana.

— Nic podobnego! — zawołał Piaskoludek. — Myślisz, że wszystko wiesz, ale się mylisz. Przede wszystkim trzeba, żeby ten przedmiot zaczął mówić.

— A czy to jest możliwe? — spytała Janeczka. Nie oznaczało to jednak, aby myślała, że nie, gdyż mimo umeblowania saloniku poczucie, że dzieje się coś czarodziejskiego, stawało się coraz silniejsze i wypełniało jak gdyby cały pokój wonną mgłą.

— Oczywiście, że tak. Chyba umiecie czytać.

— Pewnie! — zawołali wszyscy, trochę dotknięci pytaniem.

— W takim razie wystarczy, że odczytacie imię wypisane na waszej części Amuletu. Jak tylko wypowiecie je głośno, przedmiot będzie miał moc spełniania różnych rzeczy.

Zapadło milczenie. Czerwony Amulet przechodził z rąk do rąk.

— Nie ma tutaj żadnego imienia — powiedział wreszcie Cyryl.

— Głupstwa mówisz — odparł Piaskoludek — a to co?

— Ach, to! — zawołał Cyryl. — Tego nie można przeczytać, to wygląda jak gromada kurcząt, wężyków i innych rzeczy.

A oto co widniało na Amulecie:

— Tracę już przez was cierpliwość — rzekł Piaskoludek. — Jeśli wy nie możecie tego przeczytać, to może ktoś inny potrafi. Jakiś kapłan?

— Nie znamy żadnych kapłanów — odparła Antea. — Znamy jednego księdza, w książce do nabożeństwa nazywa się go kapłanem, ale on umie tylko po grecku, po łacinie i po hebrajsku. A to, jestem pewna, nie jest żaden z tych języków.

Piaskoludek tupnął gniewnie nóżką.

— Żałuję, że was spotkałem — powiedział. — Nie jesteście wcale mądrzejsi od figurek z kamienia. A nawet, mówiąc szczerze, im nie dorównujecie. Czy w waszym Babilonie nie ma żadnego mądrego człowieka, który potrafi wymawiać imiona Wielkich?

— Tu na poddaszu — odparła Antea — mieszka pewien ubogi, ale uczony pan. Jego możemy spytać. Ma w swoim pokoju mnóstwo kamiennych figurek i takich, które wyglądają jak żelazne. Zaglądaliśmy tam kiedyś, kiedy nie było go w domu. Niania mówi, że on jada tyle, co kot napłakał. Wydaje wszystko na jakieś kamienie i podobne rzeczy.

— Spytajcie go — rzekł Piaskoludek — ale bądźcie ostrożni. Jeżeli zna on imię większe niż to, które jest tutaj, i użyje go przeciw wam, wasz Amulet będzie na nic. Zobowiązcie go najpierw więzami honoru. A potem spytajcie go. I lepiej idźcie wszyscy do niego, a po drodze posadźcie mnie w piasku. Muszę mieć chwilę spokoju i odpoczynku.

Czwórka dzieci z pośpiechem umyła ręce, przyczesła włosy — była to myśl Antei — i pobiegła zapukać do drzwi „ubogiego, ale uczonego pana” i „zobowiązać go więzami honoru”.

ROZDZIAŁ III

PRZESZŁOŚĆ

Uczony siedział przy stole, na którym obiad już całkowicie wystygł. Był to kotlet barani, który teraz wyglądał na talerzu jak brunatna wyspa w środku zamrożonego stawu, bo tłuszcz w sosie zrobił się zimny, a tym samym biały. Wyglądało to bardzo nieapetycznie, a było pierwszą rzeczą, jaką zobaczyły dzieci, gdy po trzykrotnym zapukaniu i braku odpowiedzi jedno z nich poruszyło klamką i ostrożnie otworzyło drzwi. Talerz z kotлетem stał na końcu długiego stołu, zarzuconego mnóstwem książek, rysunków i kamieni dziwnego kształtu. Stół znajdował się pod ścianą, na której wisały oszklone gablotki, jakie widuje się w sklepach jubilerskich, pełne małych dziwacznych przedmiotów.

„Ubogi, ale uczony pan” siedział przy innym stole pod oknem i przypatrywał się czemuś bardzo małemu, co trzymał za pomocą cieniutkich szczypczyków. Na jednym oku miał szkło powiększające w grubej, czarnej oprawie, co przypominało dzieciom zegarmistrzów, a także ślimacze oczka Piaskoludka.

Uczony był bardzo wysoki i chudy, a jego duże, wąskie buty wystawały z drugiej strony stołu. Nie słyszał pukania i dzieci zawahały się u progu. Wreszcie Robert pchnął silniej drzwi i wszyscy odskoczyli do tyłu, bo pośrodku ściany, widocznej teraz, stała skrzynia z mumią, bardzo duża, pomalowana na czerwono, zielono, żółto i czarno. Twarz z tej skrzyni zdawała się gniewnie patrzeć na dzieci.

Wiecie chyba, jak wygląda skrzynia na mumię? Jeżeli nie, to pójźcie do muzeum i przekonajcie się. W każdym razie nie jest to coś, co się często spotyka na poddaszu spokojnego małego domku na cichej ulicy.

— Ach! — wykrzyknęły chórem dzieci.

Uczony wyjął szkło z oka.

— Bardzo was przepraszam — powiedział łagodnym i miłym głosem kogoś, kto studiował w Oxfordzie*.

— To my przepraszamy pana — odparł grzecznie Cyryl. — Bardzo nam przykro, żeśmy panu przeszkodzili.

— Wejździe — rzekł uczony wstając, a mówił to, jak Antea sobie pomyślała, z wyszukaną wprost uprzejmością. — Cieszę się bardzo, że przyszliście. Siadajcie. Chwileczkę, tylko zabiorę ten papirus.

Podsunał im krzesło i stał uśmiechnięty, patrząc na nich przyjaźnie przez szkła swych wielkich okularów.

— Traktuje nas jak dorosłych — szepnął Robert — ale, zdaje się, nie wie, ile nas tutaj jest.

— Pss — zgromiła go Antea — niegrzecznie jest szeptać między sobą. Wytłumacz, po cośmy przyszli, Cyryl!

— Bardzo nam przykro, że przeszkadziliśmy panu — odezwał się Cyryl uprzejmie — ale pukaliśmy trzy razy, a pan nic nie powiedział, ani żeby wejść, ani żeby się zabierać, ani w ogóle nic takiego, co się słyszy, kiedy się puka do drzwi. Więc otworzyliśmy. Wiedzieliśmy, że pan jest u siebie, bo słyszeliśmy stojąc za drzwiami, jak pan kichał.

— Nie przeszkadzacie mi wcale — odparł uczony — siadajcie.

— Zauważył teraz, że nas jest czworo — szepnął Robert, gdy uczony podsunał im dalsze trzy krzesła i pieczołowicie ułożył na ziemi zdjęte z krzeseł przedmioty. Na pierwszym krześle leżało coś w rodzaju cegiełek, na których odznaczały się regularne znaki, jak gdyby

* Oxford — miasto w Anglii słynne z jednego z najstarszych uniwersytetów.

kiedy były jeszcze miękkie, chodziły po nich małe ptaszki. Na drugim leżały jakieś podłużne, jaskrawe paciorki. Na trzecim znajdował się stos zakurzonych papierów.

Dzieci usiadły.

— Wiemy — ciągnął Cyryl — że pan jest bardzo, bardzo uczony, a my mamy talizman i chcielibyśmy, żeby pan przeczytał wypisane na nim imię, bo nie jest to ani po łacinie, ani po grecku czy hebrajsku, ani w żadnym języku, jaki my znamy.

— Dokładna znajomość nawet tych kilku języków jest bardzo dobrą podstawą wszelkiego wykształcenia — odparł grzecznie uczony.

— Tak — zarumienił się Cyryl — ale my znamy je tylko z widzenia, z wyjątkiem łaciny, a i to... ja właściwie dopiero zacząłem Cezara.

Uczony zdjął okulary i zaśmiał się. Cyryl pomyślał, że śmiech jego jest zardzewiały, jakby go rzadko używał.

— Naturalnie — powiedział uczony — rozumiem. Wydawało mi się przez chwilę, że śnię. Wy mieszkacie na dole, prawda? Widziałem nieraz, jak przechodziliście. A teraz znaleźliście coś, co wam się zdaje starożytnym zabytkiem, i przynieśliście to z sobą, żeby mi pokazać? To bardzo uprzejmie z waszej strony. Chciałbym to obejrzeć.

— Właściwie — wyznała prawdomówna Antea — nie myśleliśmy o tym, że pan by to chciał obejrzeć. Myśleliśmy właściwie o sobie, bo chcieliśmy wiedzieć, co za imię jest na tym wyryte...

— Tak — wtrącił Robert — i pan chyba nie pogniewa się, że zanim pokażemy to panu, zobowiązemy pana tym, jakże to się nazywa...

— Więzami honoru — dokończyła Antea.

— Nie bardzo was rozumiem — powiedział z lekkim zakłopotaniem uczony.

— Więc to jest tak — wyjaśnił Cyryl. — Mamy pół talizmanu. I Piasko... Dowiedzieliśmy się od kogoś, że to może działać bez drugiej połowy, ale tylko wtedy, jeżeli potrafimy wymówić imię, jakie tam jest wyryte. Ale jeżeli pan zna inne imię, silniejsze od naszego, to naturalnie nasz talizman będzie na nic. I dlatego chcemy, żeby pan nam dał słowo honoru, choć jestem pewien, odkąd pana zobaczyłem, że to nie jest potrzebne. Ale obiecałem poprosić pana, toteż musimy to zrobić. Czy będzie pan tak dobry dać nam słowo, że nie wypowie pan żadnego imienia silniejszego niż imię na naszym talizmanie?

Uczony włożył z powrotem okulary i patrzył przez nie na Cyryla. Wahał się dłuższą chwilę, a wreszcie spytał:

— Kto wam to wszystko powiedział?

— Tego nie mogę zdradzić — odparł Cyryl. — Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

Jakieś mgliste wspomnienia dalekiego dzieciństwa musiały przyjść na myśl uczonemu, bo uśmiechnął się.

— Rozumiem — rzekł. — To jakaś gra, w której bierzecie udział. No tak. Dobrze. Oczywiście, że wam obiecuję. A swoją drogą ciekaw jestem, skąd dowiedzieliście się o potędzie imion?

— Tego też nie możemy powiedzieć — odparł Cyryl.

Antea zaś wyciągnęła rękę ze słowami:

— To jest właśnie nasz talizman.

Uczony wziął go do ręki, ale bez zainteresowania. Jednak już po pierwszym spojrzeniu zastygł cały w bezruchu jak pies myśliwski, gdy zobaczy kuropatwę.

— Przepraszam was na chwilę — powiedział zmienionym głosem.

Przyglądał mu się bacznie i obracał na obie strony. Po czym przyłożył powiększające szkło do oka i znowu przypatrywał się Amuletowi z uwagą. Nikt nie wymówił ani słowa. Tylko Robert szurał nogami, póki Antea nie przywołała go do porządku.

Wreszcie uczony wciągnął głęboko powietrze.

— Gdzieście to znaleźli? — spytał.

— Nie znaleźliśmy — odparł Cyryl. — Tylko kupiliśmy w sklepie, w takiej małej graciarni.

— Zapłaciliśmy siedem i pół szylinga — dodała Janeczka.

— Chyba nie macie zamiaru tego sprzedawać? Nie chcecie przecież się z tym rozstać?... Muszę wam powiedzieć, że ten przedmiot jest bardzo cenny, po prostu niesłychanie cenny.

— Wiemy — powiedział Cyryl — i dlatego chcemy go zachować.

— Przechowujcie go bardzo starannie — rzekł z naciskiem uczony. — A gdybyście kiedykolwiek chcieli się go wyzbyć, prosiłbym was o priorytet.

— Prio...?

— To znaczy, chcę was prosić, żebyście nie sprzedawali go nikomu bez uprzedniego zaproponowania tego mnie.

— Dobrze — oświadczył Cyryl — z całą pewnością. Ale my nie chcemy tego sprzedawać, Chcemy, żeby to pomagało nam w różnych sprawach.

— Myślę — rzekł uczony — że jest to zabawa równie dobra, jak każda inna. Tyle tylko, że czasy magii dawno już minęły.

— Wcale nie — zaprzeczyła z powagą Antea. — Przekonałby się pan, gdybyśmy mogli opowiedzieć panu o zeszłorocznych wakacjach. Tylko nie możemy. Ale bardzo panu jesteśmy wdzięczni. A czy pan może odczytać to imię?

— Owszem, mogę.

— Czy mógłby pan zrobić to teraz?

— Imię — odparł uczony — brzmi Ur Hekau Seczeh.

— Ur Hekau Seczeh — powtórzył Cyryl. — Strasznie panu dziękujemy. Chyba nie zabraliśmy panu zbyt dużo czasu?

— Bynajmniej — rzekł uczony. — I proszę was jeszcze raz o bardzo staranne przechowywanie tego bezcennego przedmiotu.

Dzieci podziękowały, każde na swój sposób i jak najuprzejmiej, po czym pożegnały się i zbiegły po schodach na dół. Antea była ostatnia. W połowie drogi zawróciła i pobiegła z powrotem na górę. Drzwi były jeszcze otwarte, a uczony i skrzynia z mumią stali naprzeciw siebie zapatrzeni jedno w drugie, jakby tak stali od lat.

Uczony drgnął, gdy Antea dotknęła jego ramienia.

— Niech się pan nie gniewa — powiedziała — i nie mówi, że to nie moja sprawa, ale co będzie z pana kotлетem? Chyba powinien go pan zjeść. Ojciec czasem zapomina o obiedzie, kiedy jest zajęty pisaniem, a mama zawsze mi mówi, że powinnam mu przypomnieć, żeby zjadł w porę, kiedy jej nie ma w domu, bo to bardzo niedobrze, jak się je nieregularnie. Tylko dlatego panu przypominałam, bo zdaje się, że nie ma kto tego zrobić, i chyba się pan o to nie pogniewa.

Spojrzała na skrzynię z mumią; nie wyglądała na to, aby kiedykolwiek przypominała komuś o posiłkach. Uczony przez dłuższą chwilę przyglądał się Antei.

— Dziękuję ci, moje dziecko, to było bardzo uprzejmie z twojej strony. Istotnie nie mam nikogo, kto by myślał o takich rzeczach.

Westchnął i spojrzał na kotlet.

— Wygląda bardzo nieapetycznie — zauważyła Antea.

— To prawda — przyznał uczony. — Ale zjem zaraz, bo mogę znów zapomnieć.

Wzdychając raz po raz, zabrał się do kotleta. Wzdychał może dlatego, że kotlet był niesmaczny, lub też z tego powodu, że pragnął mieć talizman, którego dzieci nie chciały mu sprzedać, a może dlatego, że od tak dawna nikt się nie troszczył, czy je, czy nie je.

Antea dopędziła resztę rodzeństwa na samym dole. Zbudzili Piaskoludka, który wyjaśnił im dokładnie, jak używać zaklęcia i co robić, by talizman przemówił. Nie opowiem wam tego, bo może chcielibyście sami spróbować, a taka próba na pewno skończyłaby się dla was rozczarowaniem. Przede wszystkim dlatego, że jest prawie niemożliwością, abyście trafili na

właściwy talizman, a nawet gdyby tak się stało, wątpię, by znalazł się w waszym zasięgu uczony tak wykształcony i uprzejmy, by mógł i chciał odczytać wam wyryte na nim zaklęcia.

Dzieci wraz z Piaskoludkiem usiadły w koło na podłodze w pokoju sypialnym dziewczynek, bo w saloniku mogłaby przeszkodzić im niania, gdyby chciała nakrywać stół do podwieczorku. Talizman umieszczono w samym środku koła.

Na dworze świeciło słońce i w pokoju było bardzo jasno. Przez otwarte okno wpadały odgłosy wielkiego miasta, a z sąsiedniej ulicy słychać było nawoływanie mleczarza. Kiedy wszystko już było gotowe, Piaskoludek dał znak Antei, by wypowiedziała zaklęcie.

Gdy uczyniła to, światło dnia znikło natychmiast. W pokoju zrobiło się ciemno. Ciemno było na dworze, ciemniej niż w najciemniejszą noc. Zanikły też wszelkie odgłosy i cisza była głębsza, niż ktokolwiek mógłby to sobie wyobrazić.

Było tak, jakby ktoś nagle stał się głuchy i ślepy, tylko nawet jeszcze ciemniej i ciszej.

Ale nim dzieci zdążyły otrząsnąć się z wrażenia i odczuć strach, w środku między nimi ukazało się nikłe a cudowne światło, i w tym samym czasie rozległ się nikły a cudowny głos. Światło było za słabe, aby móc przy nim cokolwiek zobaczyć, a głos zbyt wątki, aby dosłyszeć, co mówi. Światło było ledwie dostrzegalne, a głos ledwie słyszalny.

Stopniowo jednak światło zaczęło się wzmagać. Było zielonkawe, jak latarki świętojańskich robaczków, ale nasilało się coraz bardziej, aż wyglądało tak, jakby w środku pokoju krążyło tysiące światełek. Równocześnie głos stawał się wyraźniejszy i jeszcze miłszy niż na początku, aż stał się tak przyjemny, że miało się ochotę płakać z radości. Brzmiał jak śpiew słowików, szum morza i łkanie skrzypiec, i jak głos mamy, kiedy ukazuje się w drzwiach po długiej nieobecności w domu.

— *Mówcie* — powiedział głos. — *Co chcecie usłyszeć?*

Nie umiem wam wyjaśnić, w jakim przemawiał języku. Wiem tylko, że wszyscy obecni rozumieli go doskonale. Prawdopodobnie musi istnieć jakiś język zrozumiały dla wszystkich, tylko że my go nie znamy. Nie potrafię też wam powiedzieć, w jaki sposób przemawiał talizman, ani nawet wyjaśnić, czy to talizman przemawiał, czy czyjaś w nim obecność. Czwórka dzieci też nie zdołałaby wam tego powiedzieć. Nie mogły bowiem nawet patrzeć na talizman, kiedy ten mówił, gdyż światło było zbyt silne. Patrzyły natomiast na zielony odbłask padający na spłowiały fabryczny dywan.

Siedziały nieruchomo bojąc się nawet zapytać o coś lub poruszyć nogą. Bo to, co działo się tutaj, było zupełnie inne niż przygody na wsi, kiedy to Piaskoludek spełniał ich życzenia. Wtedy było dosyć zabawnie, ale teraz nie. Teraz wyglądało to jak czary z Tysiąca i Jednej Nocy, a trochę jak w kościele. Nikt nie miał odwagi odezwać się słowem.

Wreszcie przemówił Cyryl:

— Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie jest druga część talizmanu.

— *Zagubiona część Amuletu* — odparł cudowny głos — *rozpadła się w proch razem ze świątynią, w której ją przechowywano, podobnie jak szpilka łącząca obie połowy. Stanowią teraz proch rozrzucony po wielu krajach i zatopiony w wielu morzach.*

— Ach, tak — szepnął Robert i zapadło głuche milczenie.

— W takim razie wszystko stracone — powiedział po chwili Cyryl. — Na nic przecież się nie zda szukać czegoś, co zmieniło się w proch rozsiany na wszystkie strony świata.

— *Aby tamtą część znaleźć* — wyjaśnił głos — *musicie szukać jej tam, gdzie nadal jest cała.*

— Nie rozumiem — rzekł Cyryl.

— *Możecie ją znaleźć w Przeszłości* — odparł głos.

— Chciałbym, żebyśmy mogli ją znaleźć — powiedział Cyryl.

— Nie rozumiesz? — szepnął gniewnie Piaskoludek. — Ta rzecz istniała w Przeszłości. Gdybyście i wy udali się w Przeszłość, moglibyście ją znaleźć. Że też tak trudno wam cokolwiek wytłumaczyć. Czas i przestrzeń są tylko sposobami myślenia.

— Rozumiem — mruknął Cyryl.

— Wcale nie rozumiesz — zachnął się Piaskoludek — i to zresztą nie ma znaczenia. Chodzi tylko o to, że gdybyście znaleźli właściwy sposób, moglibyście zobaczyć wszystko, co się dzieje w tym samym miejscu w tym samym czasie. Czy zrozumieliście teraz?

— Ja nie rozumiałam — szepnęła Antea — jestem widać na to za głupia.

— Przynajmniej choć tyle wiesz. Chodzi o to, że zgubiona część Amuletu znajduje się w Przeszłości. A zatem tam musicie jej szukać. Ale ja nie mogę przemawiać do Amuletu. Musicie zadawać mu pytania, aż się dowiecie.

— Gdzie możemy znaleźć drugą część ciebie? — spytał posłusznie Cyryl.

— *W Przeszłości* — odparł głos.

— Ale w jakim okresie Przeszłości?

— *Nie mogę ci powiedzieć. Jeżeli obierzecie czas, przeniosę was do miejsca, gdzie znajdowała się tamta część. Ale znaleźć musicie ją sami.*

— Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? — spytała Antea. — To znaczy, kiedy was rozdzielono?

— *Tysiące lat temu* — odparł cudowny głos. — *Amulet był wtedy cały i spoczywał w świątyni, ostatniej z wielu świątyń, a ja czyniłem wtedy cuda. Nagle przybyli obcy ludzie, uzbrojeni w obcą broń, zniszczyli moją świątynię i zabrali Amulet razem z wielu jeńcami. Jeden z więźniów był moim kapłanem, znał zakłęcie, wypowiedział je i Amulet stał się niewidzialny, a następnie powrócił do mojej świątyni. Ale świątynia była zwalona, a ponieważ żadne czary nie mogły jej odbudować, wypowiedziane zostało zakłęcie, przed którym ukorzyła się moja moc na zawsze. Amulet zaś spoczywał tam cały, lecz w niewoli. Potem jednak przyniósł ktoś kamienie, by odbudować świątynię, upuścił jeden z kamieni na leżący Amulet, który wtedy został rozpolowiony. I Amulet spoczywał w piaskach pustyni przez wiele tysięcy lat. Aż wreszcie zjawił się człowiek niewielkiego wzrostu, zdobywca stojący na czele armii, a wkrótce potem przybył tłum ludzi, którzy pragnęli znaleźć prawdziwą mądrość. Jeden z nich odnalazł połowę Amuletu i przywiózł ją do tego kraju. Nikt jednak nie umiał odczytać wyrytego na nim imienia, spoczywał więc nieruchomo. Kiedy zaś człowiek ów umarł, a po nim jego syn, ich spadkobiercy sprzedali Amulet kupcowi, od którego wyście go kupili. Jest on tutaj, a skoro zakłęcie zostało wymówione, ja również tu jestem.*

Przypuszczam, że głos, mówiąc o człowieku niewielkiego wzrostu i zdobywcy, miał na myśli Napoleona, gdyż wiem, że Napoleon wyprawił się z wojskiem do Egiptu, a później rozmaici uczeni robili poszukiwania w piasku i wydobywali niezliczone, najdziwniejsze przedmioty, starsze, niż wam się to wydaje możliwe. Myślę też, że Amulet był jednym z tych przedmiotów, i to najbardziej zdumiewającym.

Wszyscy słuchali uważnie i każdy starał się myśleć o tym, co usłyszał. A nie jest to łatwa rzecz myśleć jasno, kiedy usłyszało się taką opowieść jak ta, którą wam przytoczyłam.

Wreszcie pierwszy odezwał się Robert:

— Czy możesz przenieść nas w Przeszłość do świątyni, gdzie obydwie części były razem? Jeżeli to uczynisz, to może znaleźlibyśmy drugą część Amuletu, która wciąż tam leży od tych wielu tysięcy lat.

— Która wciąż tam leży! — zawołał Cyryl. — Co ty pleciesz, głuptasie? Zrozum, że jeżeli cofniemy się w Przeszłość, to już nie będzie to tysiące lat temu. Dla nas to będzie teraz, prawda? — zwrócił się do Piaskoludka.

— Jesteś — odparł duszek — jakoś rozumniejszy niż zwykle.

— Czy możesz — spytała Antea — przenieść nas wszystkich do czasów, kiedy istniała świątynia, a ty w niej byłeś bezpieczny?

— *Tak* — odparł głos. — *Musicie mnie unieść w górę, wypowiedzieć zakłęcie i po kolei, poczynawszy od najstarszego, przejście przeze mnie w Przeszłość. Ostatni niech przejdzie ten*

z was, który mnie będzie niósł, i niech mnie nie upuści, bo jeśli mnie stracie, pozostaniecie w Przeszłości już na zawsze.

— Ładna historia — mruknął Robert.

— *Kiedy będziecie chcieli powrócić* — ciągnął cudowny głos — *obróćcie mnie w stronę Wschodu i wymówcie zaklęcie. Wtedy, przechodząc przeze mnie, wróćcie do chwili obecnej, która będzie dla was teraźniejszością.*

— Ale jak...

Rozległ się donośny dzwonek.

— Ojej! — krzyknął Robert. — Podwieczorek! Zrób, proszę cię, zwyczajne światło, bo musimy iść na dół. I bardzo ci dziękujemy za wszystko.

— Było nam z tobą naprawdę bardzo przyjemnie — dodała uprzejmie Antea.

Przepiękne światło zniknęło stopniowo. Zapadła ciemność i cisza, które nagle przemieniły się w zwyczajny blask dnia i codzienne odgłosy Londynu.

Dzieci przetarły oczy, Piaskoludek popędził do wanienki z piaskiem, a cała czwórka zeszła na podwieczorek. Ale aż do chwili, kiedy nalano herbatę do filiżanek, podwieczorek wydawał się mniej rzeczywisty niż cudowny głos i zielonkawe światło.

Potem Antea poprosiła wszystkich, by pozwolili jej zawiesić Amulet na szyi na wstążeczce.

— To byłoby wprost okropne, gdybyśmy go zgubili — powiedziała — bo zostalibyśmy na zawsze w Przeszłości; a to już byłoby straszne!

ROZDZIAŁ IV

OSIEM TYSIĘCY LAT TEMU

Następnego ranka Antea wyprosiła u niani, by pozwoliła jej zanieść „biednemu, uczonemu panu” śniadanie. Początkowo nie poznał jej, ale później zdawał się dość ucieszony jej przyjściem.

— Widzi pan — powiedziała — noszę Amulet na szyi. Pilnuję go tak, jak pan nakazywał.

— To dobrze — odparł uczony. — A jak bawiliście się wczoraj wieczorem?

— Niech pan je śniadanie, zanim wystygnie — rzekła Antea. — A wczoraj wieczorem było wspaniale! Amulet najpierw sprawił, że zrobiło się ciemno w pokoju, potem zjawilo się zielonkawe światło, a później Amulet przemówił. Szkoda, że pan tego nie słyszał, miał taki cudowny głos... Powiedział nam, że druga połowa zagubiona została w Przeszłości, więc będziemy musieli tam jej poszukać.

Uczony potarł czoło obu rękami i zatroskanym wzrokiem spojrzął na Anteę.

— Myślę, że to jest normalne — mówił trochę niepewnie — młodociana wyobraźnia i tak dalej? Ale ktoś musiał... Kto wam powiedział, że brakuje połowy Amuletu?

— Tego nie mogę powiedzieć — odparła Antea. — Wiem, że to wygląda bardzo niegrzecznie, zwłaszcza że pan był tak uprzejmy i powiedział nam zakłęcie, ale doprawdy nie wolno mi nikomu nic mówić o... o osobie, która nam to powiedziała. Ale pan nie zapomni o śniadaniu, dobrze?

Uczony uśmiechnął się niepewnie, a potem zmarszczył brwi nie ze złości, ale ze zdziwienia.

— O, tak, tak, dziękuję — zapewnił. — I proszę, zagładaj do mnie przechodząc obok, będzie mi bardzo miło.

— Przyjdę — obiecała Antea. — I zawsze panu opowiem, jak coś będzie do opowiadania. Tymczasem do widzenia.

Uczony nie miał wielkiego doświadczenia z dziećmi i zastanawiał się, czy wszystkie dzieci są takie, jak te. Zużył na to całych pięć minut i potem dopiero zabrał się do pisania pięćdziesiątego drugiego rozdziału swojej wielkiej księgi o „Tajnych obrzędach kapłanów Amona Ra”.

* * *

Trzeba przyznać, że dzieci były bardzo przejęte na samą myśl udania się poprzez Amulet w Przeszłość. Myśl, że mogłyby zostać w Przeszłości i nigdy stamtąd nie wrócić, była co prawda przykra. Ale nikt nie odważył się nawet napomknąć, by tego zaniechać. I chociaż wszyscy w głębi serca bardzo się bali, zakrzyczeliby i nazwali tchórzem tego, kto by wysunął nieśmiałą propozycję „dajmy temu spokój”.

Trzeba było poczynić odpowiednie przygotowania do całodziennej nieobecności, trudno bowiem było się spodziewać, że odgłos dzwonka wzywającego na obiad mógłby sięgnąć w Przeszłość, a z drugiej strony zdawało się rzeczą nierozsądną pobudzanie ciekawości niani, gdy nic, cokolwiek by powiedzieli — choćby nawet i prawdę — nie mogłoby tej ciekawości zaspokoić. Dzieci były niezmiernie dumne, że tak dobrze rozumiały, co Amulet i Piaskoludek mówili im o Czasie, Przestrzeni i podobnych sprawach. Ale były zupełnie pewne, że nic z tego nie da się wytłumaczyć niani.

Poprosiły ją zatem po prostu, aby wolno im było zabrać z sobą obiad do parku, i pozwolenie takie otrzymały bez trudu razem z zimną baraniną i pomidorami.

— Możecie sobie kupić słodkich bułeczek czy placek drożdżowy — dodała niania wręczając Cyrylowi szylinga. — Tylko nie kupujcie ciastek z konfiturami, bo bez widelców i talerzyków zniszczylibyście sobie ze szczerem ubranie, nie mówiąc już o tym, że nie moglibyście po jedzeniu umyć rąk ani twarzy.

Cyryl wziął szylinga i cała czwórka ruszyła. Najpierw jednak wstąpili do sklepu, aby kupić arkusz impregnowanego papieru dla przykrycia Piaskoludka na wypadek, gdyby w Przeszłości padał deszcz. Bo dla piaskowych duszków zmoknięcie jest prawie zawsze śmiertelne.

Słońce mocno świeciło i nawet Londyn ładnie wyglądał. Kwiaciarki sprzedawały róże z ogromnych koszów z kwiatami i Antea kupiła cztery, po jednej dla każdego z dzieci. Róże były czerwone i pachniały latem. Był to ten gatunek róż, za jakimi najbardziej się tęskni przed Bożym Narodzeniem, kiedy można dostać tylko jemiołę, bladą i bez zapachu, i ostrokrzew, który kłuje w nos, jeśli go spróbować powąchać. Tak więc cała czwórka, ustrojona w róże, niebawem rozsiadła się w parku, na trawie pod drzewami, których liście miałyby na wsi czysty, jasnozielony kolor, ale tu były zakurzone, pożółkłe i już przywędłe po brzegach.

— Teraz już czas przystąpić do dzieła — powiedziała Antea — a ponieważ mamy przechodzić według kolejności wieku, ty, Janeczko, będziesz ostatnia. Pamiętaj, Kiziu, co trzeba robić, żeby nie upuścić Amuletu, kiedy już przejdiesz?

— Wolałabym nie być ostatnia — odparła Janeczka.

— Możesz nieść Piaskoludka, jeżeli masz ochotę — pocieszyła ją Antea. — To znaczy — dodała przypominając sobie humory stworka — jeżeli on ci pozwoli.

Piaskoludek jednak okazał się nieoczekiwanie zgodny.

— Wszystko mi jedno — rzekł — kto będzie mnie niósł, byle tylko mnie nie upuścił. Bo tego nie znoszę.

Janeczka drżącymi rękoma ujęła Piaskoludka, siedzącego w torbie po rybach, i umieściła go pod pachą. Na szyi zawieszono jej Amulet na długim sznurku. Po czym wszyscy wstali. Janeczka uniosła Amulet w wyciągniętej do góry ręce, a Cyryl uroczyście wymówił zaklęcie.

Amulet zaczął rosnąć, aż stał się tak wysoki i szeroki, że Janeczka trzymała tylko skraj wielkiego czerwonego łuku o bardzo dziwnym kształcie. Otwór pod łukiem był mały, ale Cyryl przekonał się, że potrafi tamtędy przejść. Dokoła widać było powędłe drzewa i wygniecioną trawę parku, gdzie kilkoro małych dzieci bawiło się w ojca Wirgiliusza. Ale przez otwór łuku przeświecało niebieskie, żółte i czerwone światło. Cyryl odetchnął głęboko i stanął mocno na nogach, aby inni nie zauważyli, że drżą mu kolana. — Jazda! — zawołał, wstąpił pod łuk i znikł. Za nim poszła Antea. Robert, który szedł następny, za namową Antei chwycił mocno Janeczkę za rękaw i w ten sposób przeciągnął ją bezpiecznie pod łukiem. Gdy zaś wszyscy znaleźli się z drugiej strony, nie było już ani łuku, ani parku, tylko talizman w ręku Janeczki. Amulet wrócił do swoich normalnych rozmiarów. Dzieci otaczało teraz światło tak jaskrawe, że zaczęły mrugać powiekami i przecierać oczy. Nie zważając na oszołomienie, Antea sięgnęła po czarodziejski przedmiot i wsunęła go do kieszeni Janeczki, aby go przypadkiem nie zgubić.

Następnie, gdy ich oczy przywykły już do niezwykłego światła, dzieci rozejrzały się dokoła. Niebo było bardzo niebieskie, a lśniło i połyskiwało oślepiająco jak morze, gdy słońce świeci nad nim.

Dzieci stały na małej polance otoczonej gęstym, niskim lasem; rosły w nim niewysokie drzewa, mnóstwo krzewów i miał gęste, cierniste podszycie. Na skraju polanki widniał jakiś dziwny zwal czarnego błota, a dalej ciągnęła się błyszcząca, żółtobrunatna wstęga rzeki. Dalej widać było znowu wyschłe błoto i zielonobrunatne zarośla.

O tym, że w pobliżu znajdują się ludzie, można było sądzić tylko po wyciętej w lesie polance, drodze wiodącej do niej i dziwnym jakimś urządzeniu z trzciny, umieszczonym na rzece.

Dzieci spojrzwały po sobie.

— No — powiedział Robert — to jest doprawdy zmiana powietrza.

Było tak naprawdę. Powietrza tak gorącego nie można było sobie wyobrazić nawet w sierpniu w Londynie.

— Ciekaw jestem, gdzie jesteśmy — zatroszczył się Cyryl.

— Ta rzeka to będzie chyba Tyber czy Amazonka.

— To Nil — wyjaśnił Piaskoludek wyglądając z torby.

— W takim razie jesteśmy w Egipcie — rzekł Robert, który kiedyś dostał wyróżnienie z geografii.

— Nie widzę krokodyli — nie dawał się przekonać Cyryl, który dostał kiedyś wyróżnienie z przyrody.

Piaskoludek wysunął z torby włochatą łapkę i wskazał zwał błota na brzegu wody.

— A jak to się nazywa? — spytał i w tej samej chwili zwał błota zsunął się do rzeki, podobnie jak murarzowi zsuwa się czasem z kielni źle wyrobiona zaprawa.

— Och! — wykrzyknęły dzieci.

Na drugim brzegu rzeki rozległ się trzask łamanej trzciny.

— A to jest koń rzeczny! — objaśnił Piaskoludek, gdy z tamtej strony wody ukazał się ogromny zwierz pokryty skórą o sinolupkowym odcieniu.

— To hipopotam — powiedział Cyryl. — Wygląda jakoś bardziej prawdziwie niż ten z ZOO, prawda?

— Ale dobrze — wtrąciła Janeczka — że taki prawdziwy jest po tamtej stronie rzeki.

Wtem tuż za nimi zaczęły też trzeszczeć trzciny i gałązki. Dzieci zaniepokoiły się naprawdę, gdyż mógł to być równie dobrze drugi hipopotam albo lew, krokodyl czy jeszcze coś innego.

— Trzymaj rękę na Amulecie, Janeczko! — zawołał Robert. — Musimy mieć pod ręką sposób ucieczki. Jestem pewien, że w takim miejscu wszystko może się nam wydarzyć.

— Myślę — powiedziała Janeczka — że wydarzy się nam ogromny hipopotam.

Wszyscy zwrócili się w stronę, skąd nadciągało niebezpieczeństwo.

— Nie bądźcie głupi — rzekł przyjaznym tonem Piaskoludek — to nie żaden koń rzeczny, ale ludzka istota.

Rzeczywiście, była to dziewczynka mniej więcej w wieku Antei. Miała krótkie, jasne włosy, a mimo opalenizny widać było, że jej cera również byłaby jasna w odmiennych warunkach. Ale nie tylko twarz jej była opalona, gdyż dziewczynka nie miała prawie nic na sobie, i czwórka angielskich dzieci, poubieranych w sukienki, spodnie, kapelusze, trzewiki, pończochy i różne inne rzeczy, pozazdrościła jej. Nie ulegało wątpliwości, że w tym klimacie strój dziewczynki był bardziej odpowiedni.

Na głowie niosła czerwono-czarny gliniany dzban. Nie spostrzegła dzieci, które cofnęły się na skraj lasu, i skierowała się do rzeki, aby dzban napełnić. Idąc nucila sobie jakąś dziwną, smętną melodyjkę, opartą na dwóch tylko nutach. Antea pomyślała, że dla dziewczynki dźwięki te brzmią pewnie jak śpiew.

Nieznajoma napełniła dzban i ruszyła brzegiem rzeki. W pewnej chwili weszła do wody i pochyliła się nad zagrodą zrobioną ze ściętej trzciny. Wydobyła stamtąd z pół tuzina ryb, zabijając każdą po kolei i nawlekając na długi pręt z łozy, który trzymała w ręku. Potem związała końce pręta, przewiesiła go sobie przez ramię, podniosła z ziemi dzban i ruszyła z powrotem. W tym momencie dostrzegła czwórkę dzieci. Białe sukienki Janeczki i Antei wyglądały jak śnieg na ciemnym tle lasu. Dziewczynka krzyknęła, dzban wypadł jej z ręki, a woda wylała się na twardą skorupę błota oraz na ryby, które również spadły na ziemię. Po chwili woda zaczęła powoli wsiąkać w rozpadliny w błocie.

— Nie bój się! — zawołała Antea. — Nie zrobimy ci nic złego.

— Kto wy jesteście? — spytała dziewczynka.

Muszę was teraz uprzedzić, że nie będę sobie zadawać trudu wyjaśnianiem, w jaki sposób dziewczynka i Antea mogły się nawzajem zrozumieć. Bo wy i tak w żadnym razie nie zrozumielibyście mnie, gdybym spróbowała wam to wytłumaczyć, podobnie jak nie możecie zrozumieć, że czas i przestrzeń są tylko sposobem myślenia. Możecie o tym sądzić, co chcecie. Może dzieci wynalazły powszechny język, rozumiały dla każdego, a którego uczeni, jak dotąd, nie wynaleźli. Dawno już pewnie spostrzeżliście, że nasza czwórka miała wyjątkowe szczęście, więc i w tym mogło się im poszczęścić. Albo też... Ale po co o tym mówić? Pozostaje faktem, że w czasie tych wszystkich przygód dzięki wynalazek nazywany obcymi językami nigdy nie sprawiał dzieciom najmniejszego kłopotu. Umiały zawsze zrozumieć, co się do nich mówi, i same być zrozumiane. Jeżeli potraficie to wytłumaczyć, proszę bardzo. Myślę, że ja potrafię zrozumieć wasze wyjaśnienie, choć wy nigdy nie zrozumiecie mojego.

Kiedy więc dziewczynka spytała: „Kto wy jesteście?”, każdy zrozumiał ją od razu i Antea odpowiedziała:

— Jesteśmy dziećmi jak ty. Nie bój się. Zaprowadź nas tam, gdzie mieszkasz.

Janeczka wsunęła głowę do torby Piaskoludka, przyłożyła usta do jego łepka i szepnęła:

— Czy to dobrze? Czy oni nas nie zjedzą? Może to ludożercy?

— Nie bręcz tak, bo drażnisz mi uszy — odparł Piaskoludek z irytacją i dodał: — Zawsze możecie wrócić na czas z powrotem, jeżeli tylko będziecie pilnować Amuletu.

Nieznamiona dziewczynka drżała ze strachu.

Antea miała na ręku bransoletkę za siedem pensów, mosiężną, ale udającą srebrną, ze zwisającym szklanym serduszkim turkusowego koloru. Dostała ją od posługaczki sprzątającej w domu niani.

— To dla ciebie — rzekła Antea, zdejmując bransoletkę. — Na dowód, że nie zrobimy ci nic złego. A jeśli ją weźmiesz, będę wiedziała, że i ty nic nam złego nie zrobisz.

Dziewczynka wyciągnęła rękę. Antea nałożyła jej bransoletkę, a twarz dziewczynki rozjaśniła się radością.

— Chodźcie — powiedziała, patrząc z zachwytem na bransoletkę. — Pokój między waszym domem i moim.

Zabrała ryby i dzban i poprowadziła ich wąską dróżką, którą tu przysła.

— Wspaniale! — zawołał Cyryl starając się być mężnym.

— Tak — potwierdził Robert przybierając ton odwagi, jakiej wcale nie odczuwał. — To prawdziwa przygoda! Wyprawa w Przeszość to całkiem co innego niż to, co było z Feniksem i dywanem.

Gęsty pas akacji i krzewów, kolczastych i nieprzyjemnych na wygląd, ciągnął się chyba na pół mili. Ścieżka była wąska, a w zaroślach panowała ciemność. Wreszcie poprzez gałęzie dojrzeli światło dzienne.

Z leśnego mroku wyszli nagle na światło słońca, którego promienie zalewały spory obszar żółtego piasku. Tu i ówdzie sterczały szare skały, pokryte kaktusami. Szkarłatne i różowe kwiaty widniały pośród mięsistych, pokrytych piaskiem liści. Z prawej strony ciągnęło się coś, co wyglądało na szarobrunatny żywopłot. Za żywopłotem błękitny dym unosił się do niebieskiego nieba. A nad tym wszystkim świeciło słońce tak, że ledwo można było z gorącą wytrzymać w ubraniach.

— Tutaj mieszkam — wskazała ręką dziewczynka.

— Nie pójde — szepnęła Janeczka do torby — jeżeli nie powiesz mi, że wszystko będzie w porządku.

Piaskoludek powinien był się wzruszyć tym dowodem zaufania. Może jednak uznał to za dowód nieufności, bo tylko parsknął:

— Jeżeli nie pójdziesz, nigdy już wam nie pomogę.

— Janeczko — szepnęła Antea — daj spokój! Pomyśl o ojcu i mamie, i o tym, że ma się spełnić nasze najgorętsze pragnienie. Poza tym w każdej chwili możemy wracać. Chodź!

— Zresztą — dodał Cyryl szeptem — Piaskoludek z pewnością wie, że nie ma niebezpieczeństwa, bo nie chciałby iść. Nie jest znowu taki niezwykle mężny. Chodź!

Wreszcie Janeczka się zgodziła. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że jest to istotnie ogromny żywopłot z gęstych, ciernistych krzaków.

— Do czego to służy? — spytał Cyryl.

— To nie dopuszcza naszych wrogów i dzikich zwierząt — wyjaśniła dziewczynka.

— Chyba musi być skuteczny — powiedział Cyryl. — Przecież niektóre z tych kolców są tak długie, jak moja noga.

W żywopłocie był otwór, przez który przeszli śladem dziewczynki. Nieco dalej był drugi żywopłot, trochę niższy, także z ciernistych krzaków, bardzo kolących i odstrasających. Wewnątrz znajdowała się jakby wioska złożona z małych chatek.

Nie było tam wcale ogródków ani ulicy. Tylko chatki zbudowane z drzewa, gałązek i gliny, a pokryte wielkimi liśćmi palmowymi. Drzwi w tych domkach były bardzo malutkie i niskie, jak drzwiczki w psich budach. Wszystkie chatki otaczał żółty piasek, twardo i gładko ubity.

W środku wioski znajdował się jeszcze jeden żywopłot. Zamykał on kawałek ziemi tej mniej więcej wielkości, co ogródek przy ich domu w Londynie.

Ledwo minęli wewnętrzny, kolczasty żywopłot, gdy otoczyły ich dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci, nadbiegających ze wszystkich stron.

Dziewczynka stanęła przed czwórką dzieci jakby dla ich ochrony i powiedziała:

— To są niezwykle dzieci spoza pustyni. Przyniosły cudowne dary i powiedziałam, że będzie pokój między nimi i nami.

Wyciągnęła rękę ukazując bransoletkę z serduszkami. Dzieci z wielkiego miasta, gdzie nic nikogo nie dziwi, jeszcze nigdy nie widziały tylu zdumionych ludzi.

Tłoczyli się wokół nich, dotykali ich ubrań i trzewików, guzików przy kurtkach chłopców i koraliki na szyjach dziewczynek.

— Powiedz coś — szepnęła do Cyryla Antea.

— Przybywamy — rzekł Cyryl, mętnie sobie przypominając okropny dzień, kiedy musiał siedzieć w poczekalni i czekać na ojca, który rozmawiał z adwokatem, a nic nie było do czytania prócz porannej gazety — przybyliśmy ze świata, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. Chcemy honorowego pokoju. Jesteśmy z wielkiego szczepu Anglosasów, zdobywców. Ale nie chcemy nic u was zdobywać — dodał pospiesznie. — Chcemy tylko przypatrzeć się waszym domom i wszystkiemu, co tutaj macie, a potem wrócimy do siebie i opowiemy o wszystkim, co widzieliśmy, aby wasze imię stało się sławne.

Przemówienie Cyryla nie powstrzymało tłumu tłoczącego się i oglądającego skwapliwie odzież dzieci. Antea pomyślała, że ci ludzie nigdy pewnie jeszcze nie widzieli tkanin, które muszą wydawać się cudowne i dziwne komuś, kto ubiera się tylko w skóry zwierząt. Ściegi w nowoczesnych ubraniach, szytych maszynowo, też zdawały się bardzo ich zdumiewać. Jednakże sami musieli też umieć szyć, gdyż ci, którzy wyglądali na wodzów, mieli coś w rodzaju krótkich spodenek z kozłej czy jeleniej skóry, przytrzymywanych na biodrach za pomocą skórzanych pasków. Kobiety zaś nosiły długie, obcisłe spódniczki ze skór zwierzęcych. Ludzie ci nie byli zbyt wysokiego wzrostu, włosy mieli jasne, krótko przycięte zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Oczy ich były niebieskie, co zdawało się dziwne w Egipcie. Większość miała na ciele tatuaże zrobione sposobem marynarskim, tylko dosyć nieudolnie.

— Co to jest? A to co? — dopytywali się ciągle i z ciekawością dotykali ubrań dzieci.

Antea szybkim ruchem zdjęła Janeczce ozdobny koronkowy kołnierzyk i wręczyła go tej kobiecie, której zachowanie było najbardziej przyjazne.

— Proszę to wziąć — powiedziała — i obejrzeć. A nas zostawcie samych. Musimy spokojnie porozmawiać.

Antea mówiła tym stanowczym tonem, jakiego używała zawsze z powodzeniem, kiedy w żaden inny sposób nie mogła skłonić swego najmłodszego braciszka, aby zachowywał się jak należy. Sposób ten okazał się skuteczny także i teraz. Tłum cofnął się, a dzieci pozostały same. Gromada ludzi stała w odległości kilkunastu kroków, oglądała koronkowy kołnierzyk i wykrzykiwała coś, ile sił w płucach. Dzieci nie miały pojęcia, co ci ludzie mówią, chociaż zdawały sobie sprawę, że mowa jest o czwórce obcych, czyli o nich. Dzieci pocieszały się, że dziewczynka obiecała im przyjaźń, ale najbardziej krzepiąca była naturalnie myśl o Amulecie.

Cała czwórka siedziała na piasku, w cieniu żywopłotu rosnącego pośrodku wioski. Teraz można było wreszcie przyjrzeć się mieszkańcom wsi i zobaczyć coś więcej niż tłum przejętych i ciekawych twarzy.

Kobiety nosiły naszyjniki z różnokolorowych kamieni i z dziwnego kształtu wisiorkami, niektóre zaś miały bransolety z kości słoniowej i krzemienia.

— No! — wykrzyknął Robert. — Gdybyśmy tu zostali, to moglibyśmy nauczyć ich mnóstwa rzeczy.

— Myślę, że i oni mogliby nas czegoś nauczyć — odparł Cyryl. — Czy zauważyliście bransoletę z krzemienia tej kobiety, której Antea dała kołnierzyk Janeczki? To jest dopiero robota. Ale nie możemy rozmawiać wciąż tylko z sobą, bo wzbudzimy podejrzenia, a prócz tego chciałbym nauczyć się od nich niektórych rzeczy. Poprośmy dziewczynkę, żeby nas oprowadziła po wiosce, a przez ten czas pomyślimy, jak zdobyć drugą część Amuletu. Tylko pamiętajcie, musimy trzymać się razem.

Antea gestem dłoni przywołała dziewczynkę, która stała nie opodal i tęsknie spoglądała na nich, a na dany jej znak skwapliwie podbiegła.

— Powiedz nam, w jaki sposób robicie bransolety? — spytał Cyryl. — Szczególnie te kamienne?

— Za pomocą innych kamieni — wyjaśniła dziewczynka. — Robią je mężczyźni. Mamy rzemieślników, którzy robią to bardzo zręcznie.

— A czy nie macie żelaznych narzędzi?

— Żelaznych? — zdziwiła się dziewczynka. — Nie wiem, o czym mówisz.

Widać było, że jest to pierwsze słowo, jakiego nie zrozumiała.

— Czy wszystkie wasze narzędzia są z krzemienia? — spytał Cyryl.

— Ma się rozumieć — powiedziała dziewczynka, szeroko otwierając oczy.

Żałuję, że nie mam czasu, aby opowiedzieć wam przebieg tej rozmowy. Dzieci chciały dowiedzieć się wszystkiego o nie znanej im krainie, ale równocześnie chciały także mówić o swoim własnym kraju. Było to zupełnie jak po powrocie z wakacji, kiedy chce się usłyszeć o wszystkim, a zarazem o wszystkim opowiedzieć. W toku rozmowy okazało się, że jest dużo słów, których dziewczynka nie może zrozumieć, i dzieci zaniechały wytłumaczenia jej, jak wygląda ich ojczyzna, gdy przekonali się, ile spośród rozmaitych rzeczy, które uważały zawsze za niezbedne, w rzeczywistości wcale nie jest koniecznych do życia.

Dziewczynka pokazała im, jak buduje się chaty, a nawet pokazała im jedną, która była właśnie w trakcie budowy. Budownictwo to różniło się ogromnie od naszego. Odmierzano kawałek ziemi wielkości przyszłej chaty i otaczano ten grunt długimi drewnianymi palami wbitymi w ziemię. Odległość między palami wynosiła mniej więcej osiem cali. Następnie w odległości ośmiu cali od tego kręgu wbijano drugi krąg pali, a później trzeci. Przestrzeń między kręgami pali wypełniano drobnymi gałązkami, a całość powlekano czarnym błotem, urabianym nogami tak długo, póki nie stało się miękkie i lepkie jak kit.

Dziewczynka opisała dzieciom, jak mężczyźni z jej plemienia polują za pomocą krzemiennych strzał i łuków oraz jak wyrabiają łodzie z trzciny i gliny. Następnie wytłumaczyła, na czym polega trzciniowe urządzenie w rzece, skąd wydobyła ryby. Był to

jakby rodzaj pułapki, krąg z trzciny wbitej w dno rzeki, z jednym tylko otworem pod powierzchnią wody; łodygi trzciny pochylały się w kierunku prądu rzeki w ten sposób, że ryba, która po głupim wpłynęła do środka, równie głupio nie mogła się wydobyć na zewnątrz.

Dziewczynka pokazała dzieciom gliniane garnki, dzbany i miski, ozdobione bogato czarno-czerwonym ornamentem, a także piękne przedmioty użytkowe z krzemienia i najrozmaitszych kamieni, jak również wszelkiego rodzaju narzędzia i broń.

— Rzeczywiście, to nadzwyczajne — powiedział protekcyjnie Cyryl — kiedy się pomyśli, że to wszystko było już osiem tysięcy lat temu.

— Nie rozumiem ciebie — odparła dziewczynka.

— To nie jest osiem tysięcy lat temu — szepnęła Janeczka. — To jest teraz i właśnie dlatego jakoś mi się to nie podoba. Lepiej wróćmy do domu, nim coś jeszcze się zdarzy. Przecież widzicie, że tutaj nigdzie nie ma Amuletu.

— A co to jest tam w środku? — wskazując na żywopłot spytała Antea, którą uderzyła jakaś nagła myśl.

— To jest święte i tajemne miejsce — szepnęła dziewczynka. — Nikt nie wie, co jest wewnątrz. Jest tam dużo ścianek, a za ostatnią ścianką znajduje się To, ale nikt nie wie, co to jest To, z wyjątkiem wodzów plemienia.

— Myślę, że ty wiesz — rzekł Cyryl bacznie spoglądając na nią.

— Dam ci to, jeżeli nam powiesz — poparła go Antea i zdjęła z palca pierścionek z oczkiem, który już poprzednio był przedmiotem ogólnego podziwu.

— Dobrze — zgodziła się dziewczynka i skwapliwie ujęła pierścionek. — Mój ojciec jest jednym z wodzów, a ja znam zaklęcie, które sprawia, że ojciec mówi przez sen. Powiem wam. Ale gdyby ktoś się domyślił, że wam powiedziałam, zabiliby mnie. Tam w samym środku jest kamienna skrzyneczka, a w niej Amulet. Nikt nie wie, skąd się wziął. Wiemy tylko, że z bardzo daleka.

— A ty go widziałaś? — spytała Antea.

Dziewczynka przytaknęła.

— Czy to podobne do tego? — spytała nagle Janeczka, pokazując jej Amulet.

Dziewczynka zbladła, jej twarz przybrała kolor zielonkawy.

— Schowaj to — szepnęła. — Musicie położyć to z powrotem. Jeżeli ktoś zauważy to u was, wszystkich nas pozabijają. Was za to, że wzięliście, a mnie dlatego, że o tej rzeczy wiedziałam. Ach, co za nieszczęście! Po coście tu przyszli?

— Nie bój się — uspokajał ją Cyryl. — Nikt się nie dowie. A ty, Janeczko, nie bądź taką kretyką na przyszłość. Widzisz, co się dzieje. Powiedz mi — zwrócił się do dziewczynki, ale nie zdążył dokończyć zdania, gdyż rozległ się głośny krzyk i z otworu w żywopłocie otaczającym wioskę wybiegł jakiś człowiek.

— Mnóstwo wrogów się zbliża! — zawołał. — Przygotujcie obronę!

Dalej nie miał już siły mówić i dysząc padł na ziemię.

— Wracajmy do domu! — błagała Janeczka. — Słuchajcie — dodała — mnie już jest wszystko jedno! Wrócę sama.

Uniosła Amulet do góry. Na szczęście nikt z plemienia nie zauważył jej, gdyż wszyscy byli zbyt zajęci. Janeczka uniosła w górę Amulet, jednak nic się nie zdarzyło.

— Nie wypowiedziałaś zaklęcia! — szepnęła Antea.

Janeczka szybko wymówiła zaklęcie, ale w dalszym ciągu nic się nie działo.

— Obróć go na wschód, idiotko! — krzyknął Robert.

— A gdzie jest wschód? — spytała Janeczka drżąc cała ze strachu.

Nikt nie wiedział. Otwarli więc torbę, by spytać Piaskoludka.

Jednak w torbie znaleźli tylko arkusz impregnowanego papieru. Piaskoludek znikł.

— Trzeba schować świętość — szepnęła dziewczynka. — Prędko!

Cyryl wzruszył ramionami i usiłował wyglądać jak ktoś bardzo dzielny.

— Schowaj to, Kiziu — powiedział. — Teraz doprawdy wpadliśmy. Musimy zostać i zobaczymy, co będzie dalej.

ROZDZIAŁ V

BITWA W WIOSCE

Sytuacja była wprost okropna. Czworo angielskich dzieci, dla których odpowiednim czasem był rok 1905, a odpowiednim miejscem Londyn, znalazło się w Egipcie 6000 lat p.n.e.^{*}, nie mając możliwości, by kiedykolwiek wrócić do własnego czasu i miejsca. Nie mogli odszukać wschodu, a słońce nie mogło się na nic przydać w danej chwili, bo ktoś tam kiedyś klarował Cyrylowi, że słońce właściwie nie zachodzi wcale na zachodzie ani, ściśle biorąc, nie wschodzi wcale na wschodzie.

Piaskoludek, kiedy nikt nie uważał na niego, wysunął się z torby i niecierpliwie ich opuścił.

Zbliżali się wrogowie. Dojdzie do bitwy. W bitwie ludzie giną, więc myśl wzięcia w niej udziału nie przemawiała wcale do dzieci.

Człowiek, który przybiegł z wiadomością o zbliżaniu się wroga, leżał nadal na piasku i ciężko dyszał. Ludność wioski pospiesznie zatykała otwory w żywopłocie gałęziami ciernistych krzewów, które wydawały się przygotowane specjalnie w tym celu. Sczepione z sobą kolczaste pęki podnosili za pomocą długich kijów w taki mniej więcej sposób, jak dzisiaj zbiera się widłami siano. Janeczka zacisnęła usta i starała się nie płakać.

Robert wymacał w kieszeni dziecinny pistolecik i naładował go różowymi, papierowymi pistonami. Była to jego jedyna broń.

Cyryl zacisnął pasek o dwie dziurki. Antea zaś, nie wiedząc, co robić, zebrała wszystkie róże, jakie mieli z sobą, odgryzła końce łodyg i umieściła bukiet w stojącym przy drzwiach jednej z chatek dzbanku z wodą. Antea zawsze miała bzika na punkcie kwiatów.

— Wiecie co? — powiedziała. — Myślę, że Piaskoludek coś dla nas przygotowuje. Nie mogę uwierzyć, że poszedł sobie i zostawił nas samych w Przeszłości. Jestem pewna, że nigdy by tego nie zrobił.

Janeczce udało się nie rozpłakać — przynajmniej na razie.

— Ale co my zrobimy? — spytał Robert.

— Nic — odparł skwapliwie Cyryl — musimy tylko być bardzo czujni. Patrzcie! Ten goniec, który przybiegł, trochę już wypoczął. Chodźmy, posłuchajmy, co powie.

Goniec najpierw uniósł się na kolana, potem przysiadł na piętach, a wreszcie wstał i zaczął mówić. Rozpoczął od wyrażenia szacunku wodzom wioski. Ale wkrótce dzieci dowiedziały się rzeczy ciekawszych.

— Popłynąłem — powiedział — tratwą na polowanie na ibisy. Odplynąłem na godzinę drogi od wioski, zastawiłem sidła i czekałem. Usłyszałem łopot wielu skrzydeł, popatrzyłem w górę i zobaczyłem stado czapli krążących w powietrzu. Widać było, że są nastraszone, więc zacząłem się zastanawiać: zwierzę może nastraszyć jedną czaplę, jeżeli ją zaskoczy, ale żadne zwierzę nie nastraszy całego ich stada. A czaple wciąż krążyły w górze, żadna nie usiadła na ziemi. Zrozumiałem wtedy, że musieli je przestraszyć ludzie, i to ludzie, którzy nie znają naszych sposobów cichego skradania się, tak żeby ptaki i zwierzęta nic nie spostrzegły. Domyśliłem się, że to nie są ludzie z naszego plemienia ani z naszych stron. Opuściłem więc tratwę, poczołgałem się wzdłuż brzegu rzeki, aż wreszcie zobaczyłem obcych. Jest ich tyłu, co ziarenek piasku w pustyni, a ostrza ich włóczni mają w słońcu czerwony odblask. Straszni ludzie, a zmierzają na tę stronę. Kiedy to zobaczyłem, popędziłem i zatrzymałem się dopiero tutaj.

— To ludzie z waszego plemienia! — rzekł jeden z wodzów zwracając się nagle z gniewem do Cyryla. — Przyszliście tu szpiegować z ich polecenia!

* p.n.e. — przed naszą erą

— Nic podobnego! — odparł z oburzeniem Cyryl. — Nie zgodzilibyśmy się zostać szpiegami za żadne skarby. Jestem pewien, że ci ludzie wcale nie są do nas podobni. Czy są podobni? — zwrócił się do gońca.

— Nie — odrzekł goniec. — Tamci mają ciemne twarze, a włosy czarne jak noc. Ale te obce dzieci może są ich bogami i zjawiły się tu, żeby im utorować drogę.

W tłumie rozległ się złowrogi szmer.

— Nigdy w życiu! — zawołał Cyryl. — Jesteśmy po waszej stronie! Pomożemy wam strzec waszej świętości.

Fakt, że Cyryl wiedział o istnieniu świętości, której należy strzec, wywarł na wodzu wrażenie. Przez chwilę wpatrywał się w dzieci, po czym powiedział:

— Dobrze. A teraz złożymy wszyscy ofiary, abyśmy byli mocni w bitwie.

Tłum rozproszył się, a dziewięciu ludzi ubranych w skóry antylop ustawiło się przed otworem w żywopłocie pośrodku wioski. Następnie jeden po drugim ludzie ci przynosili rozmaite dary, jak mięso hipopotama, strusie pióra, daktyle, czerwona i zielona kreda, ryby z rzeki i kozice z gór, a wódz plemienia przyjmował to wszystko. Niedaleko pierwszego żywopłotu był drugi; między obu żywopłotami biegła dróżka. Na dróźnie tej znikał raz po raz któryś z wodzów. Szedł z rękoma pełnymi darów, a wracał z pustymi.

— Składają ofiary swojemu Amuletowi — rzekła Antea. — Powinniśmy i my coś ofiarować.

Przeszukali pospiesznie kieszenie i znaleźli kawałek różowej tasiemki, resztki pałeczki laku do pieczętowania i kółko od zegarka, który Robert rozebrał w czasie ostatnich świąt i nie miał dotąd czasu złożyć go z powrotem. Zegarki większości chłopców są właśnie w takim stanie. Dzieci wręczyły wodzowi swoje dary, a prócz tego Antea dodała do nich czerwone róże.

Wódz spojrział na nie z przejęciem i czcią, zwłaszcza na czerwone róże i szczątek zegarka.

— Dzisiaj jest dzień wielu cudownych zdarzeń — powiedział. — Już nie mam sił dalej się dziwić. Jedna z naszych dziewczynek powiedziała, że ma być pokój między wami a nami. Ale z powodu nadejścia wroga musimy się upewnić.

Dzieci przejął dreszcz.

— Mówcie teraz. Czy jesteście po naszej stronie?

— Tak — odparł Robert — przecież wciąż wam to powtarzam. Patrzcie, dam wam znak. Widzicie ten przedmiot? — wyciągnął dziecinny pistolet. — Przemówię do niego i jeżeli odpowie mi, będziecie wiedzieli, że my wszyscy przyszliśmy tutaj, żeby strzec waszej świętości, tej, której przed chwilą składaliście ofiary.

— Czy ten bóg — spytał ostrożnie wódz — którego podobiznę trzymasz w ręku, przemówi tylko do ciebie, czy też i ja go usłyszę?

— Zdziwisz się, kiedy go usłyszysz — odparł Robert. — A teraz uwaga! — Spojrzął na pistolet i powiedział: — Jeżeli mamy strzec świętości tam ukrytej — wskazał na żywopłot — przemów twoim donośnym głosem, a usłuchamy.

Nacisnął cyngiel i pistolet wystrzelił. Huk był donośny, gdyż pistolet Roberta kosztował aż dwa szylingi i miał doskonale pistony.

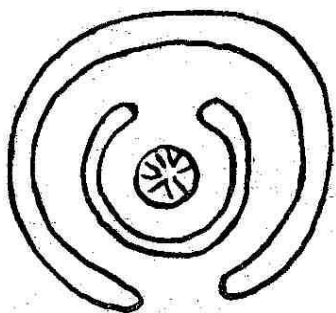
Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z wioski padli twarzą na piasek.

Wódz, który zgodził się na próbę, powstał pierwszy.

— Głos przemówił — powiedział. — Zaprowadźcie ich do przedsionka świętości.

Poprowadzono więc całą czwórkę przez otwór w żywopłocie i dalej dróżką, aż doszli do otworu w środkowym żywopłocie, przeszli tamtędy i wkroczyli na wewnętrzną dróżkę.

Wszystko to razem było urządzone w następujący sposób:



— To zupełnie jak labirynt w parku — szepnęła Antea.

Dróżki były pod gołym niebem, natomiast mała chatka pośrodku labiryntu miała okrągły dach i drzwiczki zasłonięte skórą.

— Możecie tutaj czekać — rzekł ten, co ich przyprowadził. — Ale nie próbujcie przypadkiem przejść przez zasłonę.

Sam natomiast zasłonę odchylił i znikł za nią.

— Słuchajcie — szepnął Cyryl — ktoś z nas powinien być na zewnątrz, na wypadek, gdyby zjawił się Piaskoludek.

— Nie rozdzielajmy się w żadnym razie — odparła Antea. — Już i tak jest niedobrze, że Piaskoludek odłączył się od nas. Tak czy inaczej nie możemy nic zrobić, póki ten człowiek jest tam w środku. Więc chodźmy z powrotem do wioski. Później możemy tutaj przyjść znowu, bo już znamy drogę. Ten, co tam jest, będzie pewnie musiał walczyć jak inni, jeśli dojdzie do bitwy. Jeżeli znajdziemy Piaskoludka, to wrócimy prosto do domu. Musi już być dosyć późno, a ten labirynt nie bardzo mi się podoba.

Dzieci wyszły na zewnątrz i powiedziały wodzowi, że będą strzegły świętości, kiedy zacznie się bitwa. Rozejrzały się wokoło i zobaczyły dokładnie, jak robotnik specjalista od krzemienia szlifuje i nacina strzałę czy też ostrzy toporek — czego nie widział nikt inny z ludzi żyjących dzisiaj. Chłopcy z wielkim zaciekawieniem przyglądali się broni. Strzały nie wyglądały wcale jak strzały wypuszczane z łuku: były to tylko groty do rzucania ręką. Główną broń stanowił kamień przymocowany do krótkiego kija, podobny do narzędzia, jakie za dawnych lat brano z sobą w drogę dla ochrony przed rozbójnikami. Były tam prócz tego jakby długie włócznie czy piki, bardzo ostre noże z krzemienia i toporki.

Cała ludność była tak zajęta, że wioska wyglądała jak jedno wielkie mrowisko, na które ktoś przypadkiem nadepnął. Krząły się przy tym wszystkie kobiety, a nawet i dzieci.

Wtem powietrze zaczerwieniło się i rozżarzyło jak wnętrze nagle otwartego wielkiego pieca. A w chwilę potem zrobiło się tak, jakby równie nagle zamknięto drzwiczki pieca. Słońce bowiem zaszło i zapadła noc.

W Egipcie sprzed 8000 lat słońce miało zwyczaj nagłego zachodzenia, a zdaje się, że i teraz nie zmieniło swych obyczajów i nadal zachodzi w taki sam sposób. Dziewczynka podprowadziła dzieci do stosu suchego sitowia, przykryła je skórą i powiedziała:

— Mój ojciec mówi, że teraz wróg jeszcze nas nie napadnie, więc kładźcie się spać.

Wydało się to istotnie dobrym pomysłem. Można by sądzić, że pośród tylu niebezpieczeństw dzieci nie będą mogły zasnąć. Jednakże mimo że były porządnie wystraszone, wciąż miały uczucie — ukryte gdzieś głęboko, ale wciąż rosnące — że na Piaskoludku można polegać i że wobec tego są zupełnie bezpieczne. W rezultacie, choć bardzo się bały, nie czuły się tak zupełnie nieszczęśliwe.

— Chyba będziemy spać — rzekł Robert. — Sam nie wiem, co niania robi, kiedy zobaczy, że nie wróciliśmy na noc. Pewnie zawiadomi policję. Żeby tylko mogli nas znaleźć. Chętnie zobaczyłbym nawet, tuzin policjantów. Ale na razie nie ma co się przejmować — dodał uspokajająco. — Dobranoc.

W chwilę potem cała czwórka już spała.

Zbudziły ich głośne, przewlekłe a straszliwe odgłosy, napływające ze wszystkich stron. Potwornie groźne okrzyki, wycie i wrzaski brzmiały, jak później powiedział Cyryl, niczym głosy, ludzi spragnionych krwi wroga.

— To głosy obcych — powiedziała dziewczynka wyłaniając się z mroku. — Zaatakowali żywopłot, ale nie mogli przedrzeć się przez kolce. Mój ojciec mówi, że nie spróbują na nowo przed wschodem słońca. Ale krzyczą, żeby nas przestraszyć. Jakbyśmy byli dzikusami, co mieszkają na bagnach! — dodała z oburzeniem.

Straszliwe hałasy trwały przez całą noc. Ale gdy słońce wzeszło, równie nagle jak poprzednio zaszło, hałasy natychmiast ucichły.

Dzieci nie miały jednak czasu tym się cieszyć, gdyż spoza żywopłotu spadł grad ostrych strzał i wszyscy zaczęli kryć się za chatkami. Ale w następnej chwili strzały posypały się z przeciwnej strony i tłum zaczął szukać innego schronienia. Cyryl wyciągnął strzałę, która utknęła w dachu stojącej obok chatki. Grot zrobiony był z błyszczącej miedzi.

Potem znowu rozległ się wrzask i żywopłot zaczął trzeszczeć. Wrogowie zdołali go przełamać. Wszyscy mieszkańcy zbiegli się na to miejsce, miotając kamienie i krótkie strzały z krzemiennymi grotami. Dzieci nigdy dotąd nie widziały ludzi z błyskiem walki w oczach. Było to dziwne i straszne, wywoływało przykre dławienie w gardle, a widok był całkowicie inny niż wygląd bitew na obrazkach w tygodnikach ilustrowanych oglądanych w domu.

Początkowo grad kamieni odparł oblegających. Obleżeni odetchnęli, ale w tej samej chwili krzyk i trzaski rozległy się po przeciwnej stronie wioski. Tłum popędził, by bronić tego miejsca, i walka toczyła się raz po jednej, a raz po drugiej stronie, gdyż obleżeni nie potrafili rozdzielić swoich sił, jak to uczynili wrogowie.

Cyryl spostrzegł, że raz po raz ktoś z walczących wbiegał do labiryntu i wybiegał stamtąd z rozjaśnioną twarzą, bardziej bojowym wyglądem i wyprostowaną postawą.

— Pewnie dotykają Amuletu — powiedział. — Pamiętacie, co mówił Piaskoludek? Że czyni on ludzi mężnymi.

Dzieci zakradły się do labiryntu i stwierdziły, że Cyryl miał rację. Jeden z wodzów stał przed skórzaną zasłoną i, w miarę jak wojownicy podchodzili, szeptał jakieś słowa, których nie było słyhać, i dotykał ich czół czymś, co było niewidoczne. Trzymał to coś w rękę i widać było, że przez jego palce prześwituje błysk znanego dzieciom czerwonego kamienia.

Wściekła walka toczyła się wzdłuż żywopłotu otaczającego labirynt. Nagle rozległ się głośny i bolesny okrzyk:

— Dostali się! Przełamali żywopłot!

Wódz znikł za skórzaną zasłoną.

— Poszedł, żeby schować Amulet! — zawołała Antea. — Ach, duszku kochany, jak mogłeś nas opuścić?

Wtem z chatki okrytej zasłoną ze skór dał się słyszeć krzyk. Wódz wybiegł blady ze strachu i uciekł poza labirynt. Dzieci były równie blade jak on.

— Co się dzieje! Co się dzieje? — jęczała Antea. — Ach, Piaskoludku! Jak mogłeś?!

Odgłos walki nadpływał donośnymi, to znów słabszymi falami. Brzmiało to jak przyływ i odpływ fal morskich.

— Piaskoludku! — krzyknęła drżącym głosem Antea. — Ach, Piaskoludku!

— O co chodzi? — rozległ się dzielny głosik, włochata łapka uniosła brzeg zasłony ze skór i z wnętrza wynurzyły się ślimacze oczka i nietoperze uszka Piaskoludka.

Antea chwyciła go w ramiona i dzieci odetchnęły z ulgą.

— Powiedz, gdzie jest wschód? — spytała Antea z nowym przyływem strachu, gdyż odgłos dzikiej walki zbliżał się coraz bardziej.

— Nie duś mnie! — krzyknął Piaskoludek. — Chodźcie do środka!

W chatce było zupełnie ciemno.

— Mam zapalki — rzekł Cyryl; zapalił zapalkę i oświetlił wnętrze. Chatka zamiast podłogi miała warstwę miękkiego piasku.

— Zdrzemnąłem się tutaj — powiedział Piaskoludek. — Bardzo mi było wygodnie. Najlepszy piasek bodaj od miesiąca. Nie bójcie się. Wszystko jest w porządku. Wiedziałem, że jedyna dla was sposobność będzie w czasie walki. Tamten wódz już nie wróci. Ugryzłem go, a on myśli, że jestem Złym Duchem. Teraz weźcie Amulet i chodźmy.

Chatka od góry do dołu obwieszona była skórami. Na środku znajdowały się zebrane wczoraj dary, na samym wierzchu widniały róże Antei. Obok chatki stał duży, prostokątny kamień, na nim zaś spoczywało gliniane puzderko z namalowanymi na jego wieczku dziwnymi postaciami ludzi i zwierząt.

— Czy to jest w środku? — spytał Cyryl, gdy Piaskoludek wskazał im puzderko.

— Sami osądźcie — odparł Piaskoludek. — Wódz miał już zakopać to pudełeczko w piasku, kiedy wyskoczyłem i ugryzłem go.

— Zapal jeszcze jedną zapalkę, Robert! — krzyknęła Antea. — A teraz prędko powiedz, gdzie jest wschód?

— Oczywiście tam, gdzie wschodzi słońce!

— Ale ktoś nam mówił...

— Ach, mogli wam nie wiem co opowiadać! — zawołał niecierpliwie Piaskoludek. Wsunął się do torby i przykrył impregnowanym papierem.

— Przecież stąd słońca nie widać, a zresztą teraz ono wcale nie wschodzi! — wtrąciła Janeczka.

— Ale umiecie marnować czas! — obruszył się Piaskoludek. — Przecież wschód jest tam, gdzie ten kamień. O, tam!

Wskazał w kierunku prostokątnego kamienia.

Wrzawa i odgłosy bitwy stawały się z każdą chwilą coraz bliższe. Dzieci domyślały się, że wodzowie otoczyli chatkę, by jak najdłużej chronić swój skarb przed wrogami. Żaden z wodzów jednak nie miał odwagi wejść do środka, odkąd Piaskoludek ugryzł nagle jednego z nich.

— Uważaj, Janeczko — mówił z pośpiechem Cyryl. — Ja zabiorę ich Amulet, a ty bądź gotowa unieść nasz i pamiętaj, nie wypuszczaj go z ręki, kiedy będziesz przechodziła.

Zrobił krok naprzód, ale w tej samej chwili rozległ się trzask i wnętrze chatki zalał blask słońca. Dach rozpadł się na dwoje, rozszczępiony przez dwie włócznie. Dzieci drżąc ze strachu zmrużyły oczy pod wpływem światła, a czyjeś wielkie, czarne dłonie rozdarły skórzaną zasłonę i do środka zajrzała jakaś ciemna twarz o grubym, płaskim nosie. Antea zdążyła nawet w tej strasznej chwili pomyśleć, że przypomina jej twarz sklepikarza, który sprzedał im talizman w londyńskiej graciarni.

— Tu jest ich Amulet — rozległ się mocny, ochryply głos. — Przez to są tacy silni i tak dzielnie się biją. Ale kto tutaj jest — bogowie czy demony?

Wściekłym spojrzeniem obrzucił dzieci, a białka jego oczu były przeraźliwie białe. W zębach trzymał mokry, czerwony, miedziany nóż. Nie było ani chwili do stracenia.

— Janeczko! Janeczko, p r ę d k o ! — zawołali wszyscy.

Janeczka drżącymi rękoma wyciągnęła Amulet w kierunku wschodu, a Cyryl wymówił zaklęcie. Amulet rozrósł się do rozmiarów dużego łuku. Dokoła widniało rozświetlone, egipskie niebo, zerwana zasłona i okrutna, ciemna twarz o wielkim płaskim nosie i z czerwonym, mokrym nożem w błyszczących zębach. Wewnątrz łuku można było dojrzeć wybladłą, jakby pyłem pokrytą, zielen trawy i drzew Londynu.

— Trzymaj mocno, Janeczko! — krzyknął Cyryl i skoczył przez łuk, ciągnąc za sobą Antę z Piaskoludkiem. Robert skoczył następny, pociągając Janeczkę. W miarę zaś jak mijali łuk, zamierał odgłos bitwy. Po chwili słyszeli już tylko przygłuszony gwar ogromnego Londynu, ćwierkanie wróbli i głosy kilkorga małych dzieci bawiących się w ojca Wirgiliusza

na poźółkłej i wygniecionej trawie parku. Amulet zaś był znów maleńkim talizmanem w ręku Janeczki, a obok leżał na trawie koszyk z obiadem i plackiem drożdżowym. Dokładnie tam, gdzie go zostawili.

— Ależ to była przygoda! — wykrzyknął Cyryl.

— Tak by to wyglądało — przyznał Piaskoludek. Cała czwórka leżała bezpiecznie na trawniku, oddychając świeżym powietrzem parku.

— Musimy się pośpieszyć — rzekła wreszcie Antea. — Bo niania pewnie strasznie się niepokoi. Słońce stoi mniej więcej tak samo wysoko, jak wczoraj, kiedy wyruszyliśmy. Nie było nas w domu przez całą dobę.

— Ale ciasto jest zupełnie miękkie — zauważył Cyryl dotykając palcem ciasta w koszyku. — Może padła na nie rosa...

Dziwna rzecz, ale dzieci wcale nie były głodne. Zabrały koszyk z ciastem i torbę z Piaskoludkiem i poszły prosto do domu.

Stara niania była bardzo zdziwiona.

— Co się stało? — spytała. — Tak prędko znużyła się wam wyprawa?

Dzieci uznały to za gorzką ironię, to znaczy za mówienie czegoś wprost odwrotnie, niż się myśli, po to, aby komuś dokuczyć. Tak na przykład się dzieje, jeżeli masz przypadkiem zawałaną twarz, a ktoś ci powie: „Ach, jak ty ślicznie i czyściutko wyglądasz!”

— Bardzo przepraszamy — zaczęła Antea.

Lecz niania jej przerwała:

— Och, moje dzieci, dla mnie to jest bez różnicy! Jeżeli nie miałyście ochoty... No, ale chodźcie na obiad. Ziemniaki już się gotują.

Niania wyszła do kuchni, a dzieci spojrzały po sobie. Czy doprawdy niania tak się zmieniła, że było jej wszystko jedno, choć nie wróciły na noc do domu, i to bez żadnego wytłumaczenia?

Lecz Piaskoludek wysunął łepkę z torby i wyjaśnił:

— Nad czym się tak zastanawiacie? Czy jeszcze nie rozumiecie? Przecież wróciliście przez łuk Amuletu w tej samej chwili, co wyszliście. To wcale nie jest jutro.

— Więc to jest wczoraj? — spytała Janeczka.

— Nie, to jest dzisiaj. Nie można przecież łączyć teraźniejszości z Przeszłością i dobierać kawałki jednej i drugiej, żeby do siebie pasowały.

— W takim razie cała przygoda wcale nie zabrała nam czasu?

— Możecie określić to, jak sobie chcecie — odparł Piaskoludek. — Nie zabrała w każdym razie nic z dzisiejszego czasu.

Wieczorem Antea zaniósła uczonemu befszytk na obiad. Namówiła posługaczkę, która dała jej bransoletkę z niebieskim kamykiem, aby pozwoliła się w tym wyreczyć. I gdy uczony jadł obiad, Antea, na jego zaproszenie asystując przy tym, opowiedziała całą przygodę.

— Dziś po południu znaleźliśmy się nad brzegiem Nilu — zaczęła. I zakończyła słowami: — A wtedy przypomnieliśmy sobie, w jaki sposób wrócić, i znaleźliśmy się na trawniku w parku, a wszystko to razem nie zabrało wcale czasu.

Nie wspomniała tylko ani o Amulecie, ani o Piaskoludku, gdyż tego nie było wolno. Jednakże cała przygoda była i tak nadzwyczajna i wprost zdumiała uczonego.

— Jesteś doprawdy niezwykłą dziewczynką — powiedział. — Kto wam opowiada to wszystko?

— Nikt — odparła Antea. — Nam się to po prostu zdarza.

— Fantazjowanie — powiedział uczony z namysłem, jak ktoś, kto przypomina sobie i wymawia dawno zapomniane słowo.

Długi czas po wyjściu Antei siedział nieruchomo. Wreszcie zerwał się z krzesła.

„Muszę naprawdę wypocząć — pomyślał. — Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Przed chwilą miałem dokładne złudzenie, że mała dziewczynka, co mieszka na dole, przyszła tutaj i

opisała mi bardzo dokładnie i plastycznie obraz życia w przedhistorycznym Egipcie, tak jak je sobie wyobrażam. Dziwna rzecz! Co za figle mózg potrafi płatać człowiekowi! Muszę na siebie uważać”.

Zjadł kawałek chleba i wyszedł na długi spacer przed powrotem do dalszej pracy.

ROZDZIAŁ VI

DROGA DO BABILONU

*Ile stąd mil do Babilonu?
„Sześć razy dziesięć. Nie wiesz o tym?”
Czy można dojść tam, nim zgaśnie świeczka?
„Nie tylko tam, ale z powrotem”.*

Janeczka śpiewała kołysankę lalce, kołysząc ją w domku, który zbudowała dla niej i dla siebie. Dachem domku był stół jadalny, za ściany służyły obrusy, rozwieszane na brzegach stołu i przytrzymywane przez ciężkie tomy książek.

Reszta dzieci z zapałem uprawiała domowe saneczkowanie. Wiecie, jak to się robi? Używa się w tym celu największej i najlepszej tacy, którą zsuwa się po dywanie na schodach. Najlepiej wypada to wtedy, kiedy myje się schody i dywan przytrzymywany jest tylko przez gwoździe u góry schodów. Oczywiście, jest to jedna z pięciu czy sześciu najlepszych zabaw, o których dorośli nie mają pojęcia i krzywo na nie patrzą. Stara niania, choć na ogół bardzo poczciwa, była wystarczająco dorosła, aby zabraniać saneczkowania na długo przedtem, zanim biorące w tym udział dzieci miały tego choć trochę dosyć. Zabrała tacę, a zrozpaczona trójka poszła do saloniku w nastroju bardzo ponurym.

— Co się tu dzieje?! — zawołał Cyryl.

— Przestań wyc, Janeczko! — dodał Robert. Nawet Antea, zawsze wyrozumiała, radziła Janeczce, by zaśpiewała coś innego.

— Mam tego po same uszy — rzekła.

Na dworze padał deszcz, więc wszystkie plany obejrzenia w Londynie tego, co można zobaczyć za darmo, spełzyły na niczym. Wszyscy myśleli przez całe rano o nadzwyczajnych przygodach poprzedniego dnia, kiedy Janeczka uniosła talizman, ten zaś zamienił się w łuk, przez który wszyscy wkroczyli wprost z teraźniejszości z londyńskiego parku do Egiptu sprzed ośmiu tysięcy lat. Wspomnienia wczorajszych zdarzeń były wciąż bardzo świeże i przerażające, więc mieli nadzieję, że nikt nie zaproponuje nowej wycieczki w Przeszłość. Wszystkim bowiem zdawało się, że wczorajsze przygody wystarczą na dobry tydzień. Ale każdy obawiał się, by inni nie pomyśleli, że się boi, i wreszcie Cyryl, który naprawdę nie był tchórzem, zrozumiał, że byłoby bardzo nieprzyjemnie, gdyby musiał siebie za takiego uznać. Powiedział więc:

— Wiecie co... Słuchajcie... Janeczko, wyjdź stamtąd! Musimy pomówić o talizmanie.

— Ach — odparł Robert — jeśli tylko o to chodzi...

Janeczka posłusznie wysunęła się ze swego domku i usiadła obok. Dotknęła talizmanu, by się upewnić, że nadal ma go na szyi.

— Nie tylko o to chodzi — rzekł z naciskiem Cyryl, ponieważ uważał, że w głosie Roberta było coś niegrzecznego, i rzeczywiście było. — Musimy zająć się Amuletem. Po co go mamy, jeżeli będzie pozostawał bezczynny i bez pożytku?

— Ja, naturalnie, zgadzam się na wszystko — powiedział Robert i dodał wytwornie rycerskim tonem: — Ale nie jestem pewien, czy dziewczynki mają dzisiaj ochotę.

— O, tak, nawet bardzo! — zawołała skwapliwie Antea. — Jeżeli wam się zdaje, że się boję, to się mylicie.

— A ja się boję — wtrąciła żałośnie Janeczka. — Wcale mi się tam nie podobało i za żadne skarby nie poszłabym tam znowu.

— Nie pójdziemy tam znowu, głuptasie — odparł Cyryl. — Pójdziemy zupełnie gdzie indziej. Pójdziemy w jakieś miejsce, gdzie najprawdopodobniej będą lwy i tygrysy.

Widok przestraszonej Janeczki dodał odwagi reszcie rodzeństwa. Orzekli, że z całą pewnością mają ochotę się gdzieś wybrać.

— Powinniśmy to zrobić choćby przez wzgląd na Piaskoludka — dodała trochę niepewnie Antea.

Janeczka wstała. Była w zupełnej rozpaczy.

— A ja nie chcę! — zawołała gwałtownie. — Nie chcę, nie chcę! Jeżeli mnie do tego zmusicie, będę krzyczała i powiem niani, a niania spali talizman pod kuchnią. Tak!

Można sobie wyobrazić, jak wszyscy byli wściekli, widząc, że Janeczka odczuwa dokładnie to samo, co każde z nich czuło przez cały ranek.

„Nikt nie może powiedzieć, że to moja wina” — pomyślało każde z dzieci. I wszyscy zaczęli jednocześnie tłumaczyć Janeczce, że to jej wina i że są na nią oburzeni. Dzięki temu odczuli wyraźny przypływ odwagi.

*Nie zda mu się to na wiele,
Kiedy ktoś językiem miele,
Bo mu długi język utną
I gadule będzie smutno...*

— zanucił Robert.

— Z dziewczynami to zawsze tak — rzekł Cyryl z pogardą, gorszą jeszcze niż złośliwa piosenka Roberta. Nawet Antea odcięła się w sposób bardzo uszczypliwy:

— A ja się nie boję, choć jestem dziewczyną.

Janeczka przytuliła do siebie lalkę.

— A ja nie pójdę! I wszystko mi jedno! To nie ma sensu chodzić tam, gdzie się nie ma ochoty. Szczególnie kiedy znowu nie wiadomo, jak tam będzie! Możecie śmiać się ze mnie, ile się wam podoba. Jesteście wstrętni! Nie cierpię was wszystkich!

Po czym wyszła trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Nikt z pozostałych nie śmiał spojrzeć drugiemu w oczy. Opuściła ich odwaga.

Cyryl zabrał się do książki, ale okazała się nieciekawa. Robert bezmyślnie kopał nogę krzesła. W chwilach emocji jego nogi były zawsze bardzo ruchliwe. Antea zaplatała frędzle przy serwecie leżącej na stole i zdawała się bardzo tym zajęta. W oddali zamierał odgłos szlochów Janeczki.

— Uspokójcie się — odezwała się nagle Antea. — Biedna Kizia! Przecież wiecie, że jest najmłodsza...

— Powiedziała, że jesteśmy wstrętni — odparł Robert kopiąc zaciekle krzesło.

— Prawdę mówiąc — rzekł Cyryl, który miał napady poczucia sprawiedliwości — wiesz sam, że myśmy zaczęli. A właściwie ty. — Poczucie sprawiedliwości Cyryla było zawsze bezwzględne.

— Nie będę jej przeproszał, jeśli to masz na myśli — odparł Robert, a krzesło aż trzasnęło pod uderzeniem jego nogi.

— Ach, dajcie spokój! — zawołała Antea. — Jest nas troje na nią jedną, a mama wprost nie znosi, kiedy się kłócimy. Jeżeli chcecie, to ja ją pierwsza przeproszę, choć właściwie nic jej nie powiedziałam.

— Dobrze, niech będzie zgoda — rzekł Cyryl otwierając drzwi. — Chodź tutaj, Kiziu!

Wysoko, u szczytu schodów, słychać było głos, załamujący się, ale pełen wyzwania. Głos śpiewał:

*Ile stąd mil (yyy) do Babilonu?
„Sześć razy dziesięć. Nie wiesz o tym?” (yyy)
Czy można dojść tam, nim zgaśnie świeczka?*

„Nie tylko tam, ale z powrotem”, (yyy)

Intencja dokuczenia była zupełnie wyraźna. Ale Antea nie poddała się tej myśli. Pędziła po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, aż znalazła się obok Janeczki, która siedziała na samej górze, kołysząc lalkę w rytm piosenki, jaką usiłowała śpiewać.

— Słuchaj, Kiziu, niech już będzie zgoda! Bardzo cię przepraszamy, jeżeli...

To wystarczyło. Wszyscy ucałowali się na zgodę. Janeczka jako najmłodsza miała prawo do tej ceremonii. Antea przeprosiła ją osobno.

— Bardzo przepraszam cię, Kiziu, jeżeli byłam świnką. Zwłaszcza że w gruncie rzeczy ja też nie chciałam znowu iść w Przeszłość. Ale z drugiej strony, myślę, że jeżeli tam nie pójdziemy, to nie znajdziemy Amuletu. A wtedy, pomyśl, Kiziu, przecież to jedyny sposób, żeby ojciec i mama, i Baranek wrócili! Musimy się tam wybrać, ale możemy poczekać dzień albo dwa, jeżeli chcesz, a wtedy może będziesz odważniejsza.

— Surowe mięso działa po prostu cudownie — rzekł Robert dla podkreślenia zgody. — Dodaje odwagi nawet pełnym tchórzom. Surowe mięso i żurawiny. Żywią się tym Tatarzy, a wiadomo, że oni są okropnie odważni. Zdaje się, że żurawiny można dostać tylko po Bożym Narodzeniu, ale poproszę nianię, żeby ci zrobiła befszytk po tatarsku. Oczywiście, jeżeli chcesz.

— Myślę, że potrafię być odważna i bez tego — odparła z pośpiechem Janeczka, która nie znosiła surowego mięsa. — W każdym razie postaram się.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju uczonego, który ukazał się na progu.

— Przepraszam bardzo — spytał uprzejmym tonem — ale zdaje mi się, że usłyszałem jakieś znane mi słowo. Czy to nie była jakaś stara ballada o Babilonie?

— Chyba nie — odparł Robert. — Wprawdzie Janeczka śpiewała „Ile mil”, ale wątpię, czy pan mógł rozróżnić słowa z powodu...

Już chciał powiedzieć „z powodu beczenia”, lecz Antea uszczypnęła go w samą porę.

— Nie dosłyszałem wszystkich słów — rzekł uczony — ale może zechcielibyście je powtórzyć?

Wszyscy więc zadeklamowali chórem:

Ile stąd mil do Babilonu?

„Sześć razy dziesięć. Nie wiesz o tym?”

Czy można dojść tam, nim zgaśnie świeczka?

„Nie tylko tam, ale z powrotem”.

— Ach, żeby to można było! — westchnął uczony.

— A czy nie można? — spytała Janka.

— Babilon upadł — odparł z ponownym westchnieniem uczony. — Może wiecie, że niegdyś było to wielkie i piękne miasto, ośrodek nauki i sztuki. Ale teraz zostały z niego tylko ruiny, tak doszczętnie zasypane ziemią, że nawet nie wiadomo dokładnie, gdzie właściwie miasto leżało.

Oparty o poręcz schodów uczony patrzył na dzieci dalekim spojrzeniem, jakby przez okno klatki schodowej widział wspaniałość i chwałę starożytnego Babilonu.

— Czy pan pamięta — spytał nagle Cyryl — talizman, który kiedyś pokazywaliśmy panu, a pan powiedział nam, jakie imię na nim jest wyryte?

— Pamiętam!

— A czy nie myśli pan, że ten talizman był kiedyś w Babilonie?

— To zupełnie możliwe — przytaknął uczony. — Takie amulety znajdowano w najwcześniejszych grobowcach egipskich, ale nie zdaje się, aby ich pochodzenie było z całą pewnością egipskie. Mogły być przywiezione z Azji. A nawet jeżeli były wyrabiane w

Egipcie, mógł je zawieźć do Babilonu poseł przyjaźni albo też mogła je zdobyć w Egipcie armia babilońska. Sam napis może być późniejszy od amuletu. Tak, chociaż to tylko przypuszczenie, ale wasz piękny okaz mógł kiedyś znajdować się w Babilonie.

Dzieci porozumiały się oczami. Pierwsza przemówiła Janeczka:

— Czy Babilończycy byli dzikimi ludźmi? Czy wciąż wojowali i rzucali na ludzi różne rzeczy? — w świetle własnych obaw Janeczka bezbłędnie odczytała myśli całej gromadki.

— Babilończycy byli z całą pewnością znacznie mniej wojowniczy od Asyryjczyków — rzekł uczony. — I w żadnym razie nie byli dzikusami. Mieli bardzo wysoki poziom kultury — ciągnął patrząc z powątpiewaniem na swoich słuchaczy. — To znaczy wykonywali piękne posągi i biżuterię i budowali wspaniałe pałace. Byli też bardzo uczeni. Mieli znakomite biblioteki i wysokie wieże dla obserwacji astrologicznych i astronomicznych.

— Jakich? — spytał Robert.

— Dla oglądania gwiazd i przepowiadania przyszłości — wyjaśnił uczony. — Były tam także świątynie i przepiękne wiszące ogrody.

— Mogę pójść do Babilonu, jeżeli chcecie — powiedziała nagle Janeczka, a pozostała trójka pośpiesznie zawołała: „Zrobione!”, nim Janeczka zdążyłaby zmienić zamiar.

— Tak — uśmiechnął się smutnie uczony — jak się jest młodym, można w marzeniach wybrać się bardzo daleko — tu westchnął głęboko i dodał ze starannie udawaną beztroską: — Spodziewam się, że będziecie dobrze się bawić. — Po czym wrócił do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Mówił o zabawie, jakby mówił obcym językiem — zauważył Cyryl. — Chodźcie! Weźmiemy Piaskoludka i zaraz wyruszamy. Myślę, że Babilon będzie wspaniałym miejscem.

Zbudzili więc Piaskoludka, umieścili go w torbie i przykryli impregnowanym papierem na wypadek, gdyby w Babilonie padał deszcz. Duszek bardzo się gniewał, ale powiedział, że może równie dobrze udać się do Babilonu, jak gdzie indziej.

— Tam jest dobry piasek — dodał.

Następnie Janeczka uniosła w górę Amulet, a Cyryl powiedział:

— Chcemy znaleźć się w Babilonie i poszukać tam brakującej części ciebie. Czy możesz nas tam przenieść?

— Przenieś nas gdzieś za miasto — dodała z pośpiechem Janeczka. — Bo jeżeli nam się tam nie spodoba, możemy nie wchodzić do samego miasta.

— Jak długo będziecie marudzić? — fuknął Piaskoludek.

Antea wobec tego szybko wymówiła zaklęcie, bez którego Amulet nie mógł nic zdziałać.

— Ur Hekau Seczeh! — wypowiedziała ściszym głosem. Amulet zaś przekształcił się w łuk tak wysoki, że sięgał szczytem sufitu. Na zewnątrz łuku znajdowała się nadal sypialnia z komodą, fabrycznym dywanem, umywalką i dzbankami stojącymi na niej, wypłowiałymi firankami i bladym światłem deszczowego dnia. Natomiast wewnątrz łuku widniały piękne, zielone liście i pęki białych kwiatów. Dzieci z przyjemnością przeszły pod łukiem. Nawet Janeczka odniosła wrażenie, że tam nie może być lwów, i ręka jej, w której trzymała Amulet, prawie wcale nie drżała, gdy reszta rodzeństwa przechodziła pod łukiem. Na samym końcu przemknęła się sama i powiesiła talizman, który teraz był już znowu mały, na wstążeczce okalającej jej szyję.

Dzieci znalazły się w kwitnącym sadzie, pod drzewem owocowym o białych pąkach i zielonych liściach.

W trawie u ich stóp rosły krokusy, lilie i jakieś nie znane im, dziwne, błękitne kwiaty. W gałęziach nad ich głowami śpiewały kosy i drozdy, a gdzieś w głębi ogrodu odzywała się turkawka.

— Ach, jak tu ślicznie! — zawołała Antea.

— Przecież tu jest zupełnie jak u nas — to znaczy jak w Anglii — tylko kwiaty są większe, a wszystko jest bardziej niebieskie, bielsze i bardziej zielone.

Chłopcy przyznali, że ogród im się podoba, i nawet Janeczka orzekła, że jest tu bardzo ładnie.

— Jestem zupełnie pewna, że możemy niczego się nie bać — rzekła Antea.

— A ja nie jestem pewna — odparła Janeczka. — Myślę, że drzewa kwitną tak samo, kiedy ludzie się zabijają. Wcale nie podobało mi się, co nasz uczony znajomy pan mówił o wiszących ogrodach. Mam wrażenie, że wiszące ogrody są po to, żeby tam ludzi wieszać. Ale może ten nie jest taki...

— Pewnie że nie — wyjaśnił Cyryl. — Wiszące ogrody to po prostu ogrody, które wiszą. Chyba na łańcuchach między domami. Wiesz? Jak takie duże tace. Ale chodźmy stąd; na pewno gdzieś zajdziemy.

Szli po miękkiej i chłodnej trawie, ale wszędzie było tylko mnóstwo drzew. Kiedy kończył się jeden ogród, zaczynał się drugi, oddzielony od tamtego strumieniem przejrzystej wody. Przeskakiwali strumienie, a Cyryl, który bardzo lubił ogrodnictwo — to znaczy lubił patrzeć, jak pracuje ogrodnik — zdobył respekt pozostałej trójki wymieniając nazwy bardzo wielu drzew. Były tam drzewa migdałowe i orzechowe, morele i figi o wielkich, pięciopalczastych liściach. A wszędzie płynęły przezroczyste strumyki.

Wreszcie doszli do sadu, który wyglądał zupełnie inaczej niż inne. W jednym jego rogu stał niski budynek.

— To winorośle — powiedział przemądrzałym tonem Cyryl. — A wszystko razem to jest winnica. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w tym budynku był przyrząd do wyciskania soku z winogron.

Wyszli wreszcie spośród ogrodów na drogę, wzdłuż której rosły cyprysy, akacje i zarośla tamaryszków, jakie zobaczycie między Niceą a Cannes*, jeżeli się tam kiedykolwiek wybierze.

Na końcu drogi widniały niezliczone budynki. Były to domy kamienne i drewniane, otoczone zielonymi ogrodami i opasane ogromnym murem, czerwieniejącym w słońcu wczesnego ranka. Mur był bardzo wysoki, prawie jak kościół, i były w nim osadzone olbrzymie bramy, połyskujące jak złoto w promieniach wschodzącego słońca.

Z obu stron każdej bramy wznosiła się potężna, kwadratowa wieża, znacznie wyższa od muru.

Za murem były także liczne wieże i domy błyszczące od złota i jaskrawych kolorów. Z lewej strony płynęła szarobłękitnym półkołem szeroka rzeka. Widać było, że przecina miasto i wypływa w miejscu, gdzie mur tworzył ogromny łuk.

— Te pierzaste drzewa wzdłuż rzeki to palmy — rzekł pouczająco Cyryl.

— No tak — odparł Robert — ty wszystko, naturalnie, wiesz. A co to za zielonkawe rośliny tam na piasku?

— Nic ci już nie powiem — obraził się Cyryl. — Myślałem, że będziesz umiał odróżnić palmę od innych drzew.

— Patrzcie! — zawołała Antea. — Otwierają bramy!

Istotnie, bramy otwarły się z metalicznym zgrzytem i na drogę wyszło kilkunastu ludzi kierując się w stronę dzieci.

Cała czwórka zgodnie skryła się w zaroślach tamaryszku.

— Nie podoba mi się zgrzyt tych bram — powiedziała Janeczka. — Wyobraźcie sobie, że jesteśmy w środku i nagle je zamkną. Nie moglibyśmy się wydostać.

— Masz przy sobie talizman i przy jego pomocy zawsze się możesz wydostać — przypomniał jej Piaskoludek wysuwając łepkę z torby. — Nie zachowuj się wciąż jak dziewczyna. Na twoim miejscu poszedłbym prosto do miasta i powiedziałbym, że chcę rozmawiać z królem.

* Nicea, Cannes — miejscowość w południowej Francji

Pomysł był równocześnie prosty i wspaniały, wszystkim więc się podobał. Kiedy robotnicy już przeszli, a dzieci były pewne, że są to robotnicy, bo byli bardzo zwyczajnie ubrani w długie, żółte albo niebieskie szaty (podobne do koszul), cała czwórka pomaszzerowała odważnie ku wielkiej, spiżowej bramie między wieżami. Łuk ponad bramą wyglądał jak tunel, gdyż mur był bardzo gruby.

— Odwagi! — zawołał Cyryl. — Nie chowajcie się, bo i tak nie można się przemknąć. Musimy zachowywać się dzielnie!

Robert w odpowiedzi zaczął wyśpiewywać „Pieśń grenadierów” i dzieci w rytm tej pieśni zbliżyły się do bram Babilonu:

*Jedni mówią o Herkulesie,
Inni mówią o Aleksandrze,
Inni znowu o Hektorze,
Jeszcze inni o Lysandrze.
Lecz z tych wszystkich bohaterów...*

W ten sposób znalazły się przy samej bramie, gdzie dwóch wartowników w błyszczących zbrojach nagle ich zatrzymało skrzyżowanymi włóczniami.

— Kto idzie? — spytali.

(Zdaje się, że już wam wytłumaczyłam, w jaki sposób dzieci zawsze mogły rozumieć mowę ludzi miejscowych, gdziekolwiek zdarzyło im się znaleźć, a równocześnie umiały do każdego przemawiać tak, że je rozumiano. Jeśli zaś wcześniej tego nie zrobiłam, to teraz już nie pora, aby wam to wyjaśniać).

— Przychodzimy z bardzo daleka — rzekł odruchowo Cyryl. — Z królestwa, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. A chcemy pomówić z waszym królem.

— O ile mu to odpowiada — uzupełniła Antea.

— Król, oby żył wiecznie — odparł wartownik — wyruszył na spotkanie swojej czternastej żony. Skąd przychodzicie, że o tym nie wiecie?

— Wobec tego z królową — zawołała pośpiesznie Antea, pomijając milczeniem pytanie o to, skąd przyszli.

— Królowa — odparł wartownik — oby żyła wiecznie, udziela audiencji dzisiaj w trzy godziny po wschodzie słońca.

— A co mamy robić do tego czasu? — spytał Cyryl.

Wartownik zdawał się tego nie wiedzieć ani o to dbać. Znacznie mniej interesował się dziećmi, niż mogły się tego spodziewać. Ale drugi wartownik, który razem z pierwszym zagroził im drogę, okazał się bardziej ludzki.

— Wpuśćmy ich i niech sobie obejrzą miasto — powiedział. — Idę o zakład, że nigdy nie widziały czegoś choć trochę podobnego do naszej... wioszczyzny.

Powiedział to takim tonem, jakiego używają ludzie, kiedy nazywają Ocean Atlantycki „kałużą”. Pierwszy wartownik wahał się jednak.

— Przecież to tylko dzieci — ciągnął drugi wartownik, który sam miał kilkoro własnych. — Zwolnij mnie na parę minut, dowódco straży, a ja zaprowadzę je do swego mieszkania, gdzie moja żona z pewnością znajdzie jakiś przyodziewek trochę mniej dziwaczny niż to, co mają na sobie. Bo gdyby mieli zostać w takim przebraniu, tłum nie dałby im zrobić kroku. Czy wolno mi odejść?

— Dobrze, jeśli chcesz — odparł dowódca straży. — Tylko nie zniknij na cały dzień.

Wartownik poprowadził dzieci przez ciemny łuk bramy do miasta. Miasto było najzupełniej inne niż Londyn. Po pierwsze, w Londynie wszystko wygląda tak, jakby było sklecone z przygodnie zebranych materiałów. A tutaj domy zdawały się zbudowane przez ludzi, którzy lubią, żeby wszystko było podobne do siebie. Nie znaczy to, że wszystkie domy

były tu jednakowe: choć wszystkie były prostokątne, miały jednak rozmaite wymiary, rozmaicie były zdobione i rozmaicie pomalowane jaskrawymi farbami, z widniejącym gdzieś czarno-srebrnym ornamentem. Przy domach były tarasy, ogrody i balkony, a widać było także sporo zadrzewionych placów.

Przewodnik zaprowadził dzieci do małego domku przy bocznej ulicy, gdzie u wejścia do bardzo ciemnego pokoju siedziała kobieta o miłym obliczu i przęda.

— Posłuchaj — rzekł wartownik — znajdź dla tych dzieci jakieś płaszcze, żeby mogły pochodzić sobie i obejrzeć miasto, nim zacznie się audiencja u królowej. Zostaw na trochę przedziwo i pokaż dzieciom miasto. Bo ja muszę wracać na służbę.

Kobieta zastosowała się do poleceń męża i czwórka dzieci, przyodziana w zdobne frędzlami płaszcze, ruszyła w jej towarzystwie na obejrzenie miasta. Ach, gdyby był na to czas, chętnie opowiedziałabym wam o wszystkim, co dzieci widziały. A było to naprawdę nadzwyczajne. Po pierwsze, wszystkie domy były kolorowe, a na niektórych znajdowały się malowidła. Gdzieś z obu stron drzwi stały olbrzymie postacie rzeźbione w kamieniu. Po wtóre, nikt z ludności nie nosił kapeluszy, czarnych ubrań, okropnych płaszczy ani brzydkich, choć pożytecznych, o gwarantowanej trwałości spódnicek. Wszyscy mieli na sobie szaty o żywych kolorach, błękitne, czerwone lub zielone ze złotem. Najwspanialszy ze wszystkiego był targ. Można tam było dostać wszystko, o czym dusza zamarzy, a nawet jeszcze więcej. Więc całe serty ananasów i brzoskwiń, mnóstwo naczyń glinianych i szklanych, o przepięknych kształtach i cudownych kolorach, naszyjniki, zapinki, bransolety i broszki, najrozmaitsze tkaniny, futra i haftowane szaty.

Dzieci nie widziały nigdy tylu nagromadzonych pięknych rzeczy nawet w największych sklepach Londynu.

Ledwo jednak zdążyły rzucić okiem na te wszystkie piękności, gdy żona wartownika powiedziała:

— Już chyba na was pora. Musimy iść w stronę pałacu. Lepiej przyjść zawczasu.

Poszli więc do pałacu, który okazał się wspanialszy niż cokolwiek, co dotąd widzieli.

Pałac aż płonął od kolorów, a pokryty był ornamentami ze złota, srebra, czerni i bieli jak najpiękniejszy haft. Do wejścia prowadziły szerokie, marmurowe schody, na każdym zaś ich zakręcie stały wielkie posągi, dwadzieścia razy większe od człowieka, wyobrażające jakieś skrzydlate postacie o głowach krogulczych lub psich. Stały tam również posągi wielkich królów.

Między rzędami schodów znajdowały się tarasy, gdzie były fontanny i stali parami gwardziści królowej, w strojach biało-czerwonych i zbrojach błyszczących jak złoto. Wzdłuż schodów gwardziści stali dwoma szeregami, a liczny oddział znajdował się przy ogromnych drzwiach pałacowych. Wyglądali wszyscy razem jak nieprawdopodobnie mieniący się wszystkimi barwami tęczy paw w samo południe.

Najrozmaitsi ludzie mijali ich, udając się na audiencję do królowej. Wielkie damy w bogato haftowanych sukniach, obszytych falbaną z frędzlami, ludzie ubodzy w prostym i zwyczajnym odzieniu, eleganci o namaszczonych oliwą i fryzowanych brodach.

A Cyryl, Robert, Antea i Janeczka posuwali się razem z tłumem.

Byli przy samej bramie pałacu, kiedy Piaskoludek wyjrzał z torby i po obrzuceniu wszystkich baczynym wzrokiem szepnął:

— Nie chcę sobie zawracać głowy królowymi. Wrócę do domu z tą poczciwą kobieciną. Z pewnością znajdzie dla mnie trochę piasku.

— Ach — odparła Janeczka — nie opuszczaj nas!

Żona wartownika udzielała Antei ostatnich wskazówek z zakresu etykiety dworskiej, nie słyszała więc słów Janeczki.

— Nie bądź taką niedołągą — powiedział ze złością duszek. — Nie wiadomo właściwie, po co nosisz Amulet na szyi. Nigdy go nie używasz. Jeżeli zechcesz być ze mną, wystarczy ci wymówić zaklęcie i zażądać tego od Amuletu, a on przeniesie cię do mnie.

— Wolę od razu pójść z tobą — rzekła Janeczka. Było to najbardziej nieoczekiwane jej odezwanie, odkąd była na świecie.

Wszyscy otworzyli szeroko usta, nie myśląc wcale o tym, że to bardzo nieładnie, Antea zaś zajrzała do torby Piaskoludka i stwierdziła, że duszek ma usta otwarte szerzej niż pozostali.

— Nie macie się po co tak gapić — ciągnęła Janeczka. — Królowe nie obchodzą mnie bardziej niż jego. A wiem, że duszek tylko tam idzie, gdzie jest spokojnie i bezpiecznie.

— To najprawdziwsza prawda — przyznała chóralnie reszta gromadki. Zauważyli bowiem, że Piaskoludek jakoś zawsze umie dobrze się urządzić.

— Zabierze mnie pani ze sobą, dobrze? — zwróciła się Janeczka do żony wartownika. — I pozwoli mi pani pobawić się z jej dziećmi, aż tamci będą mieli już dosyć królowej?

— Ależ oczywiście, kochanie! — odparła żona wartownika.

Antea szybkim ruchem pogłaskała duszka i uścisnęła Janeczkę, która wzięła żonę wartownika za rękę i zadowolona powędrowała, trzymając pod pachą torbę z Piaskoludkiem.

Pozostała trójka patrzyła za nią, aż wreszcie Janeczka, żona wartownika i torba znikły w różnobarwnym tłumie. A wtedy Antea skierowała się znowu do wspaniałych drzwi pałacu i powiedziała:

— Musimy poprosić odźwiernego, żeby zabrał do szatni nasze babilońskie płaszcze.

Po czym wszyscy zdjęli ubiory pożyczone im przez żonę wartownika i stanęli wśród tłoczącej się do królowej ciżby w swoich angielskich kapeluszach, płaszcach, ubraniach i trzewikach.

— Chcemy zobaczyć się z królową — rzekł Cyryl. — Przybywamy z krainy, gdzie słońce nigdy nie zachodzi.

W tłumie petentów, zdziwionych i zaskoczonych, rozległy się szepty. Portier powiedział coś jakiemuś czarnolicemu człowiekowi, a ten z kolei zwrócił się do kogoś innego. Zapadła cisza, pełna oczekiwania i przerywana jedynie krótkim, nerwowym szepem.

Wreszcie u szczytu schodów z czerwonego marmuru ukazał się wysoki osobnik o gładko wygolonej twarzy i skinął na dzieci. Poszli schodami na górę, a buciki Roberta stuknęły bardziej donośniej niż zwykle, ponieważ był ogromnie zdenerwowany. Jakies drzwi otworzyły się, jakaś zasłona została odchylna. Podwójny szereg wspaniałe ubranych postaci, schylonych w niskim ukłonie, tworzył szpaler wiodący aż do stóp tronu. Trójka dzieci, idąca z wielkim pośpiechem, usłyszała płynący z tronu bardzo miły i słodko brzmiący głos:

— Troje dzieci z krainy, gdzie słońce nigdy nie zachodzi! Niech tu podejść bez obawy.

W minutę później dzieci przyklekły u stóp tronu i w myśl wskazówek żony wartownika powiedziały:

— Ach, królowo, obyś żyła wiecznie!

Na to powstała z tronu wspaniała postać kobieca, przybrana w śnieżnobiałe szaty i mnóstwo klejnotów ze złota, srebra i drogich kamieni. Podniosła klęczącą przed nią Antea.

— Nie bójcie się — powiedziała. — Naprawdę bardzo się cieszę, żeście tu przyszli z krainy, gdzie słońce nigdy nie zachodzi! Cieszę się, że was poznałam! Byłam już tak okropnie wszystkim znudzona...

Klęczący z tyłu za Antea Cyryl szepnął do ucha pochylonemu czołobitnie Robertowi:

— Nie powtórz tego Panterze, bo nie trzeba jej denerwować, ale nie spytaliśmy o adres Janeczki, więc nie wiemy, gdzie ona jest z Piaskoludkiem.

— Ale Piaskoludek — odszepnął Robert — sam mówił, że Amulet może ich do nas sprowadzić w każdej chwili.

— Owszem — mruknął z drwiącą rozpaczą Cyryl — to prawda. Tylko byłoby lepiej, gdybyśmy to my mieli Amulet.

- Psiakość! — odmruknął Robert u stóp tronu królewskiego, bo już zrozumiał wszystko.
A Cyryl zachrypłym szeptem przedstawił rzeczywisty stan sprawy:
— Amulet ma Janeczka zawieszony na szyi, ty głuptasie!
— Psiakość! — powtórzył Robert zrozpaczonym tonem.

ROZDZIAŁ VII

CELA POD FOSĄ ZAMKOWĄ

Królowa zdjęła z tronu trzy szkarłatne, złotem haftowane poduszki i rzuciła je niedbale na wiodące do niego marmurowe schody.

— Usiądźcie sobie wygodnie — powiedziała. — Marzę o tym, by porozmawiać z wami i dowiedzieć się wszystkiego o waszym zachwycającym kraju. Jak tam życie i tak dalej. Ale muszę co rano wymierzać sprawiedliwość. Nudne to, prawda? A czy w waszym kraju także wymierza się sprawiedliwość?

— Nie — odparł Cyryl. — To znaczy staramy się to robić, ale nie w takim tłoku, tylko bardziej prywatnie.

— Ja też — powiedziała królowa — wolałabym udzielać prywatnych posłuchań, bo to znacznie łatwiejsze. Ale trzeba się liczyć z opinią publiczną. Wymiar sprawiedliwości jest bardzo ciężką pracą, nawet jeżeli się w tym ćwiczyć od dzieciństwa.

— My nie ćwiczymy sprawiedliwości — wtrąciła Antea — ale za to ćwiczymy gamy, Janeczka i ja. Dwadzieścia minut dziennie. To zupełnie okropne.

— Co to są gamy? — spytała królowa. — I kto to jest Janeczka?

— Janeczka to moja siostrzyczka. Zaopiekowała się nią żona jednego z wartowników przy bramie. A gamy należą do muzyki.

— Nigdy nie słyszałam o takim instrumencie — rzekła królowa. — Czy umiecie śpiewać?

— Tak — odparła Antea — i potrafimy śpiewać na kilka głosów.

— To już jest czarodziejstwo — zaopiniowała królowa. — A na ile części macie pokrajane gardła przed takim śpiewem?

— Nikt nam wcale gardel nie kraje — wyjaśnił skwapliwie Robert — bo gdyby były pokrajane, nie moglibyśmy śpiewać. Po audiencji pokazemy, jak to się robi.

— Dobrze. A na razie usiądźcie grzecznie i uważajcie, jak wymierzam ludziom sprawiedliwość. Mój sposób zawsze był podziwiany. Może nie powinnam tego mówić, bo to brzmi zarozumiale. Ale z wami, moi drodzy, takie ostrożności wydają mi się zbędne. Mam takie uczucie, jakbym znała was już od bardzo dawna.

Królowa usiadła na tronie i dała znak jednemu ze swych dworzan. Dzieci usadowiły się na poduszkach u stóp tronu i szepcząc między sobą doszły do wniosku, że królowa jest bardzo piękna i bardzo miła, tylko może trochę lekkomyślna.

Pierwszą osobą, jaka przyszła prosić o sprawiedliwość, była kobieta, której brat zabrał pieniądze zostawione jej przez ojca. Brat utrzymywał, że te pieniądze zabrał jeden ze stryjów. Wszyscy mówili dużo i dzieciom już zaczynało się nudzić, gdy królowa nagle klasnęła w dłonie i zawyrokowała:

— Umieścić obu mężczyzn w więzieniu i trzymać, póki jeden z nich nie przyzna, że drugi jest niewinny.

— A jeżeli wzięli pieniądze do spółki? — wtrącił Cyryl.

— W takim razie obydwaj zasłużyli na więzienie — odparła królowa.

— A jeżeli żaden tego nie zrobił?

— To niemożliwe — odparła królowa. — Jeżeli coś zostało zrobione, to ktoś musiał to zrobić. I proszę mi nie przerywać.

Następną osobą była jakaś zapłakana kobieta w podartym welonie i z prawdziwym popiołem na głowie. Tak przynajmniej zdawało się Antei, choć mógł to być także kurz z drogi. Kobieta skarżyła się, że jej mąż jest w więzieniu.

— A za co? — spytała królowa.

— Mówili ludzie, że źle się wyrażał o Waszej Królewskiej Mości — odparła kobieta. — Ale to nieprawda. Ktoś miał do niego złość i fałszywie go oskarżył.

— A skąd wiesz, że twój mąż nie wyrażał się o mnie źle? — spytała królowa.

— Nikt tego nie mógłby zrobić — odparła kobieta — kto by choć raz jeden widział przepiękną twarz Waszej Królewskiej Mości.

— Uwolnić tego człowieka — rzekła z uśmiechem królowa. — Następna sprawa.

Następna była sprawa chłopca, który ukradł lisa. Królowa orzekła, że nikt zdrowy na umyśle nie trzymałby lisa, a tym bardziej nikt by go nie chciał ukraść. Poza tym nie wierzyła, że w Babilonie są w ogóle lisy. W każdym razie królowa nigdy żadnego lisa nie widziała. Chłopiec został więc uwolniony.

Zwracano się do królowej w najrozmaitszych sprawach, głównie jeśli chodziło o spory rodzinne i sąsiedzkie, poczynawszy od bójek między braćmi z powodu podziału spadku aż po nieuczciwe postępowanie jakiejś kobiety, która pożyczyła sobie garnek jeszcze przed uroczystościami Nowego Roku i dotąd go nie oddała.

Królowa zaś rozstrzygała w sposób bardzo stanowczy wszystkie te zawikłania. Wreszcie klasnęła w dłonie bardzo głośno i obwieściła:

— Na dzisiaj koniec posłuchania!

— Oby królowa żyła nam wiecznie! — zawołali wszyscy i wyszli.

W wielkiej sali sądowej dzieci pozostały same z królową Babilonu i jej damami dworu.

— Nareszcie! — westchnęła z ulgą królowa. — Skończyło się! Dzisiaj nie zgodziłabym się dłużej wymierzać sprawiedliwości, choćby mi za to ofiarowano koronę Egiptu! Chodźmy teraz do ogrodu i tam sobie porozmawiamy w spokoju.

Królowa poprowadziła dzieci długimi, wąskimi korytarzami, których mury wyglądały na bardzo grube.

Wreszcie znaleźli się na jakimś dziedzińcu, gdzie gęsto rosły krzewy i gdzie róże rozpięte były na arkadach, co dawało miły cień, bardzo zresztą potrzebny, gdyż słońce już grzało tak mocno jak w Anglii w sierpniu nad morzem.

Niewolnicy rozesłali poduszki na marmurowym tarasie, a wysoki, gładko wygolony mężczyzna podawał zimne napoje w złotych czarkach wysadzanych żółtymi topazami. Przed wręczeniem czarki królowej nadpił trochę napoju.

— Wstrętny zwyczaj — szepnął Robert, którego zawsze uczono, aby nigdy nie pić z błyszczących, metalowych kubków, przymocowanych łańcuszkiem przy wodotryskach w Londynie, bez uprzedniego, starannego wypłukania naczynia.

Królowa usłyszała, co mówił.

— Nic podobnego — odparła. — Ritti–Marduk jest bardzo czystym człowiekiem. A poza tym ktoś przecież musi kosztować ze względu na możliwość trucizny.

Słowo „trucizna” przejęło dzieci dreszczem. Ale Ritti–Marduk kosztował z wszystkich czarek, więc dzieci czuły się bezpieczne. Napój był cudowny, bardzo zimny, a w smaku przypominał trochę lemoniadę i trochę roztopione lody.

— Zostawcie nas samych — rzekła królowa.

I wszystkie damy dworu ubrane w piękne, wielobarwne i powiewne szaty wyszły z ogrodu, a dzieci zostały same z królową.

— A teraz opowiedzcie mi wszystko o sobie.

Dzieci wymieniły spojrzenia.

— Zaczynaj ty, Robercie — rzekł Cyryl.

— Nie — odparł Robert — lepiej niech zacznie Antea.

— Nie, nie! — zawołała Antea. — Najlepiej zrobi to Cyryl. Pamiętasz, jaka królowa Indii była zadowolona, kiedy opowiedziałeś jej wszystko o nas?

Cyryl mruknął, że wtedy było zupełnie co innego, i miał naprawdę rację. Bo kiedy opowiedział Maharani o Feniksie i dywanie, mówił tylko prawdę i nie potrzebował dodawać

nic innego. Ale teraz trudno było zbudować przekonującą opowieść nie wspominając o Amulecie — a tego, rzecz jasna, nie mógł uczynić — i bez ujawnienia faktu, że w rzeczywistości mieszkali w Londynie, dwa tysiące pięćset lat od czasu, kiedy toczyła się ta rozmowa. Szukając sposobu wybrnięcia z trudnej sytuacji, Cyryl opowiedział o Piaskoludku i o jego cudownej mocy spełniania życzeń. Dzieci nigdy dotąd nie mogły o tym mówić, toteż Cyryl był bardzo zdziwiony, gdy przekonał się, że czar, jaki zmuszał ich do milczenia w Londynie, tutaj nie działał.

„Musi to mieć coś wspólnego z faktem, że jesteśmy w Przeszłości” — pomyślał.

— To niezmiernie ciekawe — orzekła królowa. — Musimy dzisiaj wieczorem sprowadzić tu Piaskoludka na ucztę. Jego wystąpienie będzie jednym z najciekawszych punktów programu. A gdzie on jest teraz?

Antea powiedziała, że nie wiedzą. Powiedziała również, dlaczego nie wiedzą.

— Ach, to bardzo proste — odparła królowa, cała zaś trójka odetchnęła z ulgą. — Ritti-Marduk dowie się przy bramie, który wartownik zabrał do swego domu waszą siostrzyczkę.

— A czy mógłby — zagadnęła drżącym głosem Antea — czy to nie sprawi żadnego kłopotu, jeżeli pójdzie zaraz?

— Oczywiście, że pójdzie zaraz. Nie sprawi to żadnego kłopotu — odparła królowa i klasnęła w dłonie.

— Czy mógłbym przesłać list? — spytał Cyryl dobywając z zanadru notesik w czerwonej oprawie i szukając w kieszeniach kawałka ołówka, o którym wiedział, że na pewno musi go gdzieś mieć.

— Naturalnie. Zaraz każę zawołać pisarza.

— O, dziękuję, ale ja sam potrafię to napisać — rzekł Cyryl. Odnalazł wreszcie ołówek, polizał szpic i musiał nawet odgryźć odrobinę drewna, gdyż ołówek był bardzo tępy. — Ach, jaki z ciebie uczony chłopiec! — zawołała królowa. — Pozwól, że się przypatrzę, jak to robisz.

Cyryl wyrwał z notesu arkusik papieru i zaczął na nim pisać:

„Ukryj TO bardzo starannie, zanim tu przyjdiesz, i nie waz się o tym wspominać. Zniszcz mój list po przeczytaniu. U nas wszystko w porządku, królowa bardzo miła. Nie masz się czego bać”.

— Jakie to dziwne znaki — rzekła królowa — i jakaż to dziwna rzecz, którą trzymasz w ręku! Co tam wyryłeś?

— Napisałem — odparł roztropnie Cyryl — że królowa jest bardzo miła, że wszystko wygląda jak jakaś uroczystość, więc żeby się nie bała i przyszła tu zaraz.

Ritti-Marduk, który przed chwilą wszedł i czekał w czasie pisania listu przez Cyryla, wytrzeszczając swe babilońskie oczy, teraz z pewną opieszałością sięgnął po list.

— Królowo, obys żyła wiecznie, czy to jest czar? — spytał potulnie. — Na pewno bardzo potężny czar.

— Tak — wtrącił nagle Robert — to jest czar, ale nikomu nie wyrządzi krzywdy, jeżeli oddasz go Janeczce. A potem, jeżeli ona to zniszczy, czar nie będzie mógł już nikomu zaszkodzić. Ale jest strasznie mocny! Mocny jak... jak pieprzówka! — dokończył niespodziewanie.

— Nie znam takiego boga — odparł Ritti-Marduk z głębokim pokłonem.

— Janeczka podrze list, jak tylko go przeczyta — rzekł Robert — a wtedy czar przestanie działać! Nie masz się czego obawiać, jeżeli pójdiesz zaraz.

Ritti-Marduk wyszedł z miną niezupełnie zadowoloną, a królowa zaczęła z podziwem oglądać notesik i kawałek ołówka. Robiła to tak znacząco, że Cyryl uznał, iż musi poprosić ją, aby przyjęła notesik i ołówek jako dar. Królowa z zachwytem kartkowała stroniczki.

— Ach, jakie to cudowne! — odezwała się wreszcie. — A tym rylcem potrafisz tworzyć czary? Stwórz taką czarodziejską sztuczkę dla mnie! Czy znasz — dodała szeptem — imiona wielkich ludzi twojego kraju?

— Poniekąd! — odparł Cyryl i z pośpiechem wypisał imiona króla Artura, Szekspira, Nelsona, Kiplinga i Sherlocka Holmesa, gdy tymczasem królowa obserwowała go z „zapartym oddechem”, jak później opowiadała Antea. Królowa przyjęła z jego rąk notes i ukryła go z czcią w połyskujących fałdach swojej szaty.

— Później nauczysz mnie wymawiać te wielkie imiona — rzekła. — A także imiona ich ministrów. Może sam wielki Nisroch jest jednym z nich?

— Nie zdaje mi się — odparł Cyryl. — Pan Bannerman jest prezesem ministrów, a pan Burns jest ministrem, tak samo jak arcybiskup Canterbury. Tak mi się przynajmniej zdaje, choć nie jestem pewien. Wiem także, że ministrem był doktor Parker i...

— Dosyć, dosyć! — zawołała królowa i zasłoniła rękoma uszy. — Aż mi się w głowie kręci od tyłu wielkich imion. Nauczysz mnie ich później. Bo spodziewam się, że zostaniecie u nas na długo, prawda? A teraz powiedz mi... albo nie, już mnie zmęczyło słuchanie. Zresztą z pewnością chcielibyście usłyszeć coś ode mnie?

— Tak — przyznała Antea. — Chcielibyśmy wiedzieć, jak to się stało, że król wyjechał...

— Przepraszam cię — przerwała jej łagodnie królowa — ale powinnaś mówić: „Król, oby żył wiecznie!”

— To ja przepraszam — rzekła z pośpiechem Antea. — Więc jak to możliwe, że król, oby żył wiecznie, pojechał po czternastą żonę? Zdaje się, że nawet Sinobrody* nie miał tylu. A zresztą nie zabił ciebie, królowo.

Królowa wprost oniemiała ze zdumienia.

— Ona chce powiedzieć — wyjaśnił Robert — że w Anglii królowie mają tylko po jednej żonie. Wprawdzie Henryk VIII miał ich siedem czy osiem, ale nie jednocześnie.

— W naszym kraju — odparła z pogardą królowa — król, który miałby jedną tylko żonę, nie mógłby ani przez chwilę panować. Nikt by go nie szanował, i słusznie.

— Czy to znaczy, że tamtych trzynaście żyje? — spytała Antea.

— Naturalnie! Ale one są głupie i są tylko żonami, więc nie zadają się z nimi. Bo ja jestem królową.

— Rozumiem — szepnęła oszołomiona Antea.

— Ale nie macie nawet pojęcia, ile było kłopotu z tą ostatnią żoną — ciągnęła królowa. — To było nawet śmieszne. Chcieliśmy mieć egipską księżniczkę. Król, oby żył wiecznie, miał już żony należące do wszystkich ważniejszych narodów i postanowił sobie, że musi mieć Egipcjanekę dla uzupełnienia zbioru. Więc na początek posłaliśmy do Egiptu piękny podarunek ze złota. Król egipski odwzajemnił się parą koni — jest zresztą bardzo skąpy — i powiedział, że złoto bardzo im się podobało, ale najbardziej brak im lapis-lazuli*. Więc naturalnie posłaliśmy mu i to. Ale król egipski zaczął pokrywać złotem dach świątyni Słońca i zabrakło mu złota, więc zwrócił się do nas, aby mu przysłać więcej. Tak ciągnęło się przez ładnych kilka lat. Bo musicie wiedzieć, że podróż w każdą stronę wymaga co najmniej pół roku. I teraz dopiero poprosiliśmy o rękę jego córki.

— Tak? I co było dalej? — spytała Antea, która chciała koniecznie dowiedzieć się czegoś o królewnie.

— Dalej było to — odparła królowa — że kiedy król egipski dostał od nas wszystko, co tylko mógł dostać, a odwzajemnił się bardzo skąpymi podarunkami, zawiadomił nas, że bardzo sobie ceni zaszczyt połączenia dwóch naszych rodów, ale niestety nie ma jeszcze córki i tylko spodziewa się, że mu się wkrótce urodzi. Dodał więc, że jeżeli to nastąpi, zarezerwuje królewnę dla króla Babilonu.

* Sinobrody — okrutny rycerz z baśni, który zabijał swoje żony.

* Lapis-lazuli — niebieski minerał używany jako kamień ozdobny.

— Co za chytra sztuka! — zawołał Cyryl.

— Tak, prawda? W tych warunkach zawiadomiliśmy, że może nam przysłać swoją siostrę. Potem nastąpiła nowa wymiana prezentów i nowe podróże: tak że teraz dopiero przybywa ta kłopotliwa, czarnowłosa panna, a król, oby żył wiecznie, udał się w siedmiodniową podróż, aby spotkać ją w Karczemiszu. Pojechał najlepszym swoim pojazdem, wykładanym złotem i lapis-lazuli, ze złożonymi kołami i osiami z nefrytu, co moim zdaniem jest zbyt wielkim zaszczytem. Królowna przyjedzie tutaj dziś wieczór i odbędzie się wielka uczta na jej cześć. Ona sama, rzecz jasna, nie będzie na uczcie. Będzie brała kąpiele, będzie namaszczana wonnościami i tak dalej. Zagraniczne żony zawsze muszą być bardzo dokładnie umyte. Zajmuje to dwa do trzech tygodni. Ale teraz już przyszła pora obiadu, więc zjecie ze mną, bo widzę, że jesteście wysokiego rodu.

Zaprowadziła ich do ciemnej i chłodnej sali, gdzie na podłodze leżało mnóstwo poduszek. Usiedli na poduszkach i wniesiono niskie stoły, bardzo piękne, z błękitnego kamienia osadzonego w złocie.

Na stołach umieszczone były tace ze złota, ale nie było noży, widelców ani łyżek. Dzieci spodziewały się, że królowa każe przynieść nakrycia, ale nie zrobiła tego. Dzieci jadły więc palcami. Na pierwsze danie podano wielką tacę gotowanej pszenicy pomieszanej z rodzynkami i kawałkami mięsa, a polanej roztopionym tłuszczem, toteż trudno było w tych warunkach przestrzegać tak zwanych dobrych manier przy stole. Jako następne danie były gotowane pigwy, a potem daktyle w syropie i gęsty, żółtawy krem. Tego rodzaju obiadów na ogół nie jadało się na Fitzroy Street.

Po obiedzie wszyscy położyli się spać, nawet dzieci.

Królowa zbudziła się pierwsza.

— Ojej! — wykrzyknęła. — Ileż to czasu spaliśmy! Muszę się szybko przebrać na ucztę. Ledwo zdążę.

— A czy Ritti–Marduk nie wrócił jeszcze z naszą siostrzyczką i Piaskoludkiem? — spytała Antea.

— Zupełnie zapomniałam się dowiedzieć — odparła królowa. — Bardzo was przepraszam. Bo naturalnie nikt by o tym nie powiedział bez pytania. Mówić bez pytania wolno tylko podczas wymiaru sprawiedliwości. Spodziewam się, że czekają za drzwiami. Zaraz zobaczę.

Ritti–Marduk zjawił się w chwilę potem.

— Żałuję bardzo — powiedział — ale nie mogłem odszukać waszej siostry. Bestia, którą nosi w koszyku, pogryzła dziecko wartownika, a wasza siostra razem z bestią wyruszyła, aby spotkać się z wami. Policja twierdzi, że już jest na tropie. Z pewnością dowiemy się czegoś o niej za parę tygodni. — Po czym skłonił się i wyszedł.

Groza potrójnej straty — Janeczki, Piaskoludka i Amuletu — dostarczyła dzieciom tematu do rozmowy, gdy tymczasem królowa się ubierała.

Nie będąc tej rozmowy przytaczać, była bardzo ponura. Każdy mówił to samo, Bóg wie ile razy, i dyskusja zakończyła się tym, że jedni składali na drugich winę za to, że pozwolono Janeczce odejść. Znacie z pewnością ten rodzaj rozmów. Wreszcie Cyryl powiedział:

— Ostatecznie, Janeczka jest z Piaskoludkiem, więc jej nic nie grozi. Piaskoludek zawsze dba o siebie. Zresztą nie wygląda na to, żeby i nam coś groziło. Więc lepiej przygotujmy się, żeby się dobrze bawić w czasie uczty.

Istotnie uczta była świetną zabawą. Dzieci wzięły wspaniałą kąpiel, a potem namaszczono je olejkami, nie wyłączając włosów, i ten zabieg wcale ich nie zachwycił. Następnie, gdy się ubrały, przedstawiono je królowi, który był bardzo uprzejmy. Uczta ciągnęła się długo: było mnóstwo świetnych rzeczy do jedzenia i każdy jadł i pił bez końca. Potem wszyscy ułożyli się na poduszkach lub niskich tapczanach, damy po jednej stronie, a panowie po drugiej. Kiedy

przestano jeść, każda dama usiadła przy jednym z panów, a wyglądali jak narzeczeni, bo bardzo się czulili. Stroje dworskie były piękne, błyszczące, przetykane złotymi niemi.

Środek sali był pusty i zjawiały się tam różne postacie dla zabawienia biesiadników: czarownicy, kuglarze i zaklinacze wężów, którzy wcale nie podobali się Antei.

Kiedy ściemniało, zapalono smoliste pochodnie z drzewa cedrowego, zanurzone w oliwie; płonęły w miedzianych naczyniach umieszczonych wysoko na słupach.

Potem zjawiała się tancerka, która właściwie wcale nie tańczyła, tylko wykonywała rozmaite ruchy. Była prawie zupełnie rozebrana i wcale nieładna. Dzieci taniec jej nudził, ale wszyscy inni byli zachwyceni, łącznie z królem.

— Na brodę Nemroda! — zawołał. — Proś, o co chcesz, a wszystko dostaniesz.

— Nic nie chcę — odparła tancerka. — Zaszczyt podobania się królowi, oby żył wiecznie, jest dla mnie wystarczającą nagrodą.

Król zaś tak by zachwycony jej skromną i roztropną odpowiedzią, że podarował tancerce złoty naszyjnik zdjęty z własnej szyi.

— O rety! — wykrzyknął Cyryl przejęty wspaniałością daru.

— Nic takiego — szepnęła królowa. — To wcale nie jest jego najlepszy naszyjnik. Zawsze na takie okazje mamy zapas taniej biżuterii. Ale obiecaliście, że nam coś zaśpiewacie. Czy chcecie, żeby akompaniowali wam moi minstrele?

— Nie, dziękuję — odparła pospiesznie Antea.

Minstrele przygrywali raz po raz, a ich muzyka przypominała Antei orkiestrę, jaką razem z rodzeństwem zorganizowała kiedyś w dniu święta narodowego; instrumenty stanowiły: cynowa grzechotka, taca podwieczorkowa i szczypce od kominka, policyjny gwizdek i dziecinny bęben. Wtedy ta orkiestra bardzo im się podobała. Ale wychodziło to zupełnie inaczej, kiedy w podobny sposób grał kto inny. Antea rozumiała teraz, że ojciec nie był właściwie tak bez serca i rozsądku, kiedy kazał im przestać.

— Co zaśpiewamy? — spytał Cyryl.

— Może kołysankę? — zaproponowała Antea.

— To zanadto usypiające. Głosuję za „Moja najmilsza”. Więc zaczynamy — raz, dwa, trzy!

*Moja najmilsza, jesteś daleko,
Za siódmą górą, za siódmą rzeką,
Osiodłam konia i go dosiędę,
I w świat pojedę, miłą zdobędę!
Ojciec drzwi zamknął, matka klucz trzyma,
Ale dla serca miłującego,
Ale dla serca miłującego,
Rygla i klucza na świecie nie ma!*

Brakowało Janeczki, śpiewającej altem, a Robert, w przeciwieństwie do matki damy, o której mowa w piosence, nie mógł w żaden sposób „utrzymać klucza”^{*}. Mimo to piosenka dostatecznie różniła się od wszystkiego, co słyszano na dworze babilońskim, by wzbudzić powszechny zachwyt.

— Jeszcze coś! — wykrzyknął król. — Na mą brodę, ta dzika muzyka jest czymś zupełnie nowym. Jeszcze coś zaśpiewajcie!

Zaśpiewali więc:

Powędruję w dal bezmierną

* Autorka ma tu na myśli klucz nutowy, stawiany na początku pięciolinii, który określa nazwy poszczególnych nut i wysokość ich dźwięku. Robert śpiewał prawdopodobnie w nieodpowiedniej tonacji.

*Przez dolinkę, przez zieloną,
Poprzez lasy, góry, rzeki
Zdobyć piękną narzeczoną.
Ojciec zamknął drzwi na klucze,
Matka klucze gdzieś ukryła,
Ale nie zda się to na nic:
Moją będzie moja miła.*

Okrzyki uznania rozległy się po zakończeniu piosenki, a król nie uspokoił się, póki nie odśpiewali dwukrotnie wszystkich, jakie znali, piosenek chóralnych (znali tylko trzy).

Po wysłuchaniu wszystkiego król wyprostował się, ułożył fałdy swej królewskiej szaty, poprawił wąską koronę na głowie i zawołał:

— Na dziób Nisrocha, proście, o co tylko chcecie, dzieci z krainy, gdzie słońce nigdy nie zachodzi!

— Powinniśmy tak, jak tancerka, powiedzieć, że wystarcza nam zaszczyt — szepnęła Antea.

— Nie — sprzeciwił się Robert — poprośmy o drugą część Amuletu.

— Za żadne skarby! Jestem pewna, że to byłoby nietaktowne — rzekła Antea.

Ale Robert, podniecony muzyką i pochodniami, a także powszechnym uznaniem oraz nadarzającą się okazją, przemówił, zanim ktokolwiek z pozostałych zdążył go powstrzymać.

— Daj nam, o królu, obyś żył wiecznie — dodał po namyśle — drugą połowę Amuletu, na którym wypisane jest imię UR HEKAU SECZEH.

W chwili gdy Robert wymówił wielkie zaklęcie, wszyscy na sali padli na twarze i znieruchomieli. Wszyscy, z wyjątkiem królowej, która przypadła do poduszek, obejmując głowę rękoma, a także króla, który stał wyprostowany i nieruchomy jak posąg z kamienia. Trwało to jednak tylko krótką chwilę. Po czym rozległ się donośny głos monarchy:

— Straż! Wziąć ich!

Natychmiast, nie wiedzieć skąd, zjawiono się ośmiu żołnierzy w błyszczących zbrojach wykładanych złotem i w czerwono-białych tunikach. Wyglądali wspaniale i bardzo niepokojąco.

— Bezbożni, świętokradczy nędznicy! — krzyczał król. — Zamknąć ich w celi! Jutro znajdziemy sposób, jak zmusić ich do mówienia. Bo z pewnością mogą nam powiedzieć, gdzie znajduje się zgubiona połowa.

Wokół dzieci zamknął się mur bieli, purpury, stali i złota i popędzono je wzdłuż sali. Idąc słyszały głosy dworzan, głośno wyrażających oburzenie.

— Tym razem urządziłeś nas! — powiedział z goryczą Cyryl.

— Ach, to musi dobrze się skończyć. Zawsze wszystko dobrze się kończy — odparła z rozpaczą Antea.

Nie widzieli, którądy ich prowadzą, gdyż straż otaczała ich ciasno ze wszystkich stron. Ale grunt pod ich stopami, który z początku był gładkim marmurem, zmienił się najpierw w chropawe kamienie, a potem w ziemię i piasek. Poczuli powiew nocnego powietrza. Następnie znów były kamienie i schody wiodące na dół.

— Zdaje się — rzekł Cyryl — że tym razem prowadzą nas do najgłębszej celi pod fosą zamkową.

Tak też było istotnie. Co prawda nie pod fosą, ale pod rzeką Eufratem, co było może nawet jeszcze gorsze. Cella była po prostu okropna. Ciemna, strasznie wilgotna i czuło się wszędzie dziwny zapach ni to pleśni, ni to muszli morskich. W celi była pochodnia, a ściśle mówiąc miedziany kosz na wysokim drągu z płonącym, naoliwionym drzewem. Przy świetle pochodni dzieci zobaczyły, że mury są zielone, a strużki wody spływają wzdłuż nich ze

stropu. Po ziemi pełzały jaszczurki, a w narożnikach gnieździły się jakieś błyszczące stwory, okropne i poruszające się bardzo wolno.

W Robercie aż zamarło serce. Antea i Cyryl wdali się w kłótnię, z której oboje wyszli zwycięzcami. Nikt z nich nie powiedział Robertowi (a oboje starali się nawet tego nie pomyśleć): „to twoja robota”. Antea miała jeszcze chęć dodać: „uprzedzałam cię”. Ale i tej pokusie zdołała się oprzeć.

— Świątokradztwo i bezbożność — rzekł dowódca gwardii do więziennego dozorca. — Mają być tu trzymani aż do decyzji króla. Spodziewam się, że król uzna za stosowne coś z nich jutro wydobyć. Będą się mieli z pyszna!

— Biedne dzieci — odparł dozorca.

— Tak — przyznał dowódca. — Ja także mam dzieci w tym wieku. Ale nie można pozwolić, żeby osobiste uczucia wpływały na obowiązki służbowe. Dobranoc.

Żołnierze odeszli, szcękając zbroją ze stali i złota. Dozorca z pękiem ogromnych kluczy stał i patrzył współczująco na dzieci. Dwukrotnie potrząsnął głową i wyszedł.

— Odwagi! — zawołała Antea. — Wiem, że to wszystko dobrze się skończy. Zresztą, jak wiecie, to wszystko właściwie jest snem. Nie może być inaczej. Nie wierzę, żeby czas był tylko czymś tam myślenia. To wszystko jest snem, a my zbudzimy się, spokojni i bezpieczni.

— Hm — mruknął z goryczą Cyryl. A Robert nagle powiedział:

— To moja wina! Jeżeli to rzeczywiście dobrze się skończy, to nie kryjcie mnie, ale powiedzcie ojcu... Ach, przecież zapomniałem...

Robert zapomniał, że ojciec był oddalony o trzy tysiące mil i pięć tysięcy lat czy coś w tym rodzaju.

— Dobrze, dobrze staruszk — odparł Cyryl. Antea zaś ujęła rękę Roberta i mocno ją uścisnęła.

Nadszedł dozorca niosąc miskę twardych, płaskich placków, zrobionych ze źle przemielonego ziarna, bardzo różniących się od kremów i świeżych daktyli na ucztę pałacowej. Przyniósł też dzbanek wody.

— Macie — powiedział.

— Dziękujemy bardzo — odparła skwapliwie Antea. — Pan jest bardzo uprzejmy.

— Kładźcie się spać — rzekł dozorca wskazując na stos słomy w kącie celi. — Jutro i tak szybko nadejdzie.

— Drogi panie dozorc — spytała Antea — a co jutro nami zrobią?

— Spróbują zmusić was do mówienia różnych rzeczy — odparł posepnie dozorca. — I radzę wam, jeśli nie macie nic do powiedzenia, żebyście coś wymyślili. Wtedy może odeślą was do ludów północnych. To są zupełnie dzikusy. Dobranoc.

— Dobranoc — odparły trzy drżące głosy, których właściciele na próżno usiłowali, by zabrzmiały pewnie. Dozorca wyszedł, a trójka dzieci została w wilgotnej i ciemnej celi.

— To światło z pewnością nie będzie się palić długo — rzekł Cyryl popatrując na migotliwe płomienie.

— Czy myślicie — spytała Antea — że to zda się na coś, jeżeli wymówimy zaklęcie nie mając Amuletu?

— Myślę, że nie. Ale możemy spróbować!

Spróbowali, lecz milczący mrok wilgotnej celi nie uległ żadnej zmianie.

— Jakie to było imię, które wymówiła królowa? — spytał nagle Cyryl. — Nisbet, Nesbit czy coś takiego. Wiecie przecież, ten niewolnik wielkich osobistości?

— Poczekaj — odparł Robert — choć prawdę mówiąc nie wiem, co ci z tego przyjdzie. Nusroch... Nisrok... już wiem... Nisroch.

W tym momencie Antea wyprostowała się. Wyprężyła mięśnie, napięła umysł i serce, jeśli to w ogóle jest możliwe.

— Ur Hekau Seczeh! — wykrzyknęła przejętym głosem. — Nisrochu, sługo Wielkich, przybywaj i pomóż nam!

Nastąpiło pełne milczenia oczekiwania. Po czym w rogu, gdzie znajdowała się słoma, zapłonęło zimne, błękitne światło i przy tym świetle dzieci ujrzały zbliżającą się do nich dziwną i straszliwą postać. Nie będę jej opisywać, gdyż rysunek wyobraża ją bardzo dokładnie, zupełnie tak, jak wyglądała na kamieniach rzeźbionych przez dawnych Babilończyków, więc możecie to jeszcze i teraz zobaczyć w muzeum. Ograniczę się do powiedzenia, że postać miała orle skrzydła i orlą głowę, a ciało człowieka.

Zbliżała się do dzieci, potężna i przeraźliwa.

— Odejdź! — krzyknęła Antea. Ale Cyryl zawołał:

— Nie, zostań!

Postać zawahała się, po czym złożyła im niski pokłon.

— Mówcie — odezwała się ochryłym, dziwnym głosem, jakie wydają zardzewiałe klucze obracane w zamku. — Sługa Wielkich jest waszym sługą. Czego chcecie, że wymówiliście imię Nisrocha?

— Chcemy wrócić do domu — rzekł Robert.

— Nic podobnego — przerwała mu Antea. — Chcemy się znaleźć tam, gdzie jest Janeczka.

Nisroch uniósł potężne ramię i wskazał mur celi. W tej samej chwili mur znikł i zamiast wilgotnej, skalnej, zielonkawej powierzchni oczom ich ukazała się komnata obwieszona zasłonami z czerwonego jedwabiu haftowanego w złote lilie wodne, niskie łóża pokryte poduszkami i wielkie zwierciadła z polerowanej stali. W komnacie znajdowała się królowa, a przed nią, na czerwonej poduszce, siedział Piaskoludek, nastroszony i wyraźnie niezadowolony. Na łóżu krytym błękitem leżała Janeczka i mocno spała.

— Wejdźcie bez obawy — rzekł Nisroch. — Czy sługa Wielkich może jeszcze coś uczynić dla tych, którzy wymawiają jego imię?

— Nie — odpowiedział Cyryl. — Już nic. Wszystko jest teraz w porządku. Dziękujemy bardzo.

— Pan jest kochany! — zawołała Antea nie zdając sobie wcale sprawy z tego, co mówi. — Dziękujemy! Dziękujemy bardzo! Ale teraz już odejdź.

Ujęła dłoń postaci, zimną i twardą jakby z kamienia.

— Wejdźcie — rzekł Nisroch. Dzieci weszły do komnaty.

— Ach, moi drodzy! — wykrzyknęła królowa, gdy stanęli przed nią. — Jakżeście się tutaj dostali? Wiedziałam, że jesteście czarownikami. Zamierzałam was uwolnić z samego rana, chciałam tylko się przespać, ale zdołałście zrobić to sami, dzięki niech będą Dagonowi. A teraz musicie odejść. Zaraz zbudzę moją główną damę dworu, ona przywoła Ritti–Marduka, a ten zaprowadzi was z powrotem...

— Proszę nie budzić nikogo! — zawołała Antea. — Z wyjątkiem Janeczki. Ale ją już ja zbudzę.

Potrząsnęła energicznie Janeczką i ta powoli się zbudziła.

— Ritti–Marduk sprowadził ich już właściwie wiele godzin temu — wyjaśniła królowa — ale chciałam mieć Piaskoludka tylko dla siebie, choćby na krótko. Chyba nie macie do mnie pretensji o to drobne oszustwo? Pewnie wiecie, że leży to w charakterze Babilończyków. Ale zapewniam was, że się wam nic złego nie stanie. Pozwólcie mi kogoś zbudzić.

— Nie, nie, za nic — odparła z rozpaczą Antea. Uważała, że wie zupełnie wystarczająco, jacy są Babilończycy, kiedy się ich zbudzi. — Damy sobie radę za pomocą własnych czarów. Proszę tylko powiedzieć królowi, że dozorca nic nie jest winien. To sprawił Nisroch.

— Nisroch! — powtórzyła królowa. — Jesteście prawdziwymi czarownikami!

Janeczka usiadła i niemądrze mrugała powiekami.

— Podnieś To do góry i wymów zaklęcie! — krzyknął Cyryl chwytając Piaskoludka, który odruchowo go ugryzł, ale bardzo lekko.

— Gdzie jest wschód? — spytała Janeczka.

— Poza mną — odparła królowa. — A dlaczego pytasz?

— Ur Hekau Seczeh — wymówiła sennie Janeczka i uniosła Amulet.

I cała czwórka znalazła się w jadalni na Fitzroy Street.

— Janeczko! — zawołał Cyryl z wielką przytomnością umysłu. — Przynieś wanienkę z piaskiem dla Piaskoludka.

Janeczka wyszła.

— Słuchajcie! — rzekł z pośpiechem Cyryl, gdy na schodach rozległ się odgłos trzewików Janeczki. — Nie mówmy jej nic o celi i tym wszystkim. Nastraszyłyby się i już nigdy nie chciałyby z nami nigdzie wyruszyć.

— Dobra! — odparł Robert. Antea natomiast czuła, że nie potrafiłaby wymówić słowa nawet dla uratowania życia.

— Dlaczego tak spieszyliście się? — spytała Janeczka wracając z wanienką piasku. — Mnie się zdaje, że w Babilonie było wspaniale. Bardzo mi się tam podobało.

— Tak — odparł Cyryl obojętnym tonem. — Było tam dość przyjemnie, ale pomyślałem, że to nam wystarczy. Mama zawsze mówi, żeby nie przeciągać struny.

ROZDZIAŁ VIII

KRÓLOWA W LONDYNIE

— A teraz powiedz nam, co tobie się zdarzyło — zwrócił się Cyryl do Janeczki, gdy cała trójka opowiedziała jej już wszystko o rozmowie z królową, uczenie i o przeróżnych rozrywkach, starannie unikając przy tym wszelkiej wzmianki o ciemnicy.

— Myślę — odparła Janeczka — że to wszystko razem niewarte było zachodu, jeżeli nawet nie próbowaliście odnaleźć drugiej połowy Amuletu.

— Nie próbowaliśmy — wyjaśnił Cyryl — bo jak się okazało, nie było jej w Babilonie. Połówka Amuletu zgubiona była już wcześniej. Ale wybierzemy się jeszcze gdzie indziej, gdzie wszyscy są mili i uprzejmi, i tam będziemy jej szukać. A teraz opowiedz swoje przygody.

— No więc — rzekła Janeczka — ten dworzanin królowej, z taką gładką twarzą... jakże on się nazywał?

— Ritti–Marduk — przypomniał Cyryl.

— Tak — podchwyciła Janeczka. — Więc Ritti–Marduk przyszedł właśnie po mnie, kiedy Piaskoludek ugryzł małego synka wartownika. Zabrał nas do pałacu i jadłam kolację z królową z Egiptu. Ona jest strasznie miła i niewiele starsza od ciebie. Opowiedziała mi mnóstwo rzeczy o Egipcie. A po kolacji bawiliśmy się w piłkę i wtedy królowa Babilonu przysłała po mnie. Ona także bardzo mi się podobała. Zaczęła rozmawiać z Piaskoludkiem, a ja położyłam się spać. I wtedy wy mnie zbudziliście. I to wszystko.

Piaskoludek, wyrwany z głębokiego snu, opowiedział to samo.

— Ale — dodał — skąd wam strzeliło do głowy powiedzieć królowej, że potrafię spełniać życzenia? Doprawdy mam czasami wrażenie, że urodziliście się bez prymitywnych chociażby załączków mózgu.

Dzieci nie wiedziały, co znaczy „prymitywny”, ale wyczuły w tym jakąś obrazę.

— Nie rozumiem — odparł naburmuszony Cyryl — jaką to mogłoby przynieść szkodę.

— Żadnej, żadnej! — sarknął Piaskoludek z ironią. — Wprost przeciwnie! Tyle tylko, że królowa wyraziła życzenie znalezienia się wkrótce w waszym kraju. A wkrótce to może oznaczać, że każdej chwili.

— W takim razie — wtrącił Robert — to twoja wina. Bo mógłbyś równie dobrze sprawić, żeby wkrótce znaczyło na przyszły rok czy w przyszłym stuleciu.

— Bardzo się mylisz — odparł Piaskoludek — co wam zresztą często się zdarza. Nie mogłem sprawić, żeby „wkrótce” znaczyło cokolwiek innego, niż miała na myśli królowa. Bo to nie było moje życzenie, tylko jej. A ona miała na myśli najbliższą okazję, kiedy król wyruszy polować na lwy. Wtedy mogłaby robić, co chce, przez cały dzień, a może i dwa dni. Bo królowa nie ma pojęcia o tym, że czas jest tylko sposobem myślenia.

— W takim razie — rzekł z westchnieniem Cyryl — musimy zrobić wszystko, żeby się dobrze tutaj bawiła. Bo była dla nas bardzo uprzejma i miła. A na razie może byśmy poszli po obiedzie do parku i nakarmili te kaczki, które już tak dawno chcieliśmy nakarmić? Bo ja osobiście, po Babilonie i wszystkich tych dawnościach, chętnie zobaczyłbym coś rzeczywistego i terazniejszego. Poszedłbyś, Piaskoludku?

— A gdzie jest moja bezcenna, wyplatana torba do świętych podróży? — spytał nagle ze złością Piaskoludek. — Nie mogę wychodzić tak bez niczego. I zresztą nie zamierzam.

W tym momencie wszyscy przypomnieli sobie z rozpaczą, że przy pośpiesznym powrocie z Babilonu nikt nie pamiętał o plecionej torbie na ryby.

— Ale to nie była jakaś cenna torba! — zawołał Robert. — Dostaje się je za darmo przy kupnie ryb na targu.

— Ach, tak — rzekł Piaskoludek, mocno już obrażony. — Więc licząc na moją obojętność dla spraw tego wstrętnego współczesnego świata, spodziewaliście się, że wystarczy mi do wędrówek pojazd, który was nic nie kosztował. Dobrze, w takim razie idę w piasek. Proszę mnie nie budzić.

Istotnie i natychmiast udał się w piasek, co, jak już wiecie, oznaczało pójście spać. Chłopcy zaś poszli do parku karmić kaczki, ale sami.

Antea i Janeczka szyły przez całe popołudnie. Najpierw obcięły po dużym kawałku ze swoich najpiękniejszych, zielonych woreczków na chusteczki, potem przecięły na dwoje ręcznik, wreszcie zabrały się do szycia. Szyły torbę dla Piaskoludka. Każda miała uszyć połowę. Połowa Janeczki była haftowana w czterolistne koniczynki, gdyż była to jedyna rzecz, jaką potrafiła wyhaftować (bo tego ją nauczono w szkole i w dodatku zostało trochę jedwabiu służącego do nauki, ale i tak Antea musiała wyrysować wzór). Połowa Antei zahaftowana była literami wyszytymi prostym, ale starannym ścięciem. Wyglądało to mniej więcej tak:

POWÓZ
PIASKOL

Litery były trochę za duże i dlatego haft składał się z niekompletnych słów. Obie połowy zostały zszyte w jedną całość na maszynie do szycia w saloniku niani, a do wiązania służyły przyszyte też na maszynie najlepsze czerwone wstążki do włosów Antei i Janeczki.

Przy podwieczorku chłopcy zdawali sprawę z całkiem nieudanej wyprawy na karmienie kaczek w parku. Antea w pewnej chwili zdecydowała się zbudzić Piaskoludka i pokazać mu jego nową torbę podróżną.

— Hm — parsknął duszek trochę wzgardliwie, ale i z odrobiną czułości w głosie — nie jest przynajmniej taka brudna.

Piaskoludek jakoś bardzo łatwo nauczył się sposobu mówienia, jakiego używa się w naszych czasach. Jak na stworzenie, które miało do czynienia z pterodaktylami i megaterium, szybkość podchwytywania takich wyrażonek była wprost nadzwyczajna.

— Bardziej nadaje się dla mnie — rzekł duszek — niż torba, jaką dodają za darmo przy kupnie funta fląder. Kiedy zamierzacie mnie w tym gdzieś zabrać?

— Wołałbym odpocząć od zabierania cię dokądkolwiek — odparł Cyryl. Ale Janeczka przerwała mu gwałtownie:

— Chcę być w Egipcie. Bardzo podobała mi się egipska księżniczka, która wyszła za mąż za króla Babilonu. Opowiadała mi o skowronkach w Egipcie i o kotach. Wybierzmy się tam! Opowiedziałam jej o ptaszkach wyrysowanych na Amulecie i księżniczka mówi, że to jest pismo egipskie.

Cała pozostała trójka spojrzała po sobie z zadowoleniem, że tak zręcznie ukryli przed Janeczką okropności, jakie musieli znieść w ciemnicy pod Eufratem.

— Egipt — ciągnęła Janeczka — podobał mi się także z powodu Pisma świętego. Chciałabym tam być, kiedy Józefowi śniły się takie ciekawe sny albo kiedy Mojżesz robił cuda z pomocą węzów i kijów.

— Mnie węże nie interesują — wzdrygnęła się Antea.

— No, nie musimy być tam akurat w tym czasie. Ale Babilon był cudowny. Z kremem i różnymi słodyczami. Myślę, że w Egipcie będzie tak samo.

Dyskusja trwała długo, w końcu jednak wszyscy zgodzili się na pomysł Janeczki. Toteż już następnego ranka, zaraz po śniadaniu (na które były doskonale, wędzone śledzie), poproszono Piaskoludka, by zajął miejsce w swoim nowym powozie. Ledwo Piaskoludek wszedł do torby, opierając się, jak to czynią koty, kiedy je ktoś chce pogłaskać, a kot ma inne zupełnie zamiary — do pokoju weszła niania.

— I co, dzieci — spytała — bardzo się wam nudzi?

— Wcale nie, nianiu — odparła Antea. — Bardzo nam jest przyjemnie. Idziemy właśnie obejrzeć różne starożytności.

— Aha — powiedziała niania. — Pewnie do Akademii Królewskiej. Tylko nie wydawajcie za dużo pieniędzy.

Niania zebrała ze stołu, strzepnęła okruchy i złożyła obrus, a gdy wyszła, natychmiast podniesiono Amulet i wydano dyspozycje, zupełnie jak to robią księżęta i inni ludzie, wydając zlecenia stangretom.

— Proszę do Egiptu! — zawołała Antea, gdy Cyryl wymówił zaklęcie.

— Kiedy tam był Mojżesz — dodała Janeczka.

W ciemnej jadalni przy Fitzroy Street Amulet rozrósł się do rozmiarów wielkiego łuku, przez który, przeświecało bardzo błękitne niebo i płynąca rzeka.

— Nie! — krzyknął Cyryl, chwytając ręce Janeczki z Amuletem. — Zaczekaj! Jacy z nas idioci! Przecież nie możemy ruszać się teraz z domu ani na chwilę! Bo przecież to może być właśnie ta chwila.

— Co znaczy ta chwila? — spytała niecierpliwie Janeczka, usiłując zarazem wyrwać rękę, którą Cyryl trzymał bardzo mocno.

— Chwila, kiedy zjawi się królowa Babilonu — odparł Cyryl. I teraz wszyscy to zrozumieli.

Przez kilka dni życie płynęło powoli i bez żadnych wydarzeń. Dzieci nie mogły wychodzić wszystkie naraz, bo nie wiedziały, kiedy król Babilonu wybierze się na polowanie na lwy, co pozwoliłoby królowej na złożenie im niespodziewanej wizyty, do której z pewnością się przygotowywała.

Dzieci wychodziły więc parami na zmianę. Kiedy jedna dwójka była na spacerze, druga musiała siedzieć w domu.

Pozostającym w domu nudziłoby się jeszcze bardziej niż zazwyczaj, gdyby nie to, że zainteresował się nimi uczony z poddasza.

Pewnego dnia zawołał Anteę i pokazał jej piękny naszyjnik ze złotych i czerwonych paciorków.

— Widziałam już taki — rzekła Antea — w...

— Pewnie w muzeum?

— Miejsce, gdzie to widziałam — odparła ostrożnie Antea — najchętniej nazwałabym Babilonem.

— Ładny pomysł — powiedział uczony — i nawet bardzo trafny, bo te paciorki pochodzą istotnie z Babilonu.

Tego dnia trójka dzieci wyszła z domu. Chłopcy udali się do Zoo, a Janeczka tak długo i płaczliwie powtarzała, że z pewnością nikt z nich nie interesuje się tak nosorożcami jak ona, że Antea w końcu pozwoliła jej pobiec za chłopcami. Janeczka popędziła tak szybko, że dopadła chłopców jeszcze przed końcem ulicy.

— Myślę — powiedziała Antea — że Babilon jest niezmiernie interesujący. Śniły mi się o nim bardzo ciekawe sny. To znaczy nawet niezupełnie sny, ale coś równie cudownego.

— Usiądź i opowiedz mi o tym — zaproponował uczony.

Antea usiadła więc i opowiedziała. Następnie uczony zadał jej mnóstwo pytań, na które starała się odpowiedzieć jak najdokładniej.

— Cudowne, zachwycające! — wykrzyknął wreszcie uczony. — Słyszałem naturalnie o przekazywaniu myśli, ale nigdy nie podejrzewałem siebie o tego rodzaju władzę. Ale widocznie tak jest i może to być bardzo szkodliwe dla ciebie, moje dziecko. Czy głowa często cię boli?

Chudym i zimnym palcem dotknął nagle jej czoła.

— Nie, proszę pana, wcale mnie nie boli.

— Zapewniam cię, że nie zrobiłem tego umyślnie — ciągnął uczony. — Naturalnie wiem bardzo dużo o Babilonie i nieświadomie przekazuję to tobie. Musiałaś pewnie słyszeć o przekazywaniu myśli? Ale niektórych rzeczy, o jakich mi mówiłaś, nie mogę zrozumieć. Nie przychodziły mi nigdy na myśl, chociaż są zadziwiająco wprost prawdopodobne.

— Rozumiem — odparła Antea i dodała pocieszająco: — Nic mi nie jest, niech się pan nie martwi. To wszystko jest bardzo proste.

Nie było jednak wcale tak proste, kiedy Antea słysząc powracającą trójkę zeszła na dół. Zanim bowiem zdążyła spytać, jak bawili się w Zoo, na dworze rozległ się taki hałas, że w porównaniu z nim wycie dzikich bestii brzmiałoby łagodnie jak śpiew ptaków.

— Ojej! — wykrzyknęła Antea. — Co to jest?

Przez otwarte okno napływała wrzawa czyniona przez liczne głosy. Można było odróżnić poszczególne słowa:

— Dobry sobie!

— To nie karnawał! To nie żaden chłopiec, tylko baletnica!

— Nic podobnego! Mówię wam...

Nagle rozległ się znany im, mocny i wyraźny głos:

— Odstąpcie, niewolnicy!

— Co ona mówi? — zawołało naraz dziesięć głosów.

— Coś w obcym języku... — odpowiedział jeden głos.

Dzieci popędziły do drzwi. Na jezdni i na chodniku tłoczyła się wielka ciżba.

W środku tłumu, doskonale widoczna z góry schodów, stała królowa Babilonu spowita w piękne, zwiewne szaty.

— Do licha! — krzyknął Robert pędząc po schodach. — Zjawiała się!

— Proszę przepuścić tę panią! — wołał dalej. — To nasza znajoma! Przyszła nas odwiedzić.

— Ładna znajoma — parsknęła jakaś gruba kobieta popychająca ręczny wózek naładowany warzywami.

Tłum przepuścił jednak królową, która powitała Roberta na chodniku. Przyłączył się do nich Cyryl, trzymając pod pachą torbę z Piaskoludkiem.

— Tu jest Piaskoludek — szepnął Cyryl. — Proszę wypowiadać życzenia.

— Chciałbym, żeby pani wybrała się do nas w trochę innej sukni — rzekł Robert. — Ale moje życzenia nie zdają się na nic.

— Nie — powiedziała królowa — chciałabym być ubrana... Nie, nic podobnego! Chciałabym, żeby oni byli stosownie ubrani. Nie zachowywaliby się wtedy tak głupio.

Piaskoludek nadął się, że ledwo się mieścił w torbie. I nagle wszyscy w tłumie stwierdzili, że są bardzo kuso ubrani. Bo naturalnie pojęcia królowej o stosownym ubraniu należały do pojęć, jakie na ten temat panowały w Babilonie trzy tysiące lat temu. A w ówczesnym Babilonie ludzie na ogół mało nosili na sobie.

— Patrzcie no! — zawołała sprzedawczyni warzyw. — Co też mi strzeliło do głowy, żeby tak wyjść na ulicę? — To mówiąc chwyciła wózek i szybko z nim odjechała.

— Ale ktoś z ciebie zrobił durnia! — wykrzyknął sprzedawca sznurowadeł.

— Lepiej przestań się mądrzyć — odparł stojący obok niego mężczyzna — i przyjrzyj się własnym nogom!

— Nigdy tak nie wychodzę z domu — zawstydził się sprzedawca sznurowadeł. — Troszkę sobie podpiłem wczoraj wieczorem, ale nie tak, żeby ubierać się jak do cyrku.

Wszyscy w tłumie przekrzykiwali się nawzajem coraz donośniej i ostrzej. Nikt jednak nie podejrzewał sprawczyni wydarzeń w królowej.

Antea zbiegła ze schodów i wciągnęła królową do domu, reszta zaś dzieci wbiegła za nimi i zatrzaskała drzwi.

— A niech mnie лихо weźmie! — usłyszeli za sobą. — Lecę do domu!

Tłum stopniowo rozproszył się, ale na jego miejsce zjawił się inny tłum, złożony z osób, których odzież nie była w pojęciu królowej stosowna.

— Zaraz tu zwali się nam policja — powiedziała z rozpaczą Antea. — Dlaczego pani wybrała się w takim dziwnym stroju?

Królowa usiadła na kanapie.

— A jakże ma się królowa ubierać, chciałabym wiedzieć? — spytała.

— Nasza królowa ubiera się tak, jak wszyscy — rzekł Cyryl.

— A ja nie. I przykro mi stwierdzić — dodała urażonym tonem — że nie wyglądacie wcale na zadowolonych z moich odwiedzin. Może to tylko z powodu niespodzianki, ale do niespodzianek powinniście być przyzwyczajeni. Nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki znikliście. To była najwspanialsza sztuka magiczna, jaką widziałam w życiu. Jakżeście to zrobili?

— Ach — odparł Robert — nie warto mówić o tym teraz. Widzi pani, czego pani narobiła! Ci wszyscy ludzie są bardzo wzburzeni i gotowi sprowadzić tu policję. A przecież my nie chcemy, żeby panią zamknięto w więzieniu.

— Królowych nie można zamykać w więzieniu — odparła królowa wyniośle.

— Czy aby tak? — wtrącił Cyryl. — A myśmy tu kiedyś obcieli królowi głowę.

— Tu, w tym okropnym pokoju? To strasznie ciekawe.

— Nie, nie w tym pokoju. W naszej historii.

— Ach, tam — królowa wzgardliwie wzruszyła ramionami. — Myślałam, że zrobiliście to własnoręcznie.

Obydwie dziewczynki zadrżały.

— Wasze miasto jest bardzo brzydkie — ciągnęła królowa — a ludzie straszliwie ciemni. Czy wiecie, że nie rozumieją ani słowa z tego, co mówię?

— A czy pani może ich zrozumieć? — zapytała Janeczka.

— Oczywiście że nie. Mówią jakąś ohydną gwarą z północy. Ale was doskonale rozumiem.

Nie będę tu jeszcze raz tłumaczyć, w jaki sposób dzieci rozumiały obce języki i mówiły nimi tak dobrze, jakby to była zwykła angielszczyzna.

— Jeżeli — powiedział z irytacją Cyryl — uważa pani, że tu jest tak obrzydliwie, to może będzie najlepiej, jeśli wróci pani do siebie.

— Ależ ja jeszcze właściwie nic nie widziałam — odparła królowa poprawiając swój gwiazdzysty welon. — Jak dotąd, wyraziłam tylko życzenie, aby znaleźć się przed waszym domem, i tak się też stało. A teraz muszę zobaczyć waszego króla i królową.

— Tego nie wolno nikomu! — zawołała pośpiesznie Antea. — Ale możemy oprowadzić panią po mieście i pokazać wszystko, co pani zechce zobaczyć — dodała serdecznie, bo przypomniawszy sobie, jak uprzejmą była dla nich królowa w Babilonie, choć trochę ich oszukała w sprawie Janeczki i Piaskoludka.

— Możemy pójść do Muzeum — rzekł zachęcająco Cyryl — gdzie jest mnóstwo rzeczy z pani kraju. Gdyby tylko można było ubrać panią trochę inaczej!

— Już wiem! — wykrzyknęła nagle Antea. — Jest tutaj dawny wieczorowy płaszcz mamy, a w dużym pudle jest mnóstwo starych kapeluszy.

Szafirowy, przybrany koronkami płaszcz istotnie okrył nieco zbyt widoczne wspaniałości królowej, ale w kapeluszu nie było jej do twarzy. Może sprawiły to czerwone róże, a może coś jeszcze innego, ale w tym stroju królowa nie wyglądała jakoś na wielką damę.

— Mniejsza z tym — odparła Antea, gdy Cyryl szeptem zwrócił jej na to uwagę. — Musimy przede wszystkim wyprowadzić ją stąd, nim przyjdzie niania. A może wejść lada chwila.

— Więc chodźmy — odezwał się Robert. — Chodźmy jak najprędzej do Muzeum. Nim ktokolwiek z tych ludzi, których pani wystrychnęła na dudków, sprowadzi tutaj policję.

Szafirowy płaszcz i kapelusz z różami budził niemal tak wielkie zainteresowanie, co poprzednio własny strój królowej. Toteż dzieci z wielką radością schroniły się w zacisznym Muzeum.

— Paczki i parasolki należy zostawić w szatni! — zawołał portier.

Towarzystwo nie miało ze sobą parasolek, a jedyną paczką była torba z Piaskoludkiem, którego zabrano na usilne żądania królowej.

— Nie chcę być zostawiony w szatni — szepnął Piaskoludek. — Nie róbcie tego!

— Zaczekam z tobą tutaj — odparła z pośpiechem Antea i usiadła na krześle obok wodotrysku.

— Nie siadaj tak blisko tej wstrętnej wody — powiedział zirytowanym tonem duszek. — Jeszcze mnie ochłapie!

Antea posłusznie usiadła na innym krześle i zaczęła czekać. Czekanie trwało długo, Piaskoludek zdrzemnął się, Antea zaś dawno przestała spoglądać na wahadłowe drzwi, przez które wciąż wychodził ktoś inny, i sama bliska była zaśnięcia.

Nagle zdała sobie sprawę, że towarzystwo wróciło, i to nie samo. Zgromadził się za nimi tłum ludzi w uniformach i różni starsi panowie, bardzo zagniewani.

— A teraz — mówił najmniej zagniewany ze starszych panów — zabierzcie tę biedną, obłąkaną istotę do domu i powiedzcie swoim rodzicom, że powinna mieć należytą opiekę.

— A jeżeli stąd jej nie zabierzecie — dodał najbardziej zagniewany pan — pošlemy po policję!

— Chociaż nie chcemy używać zbyt ostrych środków — zakończył najmniej zagniewany ze starszych panów.

— Czy mógłbym przedtem zamienić parę słów z moją siostrą? — spytał Robert.

Najmniej zagniewany pan skinął głową, część urzędników otoczyła królową, a reszta eskortowała Roberta do Antei.

— Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić — odparł Robert na pytające spojrzenie Antei. — Powiedziała, że wszystkie naszyjniki, kolczyki i inne przedmioty w szklanych gablotach należą do niej, i chciała je pozabierać. Jedną gablotę rozbila. Zrobiło się zbiegowisko. Dopiero wtedy udało mi się ją wyprowadzić, kiedy jej powiedziałem, że tutaj właśnie obcinają królowym głowy.

— Ach, mój drogi, to musiało być dla niej straszne!

— Zrobiłabyś jeszcze straszniejsze rzeczy, żeby tylko ją wyprowadzić. Zresztą miałem na myśli tylko mumie królowych. Skąd wiesz, czy tutaj nie obcinają mumiom głów, żeby zobaczyć, w jaki sposób były balsamowane? Ale właściwie to chciałem cię spytać, czy nie mogłabyś wyprowadzić jej jakoś spokojnie?

— Spróbuję — rzekła Antea i podeszła do królowej.

— Wracajmy do domu — zaproponowała. — Uczony, który u nas mieszka, ma naszyjnik znacznie piękniejszy niż wszystko, co jest tutaj. Chodźmy, a sama się pani przekona.

Królowa skinęła głową.

— Widzicie! — zawołał najbardziej rozgniewany ze starszych panów. — Rozumie po angielsku!

— Mówiłam, zdaje się, po babilońsku — zarumieniła się Antea.

— Moje dziecko — rzekł najmniej rozgniewany pan. — Nie mówisz po babilońsku, ale mówisz bzdury. Idźcie stąd wprost do domu i opowiedzcie dokładnie rodzicom, co się stało.

Antea ujęła królową za rękę i delikatnie pociągnęła za sobą. Reszta dzieci poszła za nimi, a czarny tłum zagniewanych panów przyglądał się im stojąc na schodach. Czwórka dzieci razem z królową znalazła się pośrodku dziedzińca, gdy spojrzenie babilońskiej władczyni padło na torbę z Piaskoludkiem. Stała jak wryta.

— Życzę sobie — powiedziała głośno i dobitnie — żeby wszystkie te babilońskie przedmioty przybyły tu zaraz do mnie — tylko powoli, bo ci niewolnicy i te psy muszą zobaczyć, jak działają czary wielkiej królowej.

— Ależ z pani męcząca kobieta — mruknął Piaskoludek i zaczął się nadymać.

W chwilę potem zdarzyła się katastrofa. Oszklone drzwi wejściowe wypadły z zawiasów, doszczętnie rozbite razem z framugą. Tłum rozgniewanych panów odskoczył na bok, ale najbardziej rozgniewanego pchnął mocno olbrzymi, kamienny byk, uroczyście wypływający w powietrze przez drzwi. Byk opadł tuż obok królowej pośrodku dziedzińca.

W ślad za nim zbiegło się mnóstwo innych postaci z kamienia, wielkie kamienie pokryte napisami, cegły, hełmy, najrozmaitsze narzędzia, dzbany na wino, butle, wazony, czary i czarki, długie, ostro zakończone rylce, naszyjniki, pierścienie, naramienniki, kolczyki, słowem, takie mnóstwo rzeczy, że nikt nie mógłby tego wszystkiego zliczyć ani nawet dokładniej zobaczyć.

Wszyscy zagniewani panowie usiedli na schodach Muzeum, z wyjątkiem najmniej gniewnego. Stał z rękami w kieszeniach, jakby widok kamiennych byków i mniejszych babilońskich przedmiotów, wylatujących na dziedzińcu Muzeum, był dla niego zdarzeniem codziennym. Posłał jednak woźnego, któremu kazał zamknąć wielką żelazną bramę.

Sporo ludzi, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, pobiegło do Muzeum zobaczyć, co się tam dzieje. Ale kiedy dotarli do gmachu, nic już nie było widać. Albowiem królowa Babilonu, dostrzegłszy zamkniętą bramę, wyczuli niebezpieczeństwo i powiedziała:

— Chciałabym, żebyśmy byli już w waszym domu.

I naturalnie zaraz się tam znaleźli. Piaskoludek był wściekły.

— Słuchaj — powiedział — zaraz tu zjawią się po ciebie, a wtedy znajdą mnie. Zbudują dla mnie w Parlamencie Narodową Klatkę i będę musiał pracować w polityce. Czy nie lepiej było zostawić wszystko na swoim miejscu?

— Ależ ty masz usposobienie! — odparła pogodnie królowa. — Od razu się złościysz. Chciałabym, żeby wszystkie te przedmioty znalazły się z powrotem na swoim miejscu... I co, jesteś teraz zadowolony?

Piaskoludek nadał się, po czym wypuścił z siebie powietrze i powiedział gniewnie:

— Nie mogę odmówić ci życzeń, ale potrafię gryźć. I będę gryzł, jeśli to potrwa dłużej, pamiętaj!

— Daj spokój — szepnęła mu Antea do sterczącego uszka — i tak mamy dość kłopotów. Przynajmniej ty nas nie porzucaj. Może ona wreszcie wypowie życzenie powrotu do domu.

— Nie sądzę — odparł Piaskoludek nieco ułagodzony. — Nie znasz jej.

— Oprowadźcie mnie po waszym mieście — powiedziała królowa.

Dzieci spojrzęły po sobie.

— Gdybyśmy mieli trochę pieniędzy, moglibyśmy wynająć powóz. Wtedy ludzie nie zwracaliby tak na nas uwagi. Ale jesteśmy bez grosza.

— Sprzedajcie to — odparła królowa zdejmując z palca pierścień.

— Pomyślą — rzekł Cyryl z goryczą — że ukradliśmy go, i wsadzą nas do więzienia.

— Widocznie u was wszystkie drogi prowadzą do więzienia — zdziwiła się królowa.

— Nasz uczone! — zawołała Antea i pobiegła na górę z pierścieniem w ręku.

— Niech pan posłucha — spytała — czy kupi pan to za funta?

— O! — zdziwił się uczone i ujął z wielką radością pierścień.

— Należy do mnie — podkreśliła Antea. — Ktoś mi go dał do sprzedania.
— Chętnie pożyczę ci funta — odparł uczony — i przechowam dla ciebie pierścień. A od kogo go dostałaś?
— Nazywamy ją — wyjaśniła ostrożnie Antea — królową Babilonu.
— Czy to jakaś nowa zabawa? — spytał uczony.
— Będziemy mieli ładną zabawę — odparła Antea — jeśli nie dostanę pieniędzy na powóz dla niej.
— Czasami mi się wydaje — wymówił z wolna uczony — że dostaję obłądu. A czasem...
— A czasem — dokończyła Antea — że to ja zwariowałam. Ale nikt nie zwariował — ani ja, ani pan, ani ona.
— Czy ona powiedziała, że jest królową Babilonu? — zagadnął niepewnym tonem.
— Tak — potwierdziła bez namysłu Antea.
— To przekazywanie myśli sięga dalej — rzekł uczony — niż z początku myślałem. Przypuszczam, że musiałem bezwiednie oddziaływać i na nią. Nigdy nie przypuszczałem, że moje studia babilońskie przyniosą takie owoce. To straszne! Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi...*

— Tak! — zawołała Antea. — O wiele więcej. A rzeczą, jakiej najbardziej pragnę, jest funt szterling.

Uczony chwycił się za głowę.

— Przekazywanie myśli! — powtórzył. — To niewątpliwie jest pierścień babiloński, przynajmniej tak mi się zdaje. Ale może zahipnotyzowałem samego siebie. Jak tylko poprawię ostatecznie moją książkę, pójdę do doktora.

— Niech pan tak zrobi! — zgodziła się Antea. — I bardzo panu dziękuję! — dodała chwytając podanego funta i szybko zbiegła ze schodów.

Przez okienko wynajętego powoziku królowa Babilonu oglądała zabytki Londynu. Pałac królewski uznała za nieciekawą. Opactwo Westminsterskie i gmach Parlamentu też się jej nie podobały. Za to z przyjemnością przyjrzała się Wieży, szeroko płynącej Tamizie, a zwłaszcza statkom.

— Ale w jakim okropnym stanie trzymacie waszych niewolników! — zawołała, gdy powozik wjechał na jedno z przedmieść. — Wyglądają na strasznie wynędzniałych i zaniedbanych.

— To nie są niewolnicy — wyjaśniła Janeczka. — To są ludzie pracy.

— Pewnie, że ludzie pracy! Wszyscy niewolnicy pracują. Nie potrzebujesz mnie pouczać. Czy myślisz, że nie potrafię rozróżnić twarzy niewolnika? Dlaczego ich właściciele nie starają się, żeby lepiej jedli i lepiej się ubierali? Powiedz mi to w dwu słowach.

Nikt jednak nie odpowiedział jej na to pytanie. System płac we współczesnej Anglii jest nieco trudny do wyjaśnienia w dwu słowach, nawet dla kogoś, kto tę sprawę rozumie. A dzieci nie rozumiały.

— Będziecie mieli bunt niewolników, jeżeli nie zadbacie o nich — rzekła królowa.

— Wcale nie — odparł Cyryl. — Widzi pani, każdy z nich ma głos*. Dlatego się nie buntują. Ojciec mi to tłumaczył.

— A jaki to głos? — spytała królowa. — Może także zaczarowany? Co oni z tym robią?

— Nie wiem — tłumaczył zrozpaczony Cyryl. — Każdy po prostu ma głos. Nie robią z nim nic szczególnego.

— Rozumiem — odparła królowa — to rodzaj zabawy. Otóż chciałabym, żeby wszyscy ci niewolnicy mieli w tej chwili przed sobą swoje ulubione potrawy i napoje.

* „Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż śniło się filozofom...” — słowa królewicza Hamleta, bohatera słynnej sztuki W. Szekspira, wielkiego pisarza angielskiego.

* Dzieci chcą przez to powiedzieć, że każdy ma prawo głosować do Parlamentu (tak nazywają sejm w Anglii).

Natychmiast na całym przedmieściu i w sąsiednich ulicach, zamieszkałych przez biednych ludzi, każdy miał przed sobą mnóstwo rzeczy do jedzenia i picia. Przez okno dorożki widać było, że wszyscy nieśli różne rodzaje żywności i rozmaite butelki. Były tam rostbefy, pieczone kury, gotowane, czerwone langusty i kraby, smażone ryby, duszona wieprzowina, befsztyki, zapiekana baranina i inne frykasy. Młodzież i dzieci dźwigały pomarańcze, ciastka i cukierki. Wygląd przedmieścia przedziwnie się zmienił. Rozjaśniło się jak gdyby, a zwłaszcza rozjaśniły się twarze wszystkich ludzi. Promieniały bardziej, niż ktokolwiek mógłby to sobie wyobrazić.

— Inaczej teraz wyglądają — stwierdziła królowa.

— To jest najlepsze z pani życzeń — odparła z uznaniem Janeczka.

Ale stangret zatrzymał się nagle.

— Nigdzie już was nie wiozę — oświadczył. — Wysiadać.

Wysiedli bardzo niechętnie i zobaczyli na koźle mnóstwo kotletów schabowych z kapustą, pieczoną kaczkę, ciasto przekładane konfiturami, a także sporą butelkę.

— Musicie teraz zapłacić! — zawołał stangret z pogróżką w głosie.

— Weźmiemy inny powóz — odparł z godnością Cyryl. — Proszę o resztę z funta.

Stangret, jak się okazało, był bardzo nieprzyjemnym typem. Wziął funta, smagnął konia batem i znikł w tłumie pojazdów nie wydając ani grosza reszty.

Wokół królowej i dzieci zebrał się już niewielki tłum.

— Chodźmy — rzekł Robert wskazując niewłaściwą drogę.

Tłum stawał się coraz większy. Znajdowali się na wąskiej uliczce. Na chodniku stało mnóstwo starszych panów bez kapeluszy i w czarnych płaszczach. Głośno o czymś mówili.

— Jak brzydko są ubrani — powiedziała królowa Babilonu. — Niektórzy wyglądaliby nawet ładnie, gdyby mieli odpowiednie stroje. Chciałabym, aby wszyscy byli tak ubrani, jak Babilończycy z mojego dworu!

I naturalnie zaraz tak się stało.

Z chwilą gdy mdlejący z wysiłku Piaskoludek wychnął dech, wszyscy dokoła byli już ubrani w kompletny strój babiloński. Wszyscy byli starannie upudrowani, włosy i brody mieli pachnące i utrefione, a strój bogato haftowany. Nosili pierścienie i naramienniki, płaskie złote obręcze na szyi, miecze u pasa i mieli cudaczne uczesania.

Panowało ogólne milczenie.

— Proszę panów — odezwał się jasnowłosy poprzednio młodzieniec — to wszystko oczywiście to tylko zabawa... po prostu coś mi się przywidziało... ale panowie wyglądają jak nieboskie stworzenia.

— Nieboskie stworzenia! — odparł jego przyjaciel. — Popatrz na siebie! Opasany jesteś wstęgą zamiast paska! Do licha! A włosy ci szerniały i masz teraz brodę. Wyglądasz jak małpa.

— Stary Lewinstein wygląda jeszcze nieźle. Ale jak to się stało, chciałbym wiedzieć. Jak to się stało? Jakież czary czy co?

— To chyba tylko zły sen — powiedział stary Lewinstein swemu urzędnikowi. — Na przedmieściu widziałem przed chwilą prostych ludzi, którzy mieli pełno jedzenia. I to dobrego jedzenia. To z pewnością tylko zły sen.

— W takim razie ja także śnię, proszę pana — odparł urzędnik patrząc z pogardą na swoje stopy. — Widzę, że na nogach mam jakieś piekielne sandały.

— To całe dobre jedzenie jest zmarnowane — powtarzał stary Lewinstein. — Zły sen, nic, tylko zły sen.

Mówi się, że pracownicy giełdy są okropnie hałaśliwi. Ale wrzask, jaki robili, aby wyrazić pogardę dla strojów starożytnego Babilonu, był o wiele głośniejszy niż zwykle. Trzeba było po prostu krzyknąć, żeby ktoś cokolwiek usłyszał.

— Chciałbym tylko — rzekł urzędnik pana Lewinsteina, myśląc, że to wszystko czary, a stał tak blisko dzieci, że te aż zadrżały wiedząc, co teraz nastąpi — chciałbym tylko wiedzieć, kto to wszystko zrobił.

Oczywiście w tej samej chwili dowiedzieli się i zaczęli się tłoczyć wokół królowej.

— Skandal! Wstyd! Hańba! To powinno być karane przez prawo! Trzeba wnieść przeciw niej skargę! Zawołać policję! — wykrzyknęło naraz paręset głosów.

Królowa wzdrygnęła się.

— Co to jest? — spytała. — Ryczą jak lwy w klatce. Jak tysiące lwów. Co oni mówią?

— Wzywają policję — wyjaśnił krótko Cyryl. — Wiedziałem, że prędzej czy później musi się tak skończyć. I prawdę mówiąc, wcale się im nie dziwię.

— Chciałabym — wykrzyknęła królowa — żeby tu była moja gwardia!

Wyczerpany duszek ciężko dyszał i drżał i w tej samej chwili wokół królowej zjawiała się jej przyboczna gwardia, w czerwono-zielonych strojach i w mosiężnych i żelaznych zbrojach.

— Ja chyba zwariuję! — zawołał jeden z giełdjarzy. — Nic, tylko zwariuję.

— Kara na ciebie! — wykrzyknął jego współnik. — Zawsze mówiłem, że jesteś za twardy w interesach. To kara na ciebie, a pewnie i na mnie.

Giełdjarze ostrożnie odsunęli się od błyszczących mieczów i od zakutych w zbroję postaci o zawziętych twarzach.

Uliczka jednak była wąska, a tłum zbyt gęsty, by rozejść się tak szybko, jak tego wszyscy pragnęli.

— Zabić ich! — wołała królowa. — Zabić!

Gwardia ruszyła wykonać rozkazy.

— To wszystko sen! — wołał stary Lewinstein, chowając się w bramie za swego urzędnika.

— Wcale nie! — odparł urzędnik. — Wcale nie! Ojej! Te zagraniczne chamy wszystkich pozabijają. Henry już leży, Prentice jest przecięty na dwoje — Boże święty! Huth jest przecięty tak samo, tam leży Lionel bez głowy, a Guy też głowę utracił. Sen? Chciałbym, żeby tak było!

Rzecz jasna, wszystko było snem. Wszyscy giełdjarze przetarli szybko oczy i wrócili do handlu najrozmaitszymi akcjami i udziałami, a także do najrozmaitszych spraw, o jakich bez przerwy mówili na ulicy. Nikt nie wspomniał o tym ani słowem. Zdaje się, że tłumaczyłam już przedtem, jak ludzie interesu nie lubią, by wiadano, że zapadają w sen w godzinach przeznaczonych dla prowadzenia interesów. Zwłaszcza gdy chodziło o tak obłąkańcze sny, jak przeraźliwy widok ludzi głodnych zajadających wspianiałe obiady oraz zniszczenie giełdy.

* * *

Dzieci drząc jeszcze siedziały w swoim pokoju przy Fitzroy Street. Piaskoludek wypelzł z wyszywanej torby i leżał płasko na stole, z wyciągniętymi łapkami, wyglądając raczej na martwego niż na żywego.

— Chwała Bogu, że to się już skończyło — rzekła z westchnieniem ulgi Antea.

— Już chyba nie wróci, prawda? — spytała płaczliwie Janeczka.

— Nie wróci — odparł Cyryl. — Jest teraz tysiące lat temu. Ale wydaliśmy na nią całego funta. Będziemy musieli spłacać latami z naszej tygodniówki.

— Wcale nie, jeśli wszystko było snem — wtrącił Robert — jak mówiło życzenie. Wiesz co, Antea, biegnij na górę i spytaj profesora, czy nam co pożyczył.

— Przepraszam pana bardzo — spytała grzecznie Antea po uprzednim zastukaniu do drzwi mieszkania uczonego. — Nie chcę panu przeszkadzać, ale czy pan pożyczył nam dzisiaj funta?

— Nie — odparł uczony, patrząc na nią uprzejmie przez okulary. — Ale to dziwne, że pytasz, bo dziś po południu zdrzemnąłem się na chwilę, co rzadko mi się zdarza, i śniło mi się wyraźnie, że przyniosłaś mi pierścień mówiąc, jakoby należał do królowej Babilonu; pożyczyłem ci funta, a ty zostawiłaś tutaj jeden z pierścieni królowej. Pierścień był wspaniałą rzadkością — westchnął. — Żałuję, że to był tylko sen — dodał z uśmiechem. Doprawdy nauczył się bardzo przyjemnie uśmiechać.

Antea zaś była tylko niezmiernie wdzięczna losowi, że nie ma w pobliżu Piaskoludka, aby spełnił jego życzenie.

ROZDZIAŁ IX

ATLANTYDA

Rozumiecie chyba, że tylko przygody babilońskiej królowej w Londynie zabrały rzeczywiście trochę czasu. Ale czas dzieci był tak wypełniony po brzegi rozmowami o niezwykłych rzeczach, jakie widziały i działy w Przeszłości, gdzie z mocy Amuletu spędziły, jak im się zdawało, długie godziny, by po powrocie stwierdzić, że są znów w Londynie, a cała sprawa była krótsza niż błysk sekundy.

Dzieci mówiły o Przeszłości przy posiłkach, na spacerach, w jadalni, w pokoju na piętrze, ale przede wszystkim na schodach.

Dom był stary. Kiedyś był bardzo wytworny i teraz jeszcze widniały tego ślady. Poręcze schodów świetnie się nadawały do zjeżdżania na dół, a w dużych wnękach, gdzie kiedyś stały piękne posągi, teraz stały piękne postacie Cyryla, Roberta, Antei i Janeczki.

Pewnego dnia Cyryl i Robert spędzili miłą godzinę na odtwarzaniu, w obcisłej białej bieliźnie, starożytnych posągów greckich, jakie widzieli w Muzeum lub w albumie fotografii ojca. Przedstawienie skończyło się jednak niespodzianie, gdyż Robert chciał być Wenus z Milo i w tym celu pociągnął za prześcieradło, które służyło jako draperia, w tej samej chwili, gdy Cyryl, wyglądający zupełnie jak Dyskobol, z biało-złotym talerzem w ręku zamiast dysku — stał na jednej nodze, pod tą nogą zaś leżało prześcieradło.

Oczywiście Dyskobol, jego dysk i niedoszła Wenus upadli naraz i mocno się potłukli, zwłaszcza talerz, który nigdy już nie miał być taki sam, choćby go posklejano syntetikonem czy białkiem jajka.

— Jesteś chyba zadowolony? — rzekł Cyryl, trzymając się za czoło, na którym nabrzmiewał potężny guz.

— Dziękuję ci — odparł z goryczą Robert. Jego palec dostał się między słupki balustrady i omal się nie złamał.

— Strasznie mi cię żal, biedny Wiewiórku! — wykrzyknęła Antea. — A wyglądałeś tak ślicznie! Zaraz przyniosę mokrą szmatkę. Bob, idź i potrzyмай rękę pod kurkiem z gorącą wodą. Tak zawsze postępują baletnice, kiedy skaleczą się w nogę. Widziałam to w książce.

— W jakiej książce? — spytał złośliwie Robert. Ale zszedł na dół.

Kiedy wrócił, siostry obandażowały Cyrylowi głowę i doprowadziły go do takiego stanu umysłu, w którym mógł przyznać niechętnie, że przypuszcza, że Robert nie zrobił tego naumyślnie.

Robert odpowiedział podobną uprzejmością. Antea postarała się skierować rozmowę na inny temat.

— Przypuszczam, że nie macie ochoty wybrać się gdzieś poprzez Amulet? — spytała.

— Do Egiptu — odparła z pośpiechem Janeczka. — Chcę zobaczyć puchate kotki.

— A ja nie — rzekł Cyryl. — Jest za gorąco. Już tu ledwie mogę wytrzymać, a co dopiero w Egipcie... — Było naprawdę gorąco, nawet na drugim podeście, który był najchłodniejszym miejscem z całego domu. — Wybierzmy się na północny biegun.

— Wątpię — rzekł Robert — czy Amulet był tam kiedy. A możemy tak odmrozić ręce i nogi, że nie potrafimy już stamtąd wrócić.

— Wiecie co — wtrąciła Janeczka — chodźmy do Piaskoludka i poprośmy go o radę. Będzie z tego zadowolony, nawet jeśli z rady nie skorzystamy.

Piaskoludka przyniesiono w wyszywanej jedwabnej torbie, nim jednak ktokolwiek zdążył go poprosić, od pokoju uczonego otworzyły się drzwi i na schodach rozległ się głos gościa, który jadł z nim obiad. Wyglądało na to, że mówi, trzymając rękę na klamce.

— Idź do doktora, mój drogi — powiedział. — Cała ta gadanina o przekazywaniu myśli jest po prostu bzdurą. Jesteś przepracowany. Weź urlop. Jedź nad morze.

— Wolałbym do Babilonu — odparł uczonego.

— To już bym wolał, żebyś się wybrał kiedy na Atlantyde, póki pracujemy nad nią. Wtedy po powrocie będziesz mógł mi udzielić paru wskazówek do artykułu w „XIX Wieku”.

— I ja też bym wolał — dał się słyszeć głos uczonego.

— Do widzenia i uważaj na siebie!

Drzwi zatrzasnęły się, a gość, tęgi, zażywny, okazały mężczyzna, zszedł z uśmiechem po schodach. Dzieci musiały usunąć się, aby go przepuścić.

— I co tam, dzieciaki? — spytał rzucając okiem na bandażę na głowie Cyryla i na rękę Roberta. — Byliście na wojnie?

— Wszystko już jest w porządku — odparł Cyryl. — Ale, proszę pana, co to za Atlantyda, dokąd pan chciał, żeby on pojechał? Niechący usłyszeliśmy tę rozmowę.

— Bo widzi pan — wtrąciła ugodowo Janeczka — pan mówi tak głośno!

— Atlantyda — wyjaśnił gość — zagubiona Atlantyda, ogród Hesperyd. Ten wielki kontynent znikł w morzu. Możecie o tym wyczytać u Platona*.

— Dziękujemy panu — rzekł niepewnie Cyryl.

— A czy były tam Amulety? — spytała Antea, zaniepokojona jakąś nagłą myślą.

— Chyba setki. Ale widzę, że mój przyjaciel musiał z wami rozmawiać.

— Nawet często. Bardzo jest dla nas miły. Strasznie go lubimy.

— Tak, ale potrzebny mu jest wypoczynek. Namówcie go, żeby wyjechał. Musi zmienić miejsce pobytu. Widzicie, jego głowa jest tak naładowana wiadomościami o Egipcie, Asyrii i o innych krajach, że nie można go zainteresować niczym innym, choćby się próbowało od rana do nocy. W dodatku nie mam na to czasu. Ale wy mieszkacie na miejscu. Spróbujcie, dobrze? No, do widzenia.

Zbiegł po schodach przeskakując po trzy stopnie naraz, a Janeczka orzekła, że jest miłym człowiekiem i musi mieć chyba własne córeczki.

— Chciałabym się z nimi pobawić — dodała z namysłem.

Trójka starszych wymieniła spojrzenia. Cyryl skinął głową.

— Dobrze. Wybierzmy się do Atlantydy — powiedział.

— Wybierzmy się do Atlantydy i zabierzmy z sobą uczonego — dodała Antea. — Będzie potem myślał, że to sen, ale to będzie z pewnością zmiana miejsca pobytu.

— A dlaczego nie do ślicznego Egiptu? — spytała Janeczka.

— Za gorąco — uciął krótko Cyryl.

— Albo do Babilonu, dokąd i on miałby ochotę pojechać.

— Mam dość Babilonu — odparł Robert — przynajmniej na teraz. A wy chyba też, choć nie wiem dlaczego — dodał sprzedając pytanie Janeczki. — Nie wiem dlaczego, ale wszyscy mamy go dość. Wiewiórek, pozdejmuujemy te okropne bandażę i ubierzmy się zwyczajnie. Nie możemy pokazać się nigdzie w białym.

— Wyraził życzenie znalezienia się na Atlantydzie — rzekła Antea — więc kiedyś i tak musi tam być. Może więc lepiej, jak będzie tam z nami.

W ten oto sposób uczonego, który pozwalał sobie na krótki odpoczynek w fotelu, kiedy był zmęczony wysłuchiowaniem uwag (o Atlantydzie i wielu innych sprawach), z którymi niezupełnie się zgadzał, otwarty oczy zobaczył przed sobą stojącą szeregiem czwórkę swoich małych znajomych.

— Czy nie wybrałby się pan z nami na Atlantyde? — spytała Antea.

„Skoro już ktoś wie, że śni, oznacza to bliski koniec snu — powiedział sam do siebie uczonego. — A może to jeszcze jedna gra, jak »Ile mil stąd do Babilonu«?”

* Platon (427–347 p.n.e.) — jeden z najwybitniejszych filozofów greckich.

— Dziękuję wam bardzo — odpowiedział na głos — ale mam tylko kwadrans wolnego czasu.

— To wcale nie wymaga czasu — wyjaśnił Cyryl. — Czas, jak pan wie, jest tylko sposobem myślenia. A pan musi i tak zrobić coś ze swoim czasem. Więc dlaczego nie miałby pan pójść z nami?

— Bardzo dobrze — odparł uczony, przekonany już teraz, że tylko śni.

Antea wyciągnęła przed siebie miękką, różową rączkę. Uczony chwycił ją, a Antea pociągnęła go tak, że wstał z fotela, Janeczka zaś uniosła Amulet do góry.

— Chcemy się znaleźć tuż przy brzegu Atlantydy — rzekł Cyryl, a Janeczka wymówiła zaklęcie.

— Co z ciebie za osioł! — krzyknął Robert. — Przecież to wyspa! Tuż przy brzegu jest woda.

— Nie chcę! Nie chcę być w wodzie! — zawołał Piaskoludek wyrывая się z torby.

Tymczasem Amulet przekształcił się już w wielki łuk. Cyryl popchnął naprzód uczonego, który był niewątpliwie najstarszy, i wszyscy, ilu ich było, znaleźli się nie w wodzie, ale na drewnianej podłodze. Amulet wrócił do swoich normalnych rozmiarów i całe towarzystwo stało na pokładzie statku, który marynarze przymocowywali łańcuchami do kół przytwierdzonych na nadbrzeżu. Koła i łańcuchy zrobione były z metalu o żółtoczerwonym połysku niczym złoto.

Początkowo wszyscy na statku byli tak zajęci, że w pierwszej chwili nie spostrzegli przybyszów z Fitzroy Street. Ci z załogi, którzy wyglądali na oficerów, głośno rozkazywali marynarzom.

Nasza grupa stała wpatrzona w miasto wznoszące się poza nadbrzeżem. Był to widok piękniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek oglądali, nawet w marzeniach.

Błękitne morze połsniewało w promieniach słońca. Drobne fale pokryte białą pianą uderzały łagodnie o marmurowy falochron, osłaniający statki od burz i wichrów morskich. Nadbrzeże było z białego marmuru żyłkowanego jak gdyby złotem. Miasto też było całe z marmuru, z czerwonego i białego. Większe budynki wyglądające na świątynie i pałace pokryte były dachami z metalu, podobnego do złota i srebra. Większość jednak dachów była z miedzi, błyszczącej czerwono na tle wzgórz, które otaczały miasto. Domy mieniły się kolorami — zielenią, błękitem i szkarłatem — zależnie od tego, czy wystawione były na działanie słonej wody morskiej, czy też na opary unoszące się z farbiarni i wysokich pieców położonych w dalszej części miasta.

Wspaniale, szerokie schody marmurowe wiodły od nadbrzeża do czegoś w rodzaju tarasu, ciągnącego się całymi milami, a opasującego zbudowane na wzgórzu właściwe miasto.

— Cudowne — powiedział uczony wciągając głęboko powietrze. — To po prostu cudowne.

— Proszę pana... panie... Jak się pan właściwie nazywa? — spytał Robert.

— On chciał powiedzieć — grzecznie poprawiła brata Antea — że nie możemy zapamiętać pana nazwiska.

— Kiedy byłem w waszym wieku, nazywano mnie Jimmy — odparł nieśmiało uczony — więc możecie tak do mnie mówić. Wolałbym, bo czułbym się pewniej w takim dziwacznym śnie, gdybym miał wrażenie, że jestem trochę podobny do was.

— Dziękuję ci, Jimmy — powiedziała z pewnym wysiłkiem Antea. Było jej trochę dziwnie mówić Jimmy dorosłemu panu. Ale sam Jimmy na dźwięk tego imienia uśmiechnął się z zadowoleniem.

Tymczasem statek został dobrze przycumowany i kapitan miał czas zauważyć także inne rzeczy.

Podszedł do grupy naszych znajomych. Miał na sobie strój najpiękniejszy z wszystkich strojów odpowiednich do podróży morskich.

— Co wy tu robicie? — zapytał ostrym tonem. — Czy przynosicie błogosławieństwo, czy przekleństwo?

— Oczywiście błogosławieństwo — odparł Cyryl. — Bardzo mi przykro, jeśli panu sprawiliśmy kłopot, ale jesteśmy tutaj dzięki cesarzom. Przybywamy z krainy, gdzie słońce wschodzi — wyjaśnił.

— Rozumiem — rzekł kapitan, choć nikt się po nim nie spodziewał zrozumienia. — W pierwszej chwili nie zauważyłem was, ale teraz mam nadzieję, że będziecie dla nas dobrą wróżbą. Bardzo to nam potrzebne. A ten — wskazał na uczonego — to z pewnością wasz niewolnik?

— Nic podobnego — zaprzeczyła Antea — to wielki uczonego. Mędrzec — zdaje mi się, że tak się podobnych ludzi nazywa. Chcemy obejrzeć wasze przepiękne miasto, świątynie i różne inne budowle, a potem wrócimy do siebie, a uczonego opowie wszystko swemu przyjacielowi, który opíše to w książce.

— A co to jest książka? — spytał kapitan poprawiając jedną z lin.

— To coś napisanego albo — dodała pośpiesznie, przypomniawszy sobie pismo babilońskie — coś wyrytego.

Jakiś nagły odruch zaufania skłonił Janeczkę do wydobycia Amuletu, który nosiła na szyi.

— Tak, jak to — powiedziała.

Kapitan przyjrzał się Amuletowi z zaciekawieniem, ale nie przejawiał grozy i szalonego zainteresowania, jakie sama nazwa budziła w Egipcie i Babilonie. Dzieci spostrzegły to z ulgą.

— Kamień pochodzi z naszego kraju — rzekł kapitan — a to, co na nim zostało wyryte, jest naszym pismem, ale nie umiem tego odczytać. A jak nazywa się wasz mędrzec?

— Ji-jimmy — odparła z wahaniem Antea.

— Ji-jimmy — powtórzył kapitan. — Proszę zejść na ląd — dodał. — Zaprowadzę was do królów.

— A może wasz król nie znosi cudzoziemców? — spytał Robert.

— Mamy dziesięciu królów — wyjaśnił kapitan — a dynastia królewska, wywodząca się od Posejdona, ojca nas wszystkich, podtrzymuje szlachetną tradycję oddawania czci cudzoziemcom, jeśli tylko przybywają w pokojowych zamiarach.

— W takim razie proszę nas zaprowadzić do królów — odparł Robert. — Chociaż bardzo chciałbym zwiedzić ten piękny statek i trochę na nim popływać.

— Uczynimy to później — rzekł kapitan. — Teraz spodziewamy się burzy. Czy słyszycie ten dziwny odgłos?

— To nic groźnego — odezwał się stojący w pobliżu stary marynarz. — To po prostu zbliża się ławica sardeli.

— Za głośno jak na sardele — odpowiedział kapitan.

Zapadło trwożliwe milczenie. Po czym kapitan zszedł na nadbrzeże, a całe towarzystwo poszło w jego ślady.

— Pomów z nim, Jimmy — poprosiła Antea. — Możesz dowiedzieć się najrozmaitszych rzeczy, które przydadzą się do pisania książki twojemu przyjacielowi.

— Wybaczcie mi — rzekł uczonego — ale wolę się nie odzywać. Po pierwsze, zbudziłbym się, a po wtóre, nie rozumiem, co mówi ten człowiek.

Ponieważ nikomu innemu nie przychodziło nic do głowy, co można by powiedzieć, więc szli za kapitanem w zupełnym milczeniu po marmurowych schodach i ulicami miasta. Ulic tych było wiele, podobnie jak sklepów, domów i miejsc targowych.

— To zupełnie jak w Babilonie — szepnęła Janeczka — tylko wszystko jest inne.

— Jak to dobrze — szepnęła Antea do Cyryla — że tutejsi królowie są tak życzliwi dla cudzoziemców.

— Tak — potwierdził Cyryl. — Tutaj nie będzie głębokiej celi i ciemnicy.

Na ulicach nie widziało się wcale koni ani wózków, ale wózki ręczne i taczki na grubych kołach, sporo ludzi dźwigających ciężary na głowach, wielu zaś dosiadało zwierząt podobnych do słoni, ale włochatych i o wyrazie innym niż głowy słoni w Zoo, znacznie mniej łagodnych.

— Mamuty! — szepnął uczony i potknął się o jakiś obłuzowany kamień.

Ludność tłoczyła się wokół małej gromadki, ale kapitan bez trudu rozproszył tłum mówiąc:

— To Dzieci Słońca i ich arcykapłan. Przybyli błogosławić miastu.

Po tych słowach tłum zaczął się rozchodzić z cichym pomrukiem, co brzmiało jak stłumione okrzyki uznania.

Wiele budynków pokrytych było złotem, przy czym złoto na największych budowlach było innego koloru niż na zwykłych domach. Budowle te miały ponadto wieże czy iglice z oksydowanego srebra.

— Czy to prawdziwe złoto? — spytała Janka.

— Świątynie są naturalnie pokryte złotem — odparł kapitan — ale pokrycie zwykłych domów jest mosiężne albo miedziane, co wypada znacznie taniej.

— Miedziane... miedziane... — powtarzał uczony. Był bardzo blady i wciąż się potykał.

— Nie bój się — rzekła Antea. — Możemy każdej chwili wrócić do domu: wystarczy unieść w górę Amulet. A może już chcesz wracać? Możemy się tu zjawić innego dnia bez ciebie.

— Nie, nie — błagał uczony. — Niech sen trwa. Proszę cię bardzo.

— Wielki Ji-jimmy może jest zmęczony swoją czarodziejską podróżą — odezwał się kapitan, który spostrzegł niepewny krok uczonego. — A do Wielkiej Świątyni, gdzie dzisiaj królowie składają ofiary, jeszcze jest bardzo daleko.

Kapitan zatrzymał się przy bramie w mosiężnym ogrodzeniu otaczającym rodzaj parku, gdyż ponad ścianą z mosiądzu widać było drzewa.

Po krótkiej chwili oczekiwania kapitan wrócił prowadząc kosmatego słonia i poprosił dzieci i uczonego, aby go dosiedli.

Uczynili to, a przejażdżka była wspaniała. Jazda na słoniu w Zoo także jest przyjemna, ale trwa bardzo krótko, bo słoń szybko zawraca i droga powrotna staje się nudna. Tutaj jednak ogromne kosmate zwierzę posuwało się wzdłuż ulic, placów i parków, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Miasto było naprawdę wspaniałe, zbudowane prawie wyłącznie z marmuru — czerwonego, białego lub czarnego. Słoń raz po raz przechodził przez jakiś most.

Gdy wspięli się na szczyt wzgórza wznoszącego się pośrodku miasta, spostrzegli, że całość dzieli się na dwadzieścia kręgów na przemian ładu i wody, nad każdym zaś kręgiem wody wznoszą się mosty. Szczyt wzgórza miał kształt olbrzymiego placu. Po jednej stronie wznosił się rozległy budynek pokryty złotą blachą i z dachem ze srebra. Reszta budynków otaczających plac kryta była miedzianą blachą. Wszystko to błyszczało w promieniach słońca i wyglądało wspanialej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

— Może chcecie wziąć kąpiel? — powiedział kapitan, gdy kosmaty słoń przykleknął ułatwiając jeźdźcom zejście na ziemię. — U nas jest to przyjęte. Mamy osobne łaźnie dla mężczyzn, kobiet, koni i bydła. Łaźnie najwyższej klasy mieszczą się tutaj. Ojciec nasz, Posejdon, obdarzył nas źródłem gorącej wody i źródłem zimnej.

Dzieci nigdy dotąd nie kąpały się w wannach ze złota.

— Fantastyczne uczucie — rzekł Cyryl pryskając wodą na wszystkie strony.

— Tak — przyznał Robert. — A może to nie złoto, ale mosiądz? Podaj mi ręcznik.

W łaźni były liczne sadzawki, do których schodziło się po metalowych stopniach.

— Jimmy — spytała nieśmiało Antea, kiedy dokładnie wypucowani spotkali się na ukwieconym dziedzińcu łaźni — czy nie myślisz, że wszystko to wygląda znacznie

bardziej na teraz niż na Babilon czy Egipt?... Ach, prawda, zapomniałam, że ty tam nie byłeś!

— Nie byłem — odparł uczony — ale wiem coś niecoś o tych krainach i zgadzam się całkowicie z tobą. Bardzo trafnie to zauważyłaś — dodał — tutejsze miasto zdaje się wskazywać na znacznie wyższy stopień cywilizacji niż egipskie czy babilońskie.

— Proszę za mną — rzekł kapitan. — Nie przeszkadzajcie, chłopcy! — zawołał w stronę gromadki małych chłopców bawiących się suszonymi kasztanami przymocowanymi do sznurka.

— Ojej! — wykrzyknął Robert. — Oni bawią się kasztanami, zupełnie jak dzieci na naszej ulicy.

Teraz widać było dokładnie trzy ściany otaczające wyspę, na której się znajdowali. Zewnętrzna ściana, jak wyjaśnił kapitan, była z mosiądzu, następna, wyglądająca jak ze srebra, kryta była cyną, a wewnętrzną zbudowano z miedzi. W samym zaś środku miasta wznosiła się ściana ze złota o złotych wieżach i bramach.

— Obejrzyjcie świątynię Posejdona — rzekł kapitan. — Mnie nie wolno tam wchodzić, więc będę na was czekał.

Objął, jak mają się zachować, i cała piątka naszych znajomych ujęła się za ręce i podeszła do złotej bramy, która powoli się otwierała.

— Jesteśmy Dziećmi Słońca — rzekł Cyryl w myśl wskazówek kapitana. — Jest z nami arcykapłan, chociaż w domu inaczej go nazywamy.

— A jak go nazywacie? — spytał człowiek w białej szacie stojący w bramie.

— Ji-jimmy — Cyryl zawahał się, podobnie jak Antea, bo doprawdy było to bardzo dziwne mówić w ten sposób o bardzo uczonym człowieku. — Przybyliśmy, aby pomówić z waszymi królami w świątyni Posejdona... Czy prawidłowo wymieniłem to imię? — szepnął do uczonego.

— Najzupełniej — odparł uczony. — Dziwna rzecz, ale rozumiem wszystko, co wy im mówicie, natomiast nic z tego, co oni mówią do was.

— Królowa Babilonu miała to samo wrażenie — odparł Cyryl. — To należy do czarów.

— Ach, co za wspaniały sen! — zawołał uczony.

Do kapłana w bieli przyłączyli się inni i wszyscy pochylili się w niskim ukłonie.

— Wejdźcie — powiedział kapłan — wejdźcie, Dzieci Słońca, razem z waszym Wielkim Ji-jimmy.

Pośrodku wewnętrznego dziedzińca wznosiła się świątynia cała ze srebra. Drzwi były ze złota, tak samo jak smukłe wieżyczki i dwadzieścia olbrzymich posągów.

Przeszli przez drzwi, a kapłan poprowadził ich schodkami na galerię, z której roztaczał się widok na całe wnętrze świątyni.

— Dziesięciu królów wybiera teraz byka. Nie wolno mi na to patrzeć — rzekł kapłan i padł twarzą do ziemi.

Dzieci rozejrzały się po świątyni.

Strop zbudowany był z kości słoniowej i przyozdobiony trzema bezcennymi kruszcami, a ściany obite były miedzią.

Na drugim krańcu świątyni wznosiła się grupa posągów, którym podobnych nigdy nie widziała żadna żyjąca istota.

Były całe ze złota, a głowa największej postaci sięgała stropu.

Postacią tą był Ojciec Miasta, Posejdon. Stał na wielkim wozie, ciągnionym przez sześć ogromnych koni, a otaczało go sto syren dosiadających delfinów.

Dziesięciu ludzi, wspaniale ubranych i zbrojnych tylko w laski i sznury, usiłowało schwytać jednego z piętnastu byków biegających po całej świątyni. Dzieci patrzyły na to z zapartym oddechem, gdyż byki wyglądały groźnie i dziko potrzęsały rogatymi głowami.

Antea nie chciała przyglądać się bykom. Rozejrzała się po galerii i spostrzegła inne jeszcze schodki, wiodące o piętro wyżej. Na szczycie tych schodków znajdowały się drzwi, które prowadziły na coś w rodzaju balkonu.

Usłyszała okrzyk Roberta: — Mają go! — spojrzała na dół i zobaczyła, że dziesięciu królów popędza laskami czarnego byka schwytanego na linę i usiłującego się wyrwać. Pozostałe byki wypędzono ze świątyni i Robert znowu zawołał:

— Teraz już nic więcej nie zobaczymy!

— Zobaczymy — odparła Antea — bo tu jest balkon.

Wszyscy znaleźli się na balkonie. Wkrótce jednak dziewczynki zrezygnowały z patrzenia.

— Nie lubię widoku ofiar — powiedziała Janeczka i razem z Anteą podeszły do kapłana, który już nie leżał twarzą do ziemi, lecz siedział na górnym stopniu i ocierał czoło, gdyż dzień był bardzo gorący.

— To specjalna ofiara — rzekł kapłan. — Zwykle ofiary składa się w Dniu Sprawiedliwości, co pięć lat. Wtedy królowie wychylają czarę wina z odrobiną krwi byka i przysięgają, że będą sędzić sprawiedliwie. Mają wtedy na sobie szaty błękitne i wygaszają wszystkie ognie w świątyni. Ale dzisiaj składają ofiary, ponieważ w mieście panuje niepokój z powodu dziwnych odgłosów wydawanych przez morze i przez boga mieszkającego wewnątrz wielkiej góry, a przemawiającego piorunowym głosem. Ale to wszystko zdarzało się już wiele razy. Jedyna rzecz, jaka mnie niepokoi, to tamto.

— A co takiego? — spytała uprzejmie Janeczka.

— Lemingi.

— A co to są te lemingi? Czy to nieprzyjaciele?

— Jest to rodzaj szczurów. Co roku przyływają z nieznannej krainy, pozostają tutaj przez krótki czas i odpływają z powrotem. Ale w tym roku nie zjawiły się. Wiecie pewnie, że szczury uciekają z okrętu, który ma utonąć. Toteż gdyby coś strasznego miało się nam przydarzyć, myślę, że lemingi przeczułyby to. I to może być powód, dla którego dotychczas się nie zjawiły.

— Jak się wasz kraj nazywa? — spytał Piaskoludek, nagle wyglądając z torby.

— Atlantyda — odparł kapłan.

— W takim razie radzę wam zebrać się na najwyższym miejscu, na szczycie najwyższej góry. Przypominam sobie, że słyszałem o potopie, jaki nawiedził to miejsce. A my — zwrócił się do Antei — wracajmy do domu. Widoki są zbyt mokre dla moich wąsików.

Dziewczynki posłusznie udały się na poszukiwanie braci, których znalazły, gdy przypatrywali się czemuś z balkonu.

— A gdzie jest nasz uczonec? — spytała Antea.

— Tam, na dole — odparł kapłan, który przyszedł z dziewczynkami. — Wasz Wielki Ji-jimmy jest teraz wśród królów.

Królowie nie byli już sami. Uczony — nikt nie spostrzegł, jak się tam dostał — znajdował się wraz z nimi na stopniach ołtarza, na ołtarzu zaś spoczywało martwe ciało czarnego byka. Dziedziniec natomiast wypełniał tłum ludzi, którzy głośno wołali:

— Morze, morze!

— Zachowajcie spokój — rzekł najbardziej królewski z królów, ten, który schwytał byka. — Nasze miasto jest zabezpieczone przed burzą morską i przed burzą z nieba!

— Chcę do domu! — zapiszczał Piaskoludek.

— Nie możemy wracać bez niego — odparła stanowczo Antea.

— Ji-jimmy! — zawołała. — Ji-jimmy! — powtórzyła machając do niego ręką. Uczony dosłyszał i zaczął przeciskać się w jej stronę poprzez tłum.

Z balkonu widać było, że do świątyni wszedł kapitan statku i torował sobie drogę wśród tłumu. Twarz miał białą jak papier.

— Chrońmy się na wzgórzach! — krzyknął straszliwym głosem. Ale jeszcze głośniejsze i bardziej straszliwie odezwał się inny głos — głos morza.

Dziewczynki spojrzały w tamtym kierunku.

Poprzez gładką powierzchnię morza zbliżała się do miasta olbrzymia, czarna fala, wysoka na sto stóp, fala wielka jak góra, rosnąca coraz wyżej i wyżej.

Aż wreszcie załamała się. Połowa spłynęła na powrót do morza, druga zaś...

— Ach! — krzyknęła Antea. — Biedni ludzie, nieszczęśliwe miasto!

— To wszystko działo się tysiące lat temu — zauważył Robert, ale głos mu zadrżał.

Dzieci odwróciły oczy. Nie miały odwagi patrzeć, gdyż fala popłynęła przez miasto, zatapiając nadbrzeża i doki, wielkie składy i fabryki, wrywając olbrzymie głazy z fortyfikacji i mostów i uderzając nimi o mury świątyń. Statki morskie znalazły się ponad dachami domów i pływały wśród szczątków ogrodów i zniszczonych budynków. Woda miotła łodziami rybackimi i rozbiła je na kawałki o złote dachy pałaców.

Potem fala cofnęła się do morza.

— Chcę do domu! — pisnął wściekle Piaskoludek.

— Tak, naturalnie! — zawołała Janeczka. Chłopcy też byli gotowi wracać, ale uczonego nadal nie było widać.

Wreszcie usłyszeli jego głos płynący z wewnętrznej galerii:

— Muszę zobaczyć zakończenie snu! — Popędził schodami w górę, a za nim czwórka dzieci. Wreszcie wszyscy znaleźli się w małej wieżycy, krytej dachem, ale otwartej na wszystkie strony świata.

Uczony przechylił się przez parapet, a w tej samej chwili ogromna fala runęła znów na miasto. Tym razem była wyższa — pochłonęła więcej.

— Do domu! — wołał Piaskoludek. — To już koniec! Wiem o tym z całą pewnością.

— Chodźcie! — krzyknęła Janeczka i uniosła w górę Amulet.

— Muszę zobaczyć zakończenie snu — upierał się uczony.

— Jeśli to zrobisz — odparł Cyryl — nie zobaczysz nic więcej.

— Ji-jimmy! — błagała Antea. — Już nigdy więcej nie zabiorę cię z nami!

— Nie będziesz miała okazji, jeżeli zaraz stąd nie uciekniemy — wtrącił Piaskoludek.

— Muszę zobaczyć zakończenie snu — powtarzał z uporem uczony.

Wszystkie wzgórza dokoła czarne były od ludzi uciekających z wiosek przed powodzią. Równocześnie nad wielkim białym szczytem ukazała się smuga dymu, a następnie błysk ognia.

Wulkan wyrzucał z siebie ogień i lawę. Ziemia trzęsła się, z góry padał deszcz siarki i popiołu, a całą okolicę pokryła niby śniegiem warstwa kamiennego pyłu. Z lasów wybiegły słonie pędząc w kierunku wierzchołków górskich, a z górskich jezior wynurzyły się olbrzymie jaszczury i popędziły do morza.

Śnieg na szczytach topniał i opadał najpierw w postaci lawin, później zaś w kształcie gwałtownych potoków. Olbrzymie skały, wyrzucane przez wulkan, spadały do morza w odległości wielu mil.

— Ach, to okropne! — zawołała Antea. — Wracajmy, wracajmy do domu!

— Koniec snu — jęknął uczony.

— Unieś Amulet! — krzyknął nagle Piaskoludek.

Miejsce, gdzie stali, było teraz zatłoczone ludźmi, a dorośli tak napierali na dzieci, że ledwo mogły oddychać.

Wieżyczka zaczęła się chwiać, fala morska sięgnęła złotej ściany.

Janeczka wyciągnęła w górę Amulet.

— A teraz — krzyknął Piaskoludek — wypowiedz zaklęcie!

Janeczka wymówiła zaklęcie, a Piaskoludek wyskoczył z torby i ugryzł uczonego w rękę.

W tej samej chwili chłopcy przepchnęli go przez łuk, po czym wszyscy natychmiast poszli jego śladem.

Uczony zdążył się jeszcze odwrócić, lecz poza łukiem widać było tylko bezkres wód, spośród których wznosił się i pluł ogniem straszliwy szczyt wulkanu.

* * *

Uczony opadł na krzesło.

— Co za potworny sen! — jęknął. — Ach, jesteście tutaj, moi drodzy! Co mógłbym dla was zrobić?

— Ma pan skaleczoną rękę — łagodnie odparła Antea. — Zaraz ją panu obandażuję.

Ręka rzeczywiście mocno krwawiła. Piaskoludek wsunął się na powrót do torby. Dzieci były bardzo blade.

— Nigdy więcej — powiedział im później Piaskoludek — nie pójdę w Przeszłość z osobą dorosłą! Bo co do was, wy czworo robicie, co się wam każe.

— Ależ my nawet nie znaleźliśmy Amuletu — odparła po namyśle Antea.

— Pewnie, że nie, bo go tam nie było. Był tylko kamień, z którego Amulet zrobiono. Kamień ten spadł w odległości kilku mil na statek, który zdołał się uratować i dotarł do Egiptu. Mogłem to wam już dawno powiedzieć.

— Szkoda, żeś nie powiedział — szepnęła drżącym głosem Antea. — A dlaczego?

— Dlatego — odparł ze złością Piaskoludek — że nikt mnie nie pytał. Nie należę do tych, co się popisują, choć nie są o to proszeni.

— Przyjaciel pana Ji-jimmy będzie miał teraz materiał do swego artykułu — zauważył Cyryl po jeszcze dłuższym namyśle.

— Nie — zaprzeczył sennie Robert. — Uczony Ji-jimmy będzie myślał, że to był sen, i prawie na pewno nie powie ani słowa swojemu przyjacielowi.

Robert, jak się okazało, miał rację pod obydwoma względami.

ROZDZIAŁ X

CZARNA DZIEWCZYŃKA I JULIUSZ CEZAR

Wielkie miasto zatopione przez morze, piękny kraj zniszczony przez wybuch wulkanu — nie są to rzeczy, jakie można oglądać co dzień. A kiedy się to zobaczy, może zabraknąć wam tchu w piersiach, choćbyście nie wiem ile cudownych rzeczy widzieli w życiu. Atlantyda wywarła taki właśnie wpływ na oddech Cyryla, Roberta, Antei i Janeczki.

Przez kilka dni chodzili, jakby brakło im tchu. Uczony znajdował się w takim samym stanie. Znaczną część czasu zużył na opowiadzenie Antei o niezwykłym śnie, jaki mu się przyśnił.

— Nie uwierzyłabyś — powiedział — że można we śnie wszystko tak dokładnie widzieć.

Antea jednak odparła, że wierzy temu z całą pewnością.

Uczony przestał mówić o przekazywaniu myśli. Widział teraz zbyt wiele cudowności, aby w to wierzyć.

Z powodu braku tchu żadne z dzieci nie proponowało nowych wycieczek poprzez Amulet. Robert wyraził nastrój wszystkich, kiedy powiedział, że na jakiś czas ma dosyć Amuletu. Z pewnością mieli go dosyć.

Co zaś do Piaskoludka, to ten poszedł w piasek i wypoczywał, doszczętnie wyczerpany strachem przed powodzią i wysiłkami, jakie musiał podejmować dla spełnienia niezliczonych życzeń uczonego oraz babilońskiej królowej.

Dzieci pozwoliły mu spać. Z każdym dniem stawało się coraz oczywistszym niebezpieczeństwo, jakim grozi zabieranie go między obcych ludzi, którzy nie wiadomo kiedy gotowi są wypowiedzieć niepożądane życzenia. Ponadto można znaleźć najrozmaitsze przyjemności w Londynie bez pomocy Amuletów i Piaskoludków. Można zwiedzić na przykład słynną Wieżę Londyńską, Parlament, liczne muzea, galerię obrazów, ogrody zoologiczne, parki, Galerię Figur Woskowych czy wielkie Ogrody Botaniczne w Kew niedaleko Londynu. Do Kew można się dostać parowcem i tę właśnie drogę obrałyby dzieci, gdyby tam pojechały.

Ale nie pojechały, ponieważ w czasie omawiania przygotowań do podróży i rozważań, co i ile zabrać z sobą do jedzenia i ile to razem będzie kosztowało, rozpoczęła się przygoda z czarną dziewczynką.

Dzieci siedziały na ławce w parku i przyglądały się pelikanowi, jak z wielką godnością odrzucał zaproszenie mew, które miały ogromną ochotę się z nim pobawić. Pelikan słusznie uważał, że jego postać nie nadaje się do zabawy, spędzał więc czas przeważnie na dowodzeniu, że wcale nie dlatego nie ma ochoty się bawić.

Brak tchu spowodowany przez Atlantyde trochę już ustępował. Cyryl, który zawsze chciał wszystko wiedzieć o wszystkim, rozmyślał teraz nad różnymi sprawami.

— Nic podobnego, ja tylko rozmyślałem — odparł, kiedy Robert spytał go, dlaczego jest taki skwaszony. — Powiem ci, kiedy wszystko przemyślę do końca.

— Jeżeli w sprawie Amuletu — wtrąciła Janeczka — to nie chcę tego słuchać.

— Nikt cię o to nie prosi — odparł łagodnie Cyryl — zresztą nie skończyłem jeszcze swoich rozmyślań. Wybierzmy się teraz do Kew.

— Ja bym pojechał parowcem — rzekł Robert, na co dziewczynki roześmiały się.

— Bardzo dobrze — powiedział Cyryl — możecie się śmiać.

— Ja bym chciała zobaczyć tam palmy — rzekła pośpiesznie Antea. — I chciałabym się przekonać, czy podobne są do palm na wyspie, gdzie wydaliśmy za mąż kucharkę za włamywacza*.

Zaczęły się natychmiast miłe wspomnienia, pod wpływem których znikły wszelkie przykre uczucia.

— Ależ mieliśmy przygody! — powiedział z namysłem Cyryl pod wpływem tych wspomnień.

— To prawda — przyznał Robert.

— Ale już więcej nie trzeba — dodała z niepokojem Janeczka.

— Właśnie o tym myślałem — odparł Cyryl.

W tej samej chwili usłyszeli ciche szlochanie czarnej dziewczynki. Stała tuż obok.

Właściwie nie była naprawdę czarna. Była obdarta i trochę brudna, a płakała tak długo, że poprzez wąskie szparki spuchniętych powiek ledwo było widać, jak bardzo niebieskie są jej oczy. Miała czarną sukienkę, za obszerną i za długą jak na nią, i słomkowy kapelusz z płaskim rondem i czarną wstążką, o wiele za duży na jej małą, płową główkę. Spoglądała na dzieci i pociągała nosem.

— Ojej! — zerwała się Antea. — Co się stało?

Położyła rękę na ramieniu dziewczynki. Ale ta szorstko ją odepchnęła.

— Zostaw mnie! — zawołała. — Przecież nic wam nie robię!

— Ale co ci jest? — nalegała Antea. — Czy ktoś zrobił ci krzywdę?

— Co to ciebie obchodzi? — odparła ze złością dziewczynka. — Wam jest dobrze.

— Chodźmy — rzekł Robert pociągając Anteę za rękaw. — Ona jest po prostu niegrzeczna.

— O, nie — odparła Antea. — Ona jest tylko bardzo nieszczęśliwa. Co ci jest? — spytała ponownie.

— O, wam jest dobrze — powtórzyła mała — wy nie musicie iść do Stowarzyszenia.

— Może cię odprowadzić do domu? — spytała Antea, a Janeczka dodała:

— Gdzie mieszka twoja mamusia?

— Nigdzie nie mieszka! Umarła! Teraz wiesz! — wykrzyknęła gwałtownie mała tonem głębokiej rozpacz. Po czym szeroko otworzyła spuchnięte oczy, tupnęła z wściekłością nogą i uciekła. Pobiegła jednak tylko do najbliższego krzaka, rzuciła się na ziemię i znów zaczęła płakać, nie próbując nawet się uspokoić.

Antea dopędziła ją i zaczęła gorąco obejmować.

— Nie płacz tak, kochanie — szepnęła jej do ucha. — Powiedz o wszystkim Antei. Antea ci pomoże, tylko przestań płakać.

Reszta dzieci czekała w pewnej odległości. Ktoś z przechodniów popatrzył na tę scenę z zaciekawieniem.

Dziewczynka teraz już tylko trochę płakała, trochę zaś zdawała się coś tłumaczyć Antei.

Wreszcie Antea przywołała Cyryla.

— To straszne — powiedziała szeptem. — Jej ojciec był stolarzem, bardzo porządnym człowiekiem, nigdy nie pił, no, może w sobotę, przyjechał do Londynu szukając pracy, ale nie mógł jej znaleźć i umarł. Ona ma na imię Imogena i w listopadzie skończy dziewięć lat. A teraz umarła jej matka i dzisiejszej nocy ma spać u gospodyni, u której mieszkali, ale jutro ma przyjść po nią urzędnik z parafii i zabrać ją do Stowarzyszenia, to znaczy do przytułku. To zupełnie okropne. Co moglibyśmy dla niej zrobić?

— Spytajmy uczonego! — z miejsca wykrzyknęła Janeczka.

* Żeby się o tej przygodzie dowiedzieć czegoś więcej, musicie przeczytać książkę „Feniks i Dywan”.

Ponieważ zaś nikt nie mógł wymyślić nic lepszego, wszyscy powędrowali w stronę Fitzroy Street. Dziewczynka trzymała mocno za rękę Anteę i teraz już nie płakała, tylko cichutko pociągała nosem.

Uczony oderwał się od pisania i spojrzął na nich z uśmiechem. Czuli się teraz w jego pokoju prawie jak u siebie w domu. Nawet mumia zdawała się do nich uśmiechać jakimś starożytnym egipskim uśmiechem.

Antea usiadła na schodach z małą Imogeną, a cała reszta poszła wytłumaczyć sprawę uczonemu.

Wysłuchał ich z wielkim skupieniem.

— Doprawdy pechowe zdarzenie — zakończył Cyryl — bo nieraz słyszałem o bogatych ludziach, którzy bardzo chcieli mieć dzieci, choć ja osobiście nigdy bym nie chciał. Ale musi być ktoś, kto chętnie ją weźmie do siebie.

— Cyganie przepadają za dziećmi — wtrącił Robert. — Nawet je kradną. Może by ją wzięli?

— To bardzo miła dziewczynka — dodała Janeczka. — Z początku tylko była niegrzeczna, bo my wyglądaliśmy na zadowolonych, a jej było źle. Pan to rozumie, prawda?

— Tak — odparł uczony, ujmując z roztargnieniem mały, błękitny obrazek egipski. — Bardzo dobrze to rozumiem. I, jak powiadacie, na pewno w jakimś domu chętnie by ją przyjęto. — Zasepił się i w zamyśleniu patrzył na błękitny obrazek.

Siedząc na schodach Antea miała wrażenie, że wyjaśnianie sprawy zabiera bardzo dużo czasu. Była tak zajęta pocieszaniem czarnej dziewczynki, że nie zauważyła wcale Piaskoludka, który słysząc jej głos zbudził się, otrząsnął z piasku i cichutko wspiał się po schodkach. Antea zobaczyła go, gdy był już zupełnie blisko. Wzięła go na rękę.

— Co to jest? — spytała czarna dziewczynka. — Kot czy małpka, czy jeszcze coś innego?

Wtem Antea usłyszała słowa uczonego:

— Tak, chciałbym, abyśmy znaleźli dla niej dom, gdzie ją chętnie przyjmą.

W tej samej chwili poczuła, że Piaskoludek zaczyna się nadymać.

Zerwała się, unosząc Piaskoludka w ramionach i trzymając Imogenę za rękę, po czym wpadła do pokoju uczonego.

— Przynajmniej trzymajmy się razem! — wykrzyknęła. — Podajmy sobie ręce, tylko prędko!

Utworzyli krąg, jak przy zabawie w ojca Wirgiliusza. Antea mogła wziąć w tym udział tylko dlatego, że przytrzymała w zębach połę fartuszka, który w ten sposób tworzył torbę dla Piaskoludka.

— Czy to taka gra? — spytał niepewnie uczony, ale nikt mu nie odpowiedział.

Nastąpiła chwila wyczekiwania, a potem ogarnęło ich dziwne, osobliwe uczucie, jakiego się prawie zawsze doznaje w momencie przeniesienia drogą czarów z jednego miejsca na drugie.

Wszyscy doznali też zamroczenia, jakie w takich razach zawsze występuje.

Mgła opadła, dziwne uczucie znikło i cała szóstka tworzyła nadal koło, tylko teraz dzieci nie stały już na dywanie w pokoju uczonego, ale na zielonej trawie. Nad sobą miały bładoniebieskie niebo zamiast zakurzonego sufitu poddasza, gdzie mieszkał uczony. Tam gdzie znajdowały się ściany, wznosiły się teraz ciemnozielone drzewa, dęby i jesiony, między drzewami rosły krzaki, kępy wijącego się bluszczu i brzozy, a pod brzożami tu i ówdzie zieleniły się delikatne paprocie.

W środku tego wszystkiego stała cała szóstka trzymając się za ręce, jak przy zabawie w ojca Wirgiliusza. Sześć postaci w lesie. Brzmi to bardzo prosto, ale trzeba pamiętać, że nikt z nich nie wiedział, gdzie ten las się znajduje. Co więcej, nie wiedzieli także, w jakim działo się to czasie.

Pod wpływem szczególnego uczucia uczony powiedział:

— Mój Boże, nowy sen!

Dzieci zaś były prawie pewne, że znajdują się w jakiejś odległej przeszłości.

Mała Imogena zawołała tylko „ojej!” i stała z ustami szeroko otwartymi.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał Cyryl Piaskoludka.

— W Anglii — odparł Piaskoludek.

— Ale kiedy? — z niepokojem spytała Antea.

— Mniej więcej 55 lat przed rokiem, od którego liczycie swój czas — rzekł Piaskoludek ze złością. — Czy jeszcze chcecie coś wiedzieć? — dodał rozglądając się naokoło. — Byłem już tutaj kiedyś, mało się tu zmieniło.

— Dobrze — spytała Antea — ale dlaczego tutaj?

— Wasz nierozważny przyjaciel — wyjaśnił Piaskoludek — życzył sobie znaleźć dom, w którym chętnie przyjęto by ten niedojrzały i nieciekawo żeński stwór ludzki, który znaleźliście nie wiadomo jak. W czasach megaterium dobrze wychowane dzieci nie wdawały się w rozmowę z nieznanymi obdartusami w parkach. Wasz bezmyślny przyjaciel pragnął miejsca, gdzie ktoś chciałby przyjąć tę niepożądaną istotę. I teraz jesteście tutaj.

— Widzę, że jesteśmy — powiedziała cierpliwie Antea, patrząc na mroczny las. — Ale dlaczego tutaj i dlaczego teraz?

— Nie myślicie chyba, że ktoś chciałby mieć takie dziecko w waszych czasach i w waszych miastach — odparł zirytowany Piaskoludek. — Doprowadziliście swój kraj do takiego stanu, że nie ma tam miejsca dla połowy waszych dzieci i nikt ich nie chce.

— Ale to nie nasza wina, sam wiesz — powiedziała łagodnie Antea.

— A kto mnie tu zabrał bez nieprzemakalnego okrycia? — mówił z rosnącą złością Piaskoludek. — Wszyscy przecież wiedzą, jak wilgotna i mglista była starożytna Anglia!

— Weź moją kurtkę — rzekł zdejmując ją Robert. Antea rozłożyła kurtkę na ziemi, posadziła na niej Piaskoludka i owinęła go tak, że widać było tylko oczka na szypułkach i włochate uszka.

— Teraz — rzekła pocieszająco — gdyby zanosilo się na deszcz, mogę cię okryć całkowicie w jednej chwili. Ale powiedz, co mamy robić?

Wszyscy otoczyli Piaskoludka, by usłyszeć jego odpowiedź.

Imogena szepnęła z wielkim przejęciem:

— Nie wiedziałam, że małpki potrafią mówić! Myślałam, że tylko papugi.

— Co macie robić? — odparł Piaskoludek. — A cóż mnie to obchodzi — pociągnął brzeg kurtki Roberta i cały się w niej schował. Dzieci spojrzały po sobie.

— To tylko sen — rzekł pogodnie uczony. — Coś na pewno się zdarzy, jeżeli zdołamy powstrzymać się przed obudzeniem.

I, oczywiście, coś się zdarzyło.

Śmiech dzieci i odgłosy rozmowy przerwały posępne milczenie ciemnego lasu.

— Chodźmy zobaczyć — rzekł Cyryl.

— To tylko sen — tłumaczył uczony Janeczce, która nie chciała się ruszyć. — Jeżeli nie idzie się za biegiem snu, jeżeli mu się opierać, trzeba się wtedy zbudzić.

Wśród podszycia lasu widniało coś w rodzaju ścieżki. Dzieci poszły tą ścieżką gęsiego, z uczonym na przedzie.

Wkrótce znalazły się na wielkiej polanie w lesie. Stały tam domki, czy może szałas, zrobione z drzewa gliny. Kilkoro dzieci zupełnie nagich bawiło się wkoło. Ścisłe mówiąc, tańczyło trzymając się za ręce. Na darniowej ławeczce siedziało kilka kobiet ubranych w białe i niebieskie szaty, z zarzuconymi na to skórą zwierząt, i przyglądało się zabawie dzieci.

Rodzeństwo z Fitzroy Street stało na skraju lasu. Jedna z kobiet o długich, jasnych warkoczach siedziała w sporej odległości od pozostałych. W jej spojrzeniu, które rzucała na bawiące się dzieci, Antea dostrzegła smutek.

„Żadna z tych dziewczynek nie jest jej dzieckiem” — pomyślała Antea.

Czarno ubrana londyńska dziewczynka pociągnęła Antę za rękaw.

— Popatrz — szepnęła — ona wygląda zupełnie jak mama. Mama miała takie śliczne warkocze, kiedy znajdowała czas, żeby się uczesać. I mama nigdy mnie nie biła. Ach, żebyśmy tutaj mieszkali!

Dziewczynka wysunęła się z lasu i kobieta o smutnych oczach dostrzegła ją. Wstała, twarz jej rozpromieniła się i wyciągnęła ramiona do londyńskiego dziecka.

— Imogena! — krzyknęła. W każdym razie słowo wypowiedziane przez nią brzmiało jak „Imogena”.

Zapadło głębokie milczenie. Nagle dzieci przerwały zabawę, a kobiety siedzące na darniowej ławeczce patrzyły na całą tę scenę zdumione.

— Przecież to mama! — zawołała mała Imogena z Londynu i szybko przebiegła polankę. Rzuciła się w objęcia matki i przez chwilę obie stały nieruchomo jak grupa wykuta w kamieniu.

— Ależ to Imogena! — wołała rozpromieniona kobieta. — Więc nie zjadły jej wilki, wróciła! Powiedz, kochanie, jak się to stało? Gdzie byłeś? Kto cię ubierał i żywił?

— Nic nie wiem — odparła Imogena.

— Biedne dziecko — szepnęły kobiety — strach przed wilkami zmaćił jej w głowie.

— Ale poznajesz mnie? — spytała jasnowłosa kobieta.

Imogena otoczyła ramionami jej szyję i odparła:

— Tak, mam. Pewnie, że cię poznaję.

— Co to jest? Co one mówią? — pytał z niepokojem uczony.

— Chciałeś przyjść tam, gdzie ktoś będzie pragnął tego dziecka — wyjaśnił Piaskoludek — i dziecko mówi, że to jest jego matka.

— A matka?

— Sam widzisz — odparł Piaskoludek.

— Ale czy tak jest? Czy to jej dziecko?

— Któż to może wiedzieć — odrzekł Piaskoludek. — Ale każda z nich wypełnia w sercu drugiej puste miejsce i to wystarcza.

— O — zawołał uczony — to dobry sen! Chciałbym, aby to dziecko zostało we śnie.

Piaskoludek nadął się i spełnił życzenie. Tak więc przyszłość Imogeny była zapewniona. Znalazła kogoś, kto jej pragnął.

— Gdyby wszystkie dzieci, których nikt nie chce... — zaczął uczony. Ale przerwała mu jasnowłosa kobieta. Zbliżyła się i zawołała:

— Witajcie! Jestem królową, a moje dziecko mówi mi, że jesteście jej przyjaciółmi. Wierzę temu patrząc na wasze twarze. Jesteście dziwnie ubrani, ale umiem czytać w twarzach. Dziecko zostało z czarowaniem, to widać, ale mówi prawdę. Chyba tak.

Dzieci z Londynu odpowiedziały, że nie warto o tym mówić.

Szkoda, że nie możecie widzieć i podziwiać wszystkich względów i zaszczytów, jakimi w starożytnej Anglii obdarzono czwórkę dzieci i uczonego. Na ten widok zrozumielibyście, że dziecko jest czymś, o co warto się troszczyć, a nie jakimś śmieciem gnany po ulicach lub zapędzany do przytułku. Widowisko nie było tak wspaniałe jak w Babilonie, ale w pewnym sensie bardziej przyjemne.

— Zdaje mi się — zwrócił się do dzieci uczony — że macie cudowny wpływ na mnie. Nigdy, zanim was poznałem, nie śniły mi się takie historie.

Wieczorem, gdy znaleźli się sami pod gołym niebem i gdy mieli położyć się na przygotowanym dla nich posłaniu z uschłych paproci, Cyryl odezwał się pierwszy:

— Wyświadczyliśmy niemałą przysługę Imogenie i sami mile spędziliśmy czas. Głosuję teraz za powrotem do domu, nim rozpocznie się walka.

— Jaka walka? — spytała sennym głosem Janeczka.

— Z Juliuszem Cezarem, ty mała gapo — wyjaśnił uprzejmie brat. — Czy nie rozumiecie, że jeżeli jesteśmy w roku pięćdziesiątym piątym, Juliusz Cezar może się zjawić tu w każdej chwili?

— Myślałem, że lubisz Cezara — rzekł Robert.

— Owszem, lubię, w historii. Ale to co innego niż być zabitym przez jego żołnierzy.

— Gdybyśmy zobaczyli Cezara — wtrąciła Antea — moglibyśmy wytłumaczyć mu, żeby dał temu spokój.

— Ty miałabyś wytłumaczyć coś Cezarowi? — zaśmiał się Robert. A uczony, nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, powiedział:

— Chciałbym tylko, żebyśmy mogli zobaczyć Cezara.

No i naturalnie, skoro tylko Piaskoludek zdążył się nadać, nasza piątka — czy szóstka, licząc Piaskoludka — znalazła się w obozie Cezara, tuż obok jego namiotu. I zobaczyli Cezara. Piaskoludek musiał wykorzystać nieokreślony zwrot uczonego przy wypowiedzianiu życzenia, gdyż nie była to ta sama pora dnia, w której życzenie zostało wypowiedziane. Słońce zachodziło właśnie i wielki wojownik siedział przed swoim namiotem. Spoglądał na morze, w kierunku Anglii. Łatwo to było zgadnąć. Z obu stron namiotu, na szczycie słupów, widniały dwa złote orły, na ścianie zaś wspaniałego namiotu widniały litery S.P.Q.R.*

Wielki wódz takim samym obojętnym wzrokiem, jakim patrzył na fioletowe wody Kanału, spojrział teraz na przybyszów.

Jakkolwiek zjawili się nagle i nie wiedzieć skąd, Cezar nie ujawnił najlżejszym drgnieniem powiek czy zaciśnięciem ust, że nie są długo wyczekiwany poselstwem. Uniósł spokojnie dłoń i skinął na strażników, którzy z bronią w rękę przyskoczyli do? nowo przybyłych.

— Cofnąć się! — zawołał na strażników głosem, który zabrzmiał jak muzyka. — Odkąd to Cezar boi się dzieci i uczonych?

Dzieciom zdawało się, że mówi do nich jedynym językiem, który znały. Ale uczony wyraźnie usłyszał, że Cezar przemawia po łacinie, chociaż dziwnym, jak sądził, akcentem. Toteż z pewnym wysiłkiem odpowiedział mu w tym języku:

— To sen, Cezarze.

— Sen? — powtórzył Cezar. — Co jest snem?

— To — odparł uczony.

— Nie — wtrącił Cyryl. — To rodzaj czarów. Przybywamy z innego czasu i innego miejsca.

— I chcemy cię prosić, abyś nie zadawał sobie trudu podbijania Anglii — dodała Antea. — To biedny kraj, niewart zachodu.

— Czy jesteście z Anglii? — spytał wódz. — Wasza odzież jest prymitywna, ale zrobiona z dobrej tkaniny, a włosy macie krótkie, jak obywatele rzymscy, nie zaś długie jak barbarzyńcy, za których was jednak uważam.

— Wcale nie! — zawołała gniewnie Janeczka. — Nie jesteśmy żadni barbarzyńcy. Przybywamy z kraju, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, i czytaliśmy o tobie w książkach. W naszym kraju pełno jest pięknych rzeczy: na przykład katedra Świętego Pawła, Wieża Londen, Gabinet Figur Woskowych...

Reszta dzieci przerwała jej w tym momencie.

— Nie pleć głupstw! — szepnął Robert z wymówką.

Cezar patrzył przez chwilę na dzieci w milczeniu. Potem przywołał żołnierza i powiedział coś po cichu. Następnie odezwał się głośno:

— Troje starszych dzieci może pójść, dokąd chce w obręb obozu. Rzadko kiedy dzieci uzyskują przywilej zobaczenia obozu Cezara. A uczony i młodsza dziewczynka zostaną tu ze mną.

* S.P.Q.R. (Senatus Populusque Romanus) — Senat i Naród Rzymski

Nikomusię to nie podobało, ale gdy Cezar coś postanowił, to tak musiało być. Więc starsza trójka odmaszerowała.

Wielki Rzymianin, gdy został sam z Janeczką i uczonym, bez trudu wydobył z nich wszystko, co wiedzieli. Ale nawet i on nie mógł zrozumieć wszystkiego, co mu opowiadali. Uczony nadal twierdził, że to w ogóle jest sen, i nie chciał dużo mówić pod pozorem, że mógłby się przez to zbudzić. Janeczka natomiast, szczegółowo wypytywana przez Cezara, przekazała mu mnóstwo wiadomości o kolejach, świetle elektrycznym, balonach, okrętach pancernych, armatach i dynamicie.

— A czy do walki używają mieczów? — spytał wódz.

— Tak, mieczów, karabinów i armat. Cezar chciał wiedzieć, co to są karabiny.

— To jest coś, z czego się strzela — odparła Janeczka — a potem ludzie padają martwi.

— A jak wygląda karabin?

Janeczce trudno było to opisać.

— Robert ma przy sobie zabawkę podobną do karabinu — rzekła.

Wtedy przywołano resztę dzieci.

Chłopcy wyjaśnili Cezarowi dokładnie budowę pistoletu, a wódz przyglądał mu się z wielkim zaciekawieniem. Był to pistolet za dwa szylingi, ten sam, który oddał tak dobre usługi egipskiej wiosce.

— Każę wyrabiać karabiny — rzekł Cezar — a wy zostaniecie do czasu, aż upewnię się, czy powiedzieliście prawdę. Przed chwilą pomyślałem sobie, że Anglia niewarta jest najazdu. Ale to, co mówicie, skłania mnie do poglądu, że bardzo jest tego warta.

— Ależ to wszystko nie ma sensu! — zawołała Antea. — Anglia jest dziką wyspą, pełną mgieł, drzew i wielkich rzek. Ale za to ludzie są tam łagodni. Znamy tam małą dziewczynkę imieniem Imogena. A wyrabianie karabinów na nic się nie zda, bo nie można z nich strzelać bez prochu, który nie będzie jeszcze wynaleziony przez wiele stuleci, my sami nie wiemy, jak robi się proch, więc nie możemy o tym nic powiedzieć. Toteż, drogi Cezarze, wracaj do domu i daj spokój biednej małej Anglii.

— Ale ta druga dziewczynka mówi... — rzekł Cezar.

— Wszystko, co Janeczka opowiadała — przerwała mu Antea — zdarzy się dopiero za wieleset lat od teraz.

— To ta mała jest wróżką? — spytał Cezar ze złośliwym błyskiem w oczach. — Trochę jest na to za młoda.

— Można ją nazwać wróżką, jak kto chce — wtrącił Cyryl — ale to, co Antea mówi, jest prawdą.

— Antea? — zdziwił się Cezar. — To greckie imię.

— Bardzo możliwe — odparł z irytacją Cyryl. — A swoją drogą najlepiej będzie dać spokój z podbojem Anglii. Doprawdy nie warto.

— Przeciwnie — rzekł Cezar — to, co mi powiedzieliście, skłania mnie, by wyruszyć choćby po to, aby przekonać się, jaka naprawdę jest Anglia. Wziąć te dzieci pod straż — dodał i skinął na żołnierzy.

— Spieszmy się! — zawołał Robert. — Nim nas strażnicy rozdziela! Mieliśmy tego dosyć już w Babilonie.

Janeczka uniosła Amulet w kierunku przeciwnym zachodzącemu słońcu i wymówiła zaklęcie. Uczonego pchnięto siłą pod łuk, a reszta pospieszyła za nim szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Znaleźli się z powrotem w swoich czasach i w zacisznym, choć pełnym kurzu pokoiku uczonego.

* * *

Jest rzeczą ciekawą, że kiedy Cezar rozłożył się obozem na wybrzeżu Galii — było to zdaje się gdzieś w pobliżu dzisiejszego miasta Boulogne — siedząc któregoś dnia przed namiotem o zachodzie słońca zapatrzonej we fioletowe wody Kanału, wyprostował się nagle, przetarł oczy i przywołał sekretarza. Młody człowiek wybiegł natychmiast z namiotu.

— Marku — rzekł Cezar — miałem bardzo dziwny sen. Częściowo go zapomniałem, ale pamiętam dosyć, aby rozstrzygnąć sprawę dotąd nie rozstrzygniętą. Jutro okręty, które tu przysły z Ligurii, mają pobrać prowiant. Popłyniemy do tej trójkątnej wyspy. Najpierw weźmiemy z sobą tylko dwa legiony. Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że to powinno wystarczyć. Ale jeśli mój sen był prawdziwy, to i sto legionów nie starczy. Bowiem sen, jaki śniłem, był tak zdumiewający, że coś równie dziwnego nie nawiedziło nigdy dotąd umysłu Cezara. A Cezar miał już za sobą wiele niezwykłych snów.

* * *

— I gdybyś nie powiedziała Cezarowi, jak Wszystko dzisiaj wygląda, nigdy nie najechałby Anglii — odezwał się do Janeczki Robert, gdy siadali do podwieczorku.

— E, co ty pleciesz — odparła Antea nalewając herbatę. — Wszystko to było postanowione już przed setkami lat.

— Czy ja wiem — zastanowił się Cyryl. — Proszę o konfitury... Ta historia z czasem, który jest tylko czymś tam myślenia, jest bardzo mętna. Bo jeżeli wszystko dzieje się jednocześnie...

— To niemożliwe! — orzekła stanowczo Antea. — Teraźniejszość jest zawsze teraźniejszością, a przeszłość przeszłością.

— Nie zawsze — spierał się Cyryl. — Kiedy byliśmy w Przeszłości, teraźniejszość była przyszłością. I co powiesz na to? — zakończył z tryumfem.

Antea nie mogła temu zaprzeczyć.

— Żałuję, że nie obejrzałem lepiej obozu — wtrącił Robert.

— Tak — przyznała Antea — nie mieliśmy wiele przyjemności. Ale Imogena jest w każdym razie szczęśliwa. Zostawiliśmy ją szczęśliwą w Przeszłości. W książkach z wierszami nieraz czytałam, że ludzie byli szczęśliwi w Przeszłości. Teraz już wiem, co to znaczy.

— To wcale niezły pomysł — odezwał się sennie Piaskoludek wyrzawszy na chwilę z torby — niezły pomysł pozostać w Przeszłości.

Wszyscy przypomnieli sobie te słowa później, kiedy...

ROZDZIAŁ XI PRZED FARAONEM

Nazajutrz po przygodzie z Juliuszem Cezarem i małą czarną dziewczynką Cyryl wpadł do łazienki, aby umyć ręce przed obiadem (trudno wprost wyobrazić sobie, jak były brudne, gdyż cały ranek Cyryl bawił się w rozbitka morskiego na tyłach domu, gdzie znajduje się zbiornik wody). W łazience zastał Anteę opartą o wannę i roniącą do niej gorzkie łzy.

— A to co? — zawołał z braterską troskliwością. — Obiad wystygnie, nim uzbierasz dość słonej wody na kąpiel.

— Wynoś się! — krzyknęła z wściekłością Antea. — Nie cierpię cię! Wszystkich nie cierpię!

Zapadło przykre milczenie.

— Nie wiedziałem... — odparł Cyryl łagodnie.

— Nikt nigdy nic nie wie — łkała Antea.

— Nie wiedziałem, że masz zmartwienie. Myślałem, że znowu skaleczyłaś się w palec jak zeszłego tygodnia — wytłumaczył delikatnie Cyryl.

— Ech, co tam palec! — parsknęła z pogardą Antea.

— Uspokój się już, Panterko — mitygował ją Cyryl. — Chyba nie pokłóciłaś się z nikim?

— Nie — odparła. — Umyj już te swoje okropne ręce, jeżeli po to przyszedłeś, albo się wynoś.

Antea tak rzadko złościła się, że jeżeli się jej to zdarzyło, wszyscy byli bardziej zdziwieni niż oburzeni. Cyryl stanął koło Antei i ujął ją za ramię.

— No, nie płacz już, nie płacz — powiedział dość czule jak na niego. Widząc zaś, że Antea trochę się uspokoiła, objął ją niezdarnie i potarł głową o jej ucho. — No — odezwał się tonem kogoś, kto dostarcza bezcennego leku na wszelkie możliwe smutki. — Więc o co chodzi?

— Obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?

— Wcale mi nie do śmiechu — odparł z rozpaczą Cyryl.

— Więc — zaczęła Antea — to z powodu mamy.

— A co stało się z mamą? — spytał Cyryl bez oznak współczucia. — W dzisiejszym liście pisała, że dobrze się czuje.

— Tak, ale mi za nią tęskno.

— Nie tobie jednej — odparł krótko Cyryl, a w jego tonie zawierało się bardzo wiele.

— Tak — przyznała Antea — wiem. Wszystkim nam za nią tęskno. Ale ja chciałabym ją zobaczyć zaraz. Jeszcze nigdy tak bardzo czegoś nie chciałam. Ta mała Imogena, jak ją królowa przytuliła do siebie! Ale Imogena nie była mną, choć królowa była mamą. A dzisiaj przyszedł list od mamy. Opisywała, jak Baranek lubi słone kąpiele. A przecież kąpała go w tej właśnie wannie wieczorem przed wyjazdem... Och, och, och!

Cyryl poklepał ją po plecach.

— Przestań — powiedział. — Wiesz, ile myślałem ostatnimi dniami? Więc powiem ci, że to częściowo dotyczyło mamy. Będziemy ją wkrótce mieli u siebie z powrotem. Tylko uspokój się i umyj twarz. A ja ci wszystko opowiem. Ale najpierw puść mnie do umywalni. Czy nie możesz przestać? Może przyłożyć ci na kark duży klucz?

— To na krew z nosa — odparła Antea, ale uśmiechnęła się i usta jej zaczęły powracać do właściwego kształtu. Wiecie, jak dziwny kształt przybierają usta, kiedy się płakało na serio.

— Słuchaj — mówił Cyryl mydląc sobie obficie ręce. — Dużo o tym myślałem. Chodzi o to, że myśmy dotąd tylko bawili się Amuletem. Ale teraz musi on coś naprawdę zdziałać. I nie tylko dla mamy. Jest przecież i ojciec, tam gdzie toczy się wojna. Z tą różnicą, że ja nie

beczę z tego powodu, ale myślę... Oj, mydło uciekło! — Śliskie, pobrudzone mydło wysunęło mu się z palców i uderzyło Anteę w brodę z taką siłą, jakby Cyryl wystrzelił je z katapulty.

— Masz sobie! — zawołała Antea. — Teraz będę musiała umyć twarz.

— I tak musiałabyś to zrobić — rzekł z przekonaniem Cyryl. — A teraz posłuchaj, jaki mam pomysł. Znasz misjonarzy?

— Tak — odparła Antea, choć nie знаła ani jednego.

— Otóż misjonarze zawsze zawożą dzikim ludom paciorki, wódkę, sznury, kapelusze, szelki i rzeczy naprawdę pożyteczne, jakich dzicy ludzie nie mają i nigdy o nich nie słyszeli. A w zamian za to oni kochają misjonarzy i dają im perły, muszle, kość słoniową i strusie pióra. W ten sposób...

— Zaczekaj — przerwała mu Antea, prychając wodą. — Nie słyszę, co mówisz. Muszle i...

— Muszle i podobne rzeczy. Więc najważniejsze jest to, żeby zdobyć u ludzi miłość drogą szczodrości. I właśnie my to musimy zrobić. Następnym razem, kiedy udamy się w Przeszłość, zaopatrzymy naszą wyprawę jak należy. Pamiętaj, jak notes podobał się królowej Babilonu? Więc zabierzemy z sobą różne takie rzeczy. I ofiarujemy w zamian za pokazanie nam Amuletu.

— Z pokazania mały pożytek.

— Nie o to chodzi. Zrozum, że kiedy go zobaczymy, będziemy wiedzieli, gdzie się znajduje, a potem możemy go zabrać w nocy, jak wszyscy będą spali.

— Chyba to nie będzie kradzież — powiedziała z namysłem Antea. — Bo jeśli to zrobimy, to będzie strasznie dawno temu. Ach, znowu dzwonek.

Po obiedzie (łosoś z puszki z sałatką i ciastka z konfiturami) i po uprzątnięciu obrusu pomysł został wyłożony pozostałym dwojgu, a śpiącego w piasku Piaskoludka zbudzono i spytano, co jego zdaniem warto zabrać z sobą dla pozyskania uczuć na przykład starożytnych Egipcjan. A także czy myśli, że Amulet może znajdować się na dworze Faraona.

Duszek jednak był tym razem bardzo oporny.

— Nie wolno mi wdawać się w tę grę — powiedział. — Oczywiście, mógłbym w ciągu minuty stwierdzić, gdzie jest Amulet, ale mi nie wolno. Swoją drogą przyznaję, że wasz pomysł zabrania różnych rzeczy jest wcale niezły. Tylko nie pokazujcie wszystkiego naraz. Zabierzcie drobne przedmioty i sprytnie pochowajcie przy sobie.

Rada wydała się dobra. Wkrótce stół był już całkowicie pokryty przedmiotami, które zdaniem dzieci mogły zainteresować starożytnych Egipcjan. Antea przyniosła lalki, kamienie ze składanki, drewniany serwis do herbaty i zieloną skórzaną torbę z napisem złotymi literami: N e s e r . Antea dostała go kiedyś od cioci Emmy, i wtedy były tam nożyczki, scyzoryk, szpilki do włosów, pilnik, napaśtek, korkociąg i nożyk. Nożyczki, napaśtek, nożyk i scyzoryk gdzieś się naturalnie zapodziały, ale reszta zachowała się w dobrym stanie.

Cyryl przyniósł ołowianych żołnierzy, armatkę, katapultę, otwieracz do puszek, spinkę do krawata, piłkę tenisową i kłódkę bez klucza. Robert przyniósł świecę, japońską miseczkę na szpilki, pieczętę z nazwiskiem i adresem ojca i trochę kitu.

Janeczka dodała do tego kółko na klucze, mosiężną klamkę, słoiczek po kremie, guzik z masy perłowej i klucz.

— Nie możemy zabierać wszystkich tych śmieci — orzekł z pogardą Robert. — Każdy z nas może zabrać jeden tylko przedmiot.

Popołudnie upłynęło bardzo przyjemnie na próbach wybrania ze stołu czterech najbardziej stosownych przedmiotów. Ale dzieci nie mogły dojść do zgody, co jest najbardziej stosowne, i wreszcie Cyryl oświadczył:

— Słuchajcie, zawiążemy każdemu po kolei oczy, a pierwszą rzecz, jakiej dotknie, zabierze z sobą.

Tak też zrobiono.

Cyryl dotknął kłódki.

Antea trafiła na neseser.

Robert chwycił świecę.

Janeczce wypadła spinka do krawata.

— Nie będzie z tego pożytku — powiedziała. — Nie przypuszczam, żeby starożytni Egipcjanie nosili krawaty.

— Mniejsza z tym — odparła Antea. — Myślę, że naprawdę lepiej nie wybierać. W bajkach zawsze się okazuje, że to, co syn drwała znalazł w lesie i o mało nie wyrzucił, bo myślał, że to na nic się nie zda, okazuje się potem albo przedmiotem czarodziejskim, albo zgubionym przez króla, który w nagrodę oddaje znalazcy rękę królowny.

— Nie chcę niczych rąk — zaprotestował stanowczo Cyryl.

— Ja też nie — dodał Robert. — Jak się zjawi ręka królowny, to koniec przygód.

— Czy jesteśmy gotowi? — spytała Antea.

— A przenosimy się do Egiptu, prawda? — dowiadywała się Janeczka. — Do ślicznego Egiptu. Nie chcę żadnych miejsc, o których nic nie wiem.

Wreszcie zaproszono Piaskołudka do torby.

— Wiecie co — zawołał nagle Cyryl — mam już dosyć królów! I w pałacach trudno się ukryć. Zresztą Amulet z pewnością jest w świątyni. Spróbujmy znaleźć się między zwykłymi ludźmi i dostać się do świątyni stopniowo. Mogą tam nas wziąć za pomocników.

— Jako kościelnych czy zakrystianów — dodała Antea. — Tacy mają z pewnością wspaniałą okazję wykradzenia skarbów ze świątyni.

— Zgoda! — zawołałi wszyscy. Talizman został uniesiony w górę, znów stał się ogromny i znów ukazało się poza nim gorące, złote słońce wschodu.

Gdy dzieci były już po drugiej stronie, usłyszały piekielny hałas. Z ciszy jadalni na Fitzroy Street trafiły nagle w sam środek bardzo wzburzonego wschodniego tłumu. Tak wzburzonego, że nie dostrzeżono ich obecności. Przepchnęły się więc i stanęły pod murem jakiegoś domu. Tłum składał się z mężczyzn, kobiet i dzieci. Twarze tych ludzi były rozmaitego koloru i gdyby były narysowane, każde dziecko mogłoby je pokolorować. Dla różnych odcieni cery dziecko użyłoby żółtej ochry, czerwonej ochry, jasnej czerwieni, sepii i czerni. Ale twarze tych ludzi były już pomalowane — brwi i rzęsy na czarno, a usta na czerwono. Kobiety miały na sobie rodzaj fartuszków i zawoje na głowach, mężczyźni bardzo skąpą odzież, bo byli to ludzie pracujący, a dzieci egipskie nie miały na sobie nic, jeżeli nie liczyć skromnych ozdób zawieszonych na łańcuszkach wokół szyi. Dzieci z Londynu zdołały to wszystko zobaczyć, ale nie mogły nic wyraźnie usłyszeć, bo wszyscy w tłumie krzyczeli.

Wreszcie jakiś głos wybił się ponad inne i gdy zaczął przemawiać, reszta zacichła.

— Towarzysze pracy! — zawołał wysoki o miedzianej cerze mężczyzna, który wspiął się na wóz zatrzymany przez tłum. Właściciel wozu uciekł mrużąc o przywołaniu straży, a miedzianolicy przemawiał z wysokości wozu. — Towarzysze pracy, jak długo mamy znosić tyranie naszych panów, którzy próżnują i żyją w przepychu z owoców naszego trudu? Dają nam tylko tyle, żebyśmy nie pomarli z głodu, a sami żyją wspaniale. Zróbmy z tym koniec!

Rozległy się okrzyki uznania.

— A jak chcesz to zrobić? — odezwał się ktoś z tłumu.

— Ty tam, uważaj! — zawołał inny głos. — Bo będzie z tobą źle!

— Słowo w słowo to samo słyszałem — szepnęła Robert — zeszłej niedzieli w Hyde Parku.*

— Walczymy o większe racje chleba, cebuli i piwa i dłuższy wypoczynek — ciągnął mówca. — Jesteśmy zmęczeni, głodni i spragnieni. Jesteśmy biedni, nasze żony i dzieci nie

* Hyde Park — słynny park w Londynie; w jednej części parku są ustawione mównice, z których każdemu wolno przemawiać.

mają co jeść. Spichrze bogaczy pełne są pszenicy, której nam potrzeba i którą sami uprawiamy. Do spichrzów!

— Do spichrzów! — wykrzyknęła połowa tłumu. Ale pośród wrzawy rozległ się inny, wyraźny głos:

— Do Faraona! Złóżmy prośbę u stóp Faraona! Wysłucha głosu uciśnionych!

Przez dłuższą chwilę tłum przetaczał się w dwóch kierunkach: najpierw w stronę spichrzów, potem w stronę pałacu. Nagle jednak jak potok, który przebił sobie drogę, tłum ruszył w stronę pałacu pociągając za sobą dzieci. Antea z wielkim trudem chroniła Piaskoludka przed zgnieceniem.

Tłum przewalał się ulicami wzdłuż posepnych domów o niewielkich okienkach umieszczonych wysoko w górze, po czym minął targ, gdzie nic nie kupowano, ale wymieniano towary. Robert zauważył, jak ktoś wymienił kosz cebuli na grzebień i pięć ryb na paciorki. Ludzie zebrani na targu wyglądali lepiej niż tłum robotników: mieli na sobie znacznie więcej odzieży.

— Co się tu dzieje? — spytała sprzedawcę daktyli dama w fałdzistej powiewnej sukni; miała wielkie, znużone oczy i wysokie, wspaniałe uczesanie.

— Ach, to robotnicy, niezadowoleni jak zawsze — odparł sprzedawca. — Proszę tylko posłuchać. Można by pomyśleć, że to ma jakieś znaczenie, czy oni mają więcej, czy mniej do jedzenia. Wyrzutki społeczeństwa.

— Męty! — odparła dama.

— To także już kiedyś słyszałem — rzekł Robert.

W tym momencie okrzyki tłumu zmieniły się, gniew przeszedł w zwątpienie, a zwątpienie w strach. Słysząc było wyraźniej okrzyki pełne pogroźek. Rozległ się tętent kopyt i skrzypienie kół. Jakiś głos wykrzyknął:

— Straż!

— Straż! Straż! — zawołał jeszcze inny głos, a okrzyk ten podjął tłum robotników.

— Straż Faraona!

Tłum zatrzymał się i znieruchomiał. Tętent kopyt rozległ się jeszcze bliżej, robotnicy rozbiegli się, chroniąc się w boczne uliczki i na podwórza domów, a wozy obite blachą pędziły z szybkością strzały. Koła turkotały po bruku i widać było, jak na wietrze powiewają ciemnoszafirowe tuniki straży.

— Już po rozruchach — rzekła dama w wysokim uczesaniu. — Całe szczęście! A jaki przystojny ten dowódca straży!

Tuż przed rozproszeniem się tłumu czwórka dzieci z Londynu zdołała się schronić w łukowato sklepionej bramie.

Dzieci odetchnęły.

— No, mamy to już za sobą — powiedział Cyryl.

— Tak — odparła Antea — ale wolałabym, żeby tych biednych ludzi nie rozpędzono, zanim dostali się do Faraona. Może by coś dla nich zrobił.

— Jeżeli to ten z Biblii, to nie — sprostowała Janeczka — miał bardzo twarde serce.

— Ach, ten był z czasów Mojżesza — wyjaśniła Antea. — Bo za Józefa było zupełnie inaczej. Chciałabym zobaczyć pałac Faraona.

— Ciekaw jestem, czy przypomina model pałacu w Muzeum?

— Zdaje się, że mieliśmy spróbować dostać się do świątyni — rzekł obrażonym tonem Cyryl.

— Tak, ale musimy najpierw zawrzeć z kimś znajomość. Może moglibyśmy zaprzyjaźnić się z odźwiernym świątyni, dać mu na przykład kłódkę czy coś w tym rodzaju. I ciekaw jestem, jak odróżnić świątynie od pałaców — dodał Robert spoglądając na drugą stronę placu targowego, gdzie wznosiła się olbrzymia brama z wysokimi wieżycami po bokach. Na prawo i lewo widniały inne budynki, już nieco mniej wspaniałe.

— Czy szukacie świątyni Amona Ra — spytał jakiś łagodny głos tuż za nimi — czy świątyni Khonsu, czy Mut?

Odwrócili się i ujrzeni przed sobą młodego człowieka o gładko ogolonej głowie. Miał na nogach lekkie sandały z papirusu, a odziany był w tunikę z białego płótna, bogato haftowaną. Na przegubach rąk i na nogach miał piękne, złote ozdoby, na ramiona zarzucony krótki płaszcz haftowany złotem, na palcu nosił pierścień, ze złotego naszyjnika zwiisały liczne amulety. Nie było jednak wśród nich żadnego podobnego do Amuletu dzieci.

— Wszystko nam jedno, która świątynia — odparł szczerze Cyryl.

— Powiedzcie mi, z czym przychodzicie — powiedział młody człowiek. — Jestem kapłanem świątyni Amona Ra i może zdołam wam pomóc.

— Przybywamy — odrzekł Cyryl — z wielkiego królestwa, w którym słońce nigdy nie zachodzi.

— Miałem wrażenie, że przybywacie z jakiegoś dziwnego i nieznanego miejsca — powiedział uprzejmie kapłan.

— Widzieliśmy już bardzo dużo pałaców, więc chcieliśmy dla odmiany zobaczyć świątynię — wyjaśnił Robert. Piaskoludek poruszył się z niezadowoleniem w swej haftowanej torbie.

— Czy przynosicie z sobą dary dla świątyni? — zagadnął ostrożnie kapłan.

— Owszem, przynosimy podarunki — odparł równie ostrożnie Cyryl. — Ale łączą się z nimi czary, więc nie możemy wszystkiego powiedzieć. Nie chcemy tylko dawać naszych darów w zamian za nic.

— Strzeżcie się znieważenia bóstwa — rzekł surowo kapłan. — Ja także mogę czynić czary. Mogę zrobić wasze podobizny z wosku i wypowiedzieć zaklęcie, które sprawi, że kiedy wosk stopi się na ogniu, wy jednocześnie marnie zginiecie.

— Et! — rzekł wyniośle Cyryl. — To żadna sztuka! Ja sam potrafię wzniecić ogień!

— Bardzo bym chciał to zobaczyć — powiedział z powątpiewaniem kapłan.

— Proszę bardzo — odparł Cyryl — nic łatwiejszego. Zaraz to zrobię.

— Czy nie potrzeba ci do tego żadnych przygotowań, postów czy zaklęć? — ciągnął dalej kapłan tonem niedowierzania.

— Nie trzeba postów przy moich czarach — odparł Cyryl — a zaklęcie jest bardzo krótkie. Zjaw się, ogniu, na końcu tego patyczka!

Wyciągnął z kieszeni zapalną i po wypowiedzeniu zaklęcia, które nie zawierało słów, jakie Egipcjanin mógł kiedykolwiek słyszeć, schylił się i potarł zapalną o podeszwę buta. Następnie wyprostował się osłaniając jedną ręką płomień.

— Proszę — powiedział nie bez pewnej dumy. — Proszę to wziąć do ręki.

— Nie, dziękuję — rzekł kapłan i cofnął się szybko. — Czy możesz to powtórzyć?

— Mogę.

— W takim razie chodźcie ze mną do pałacu Faraona. Faraon lubi czary i obsypie was zaszczytami. Między wtajemniczonymi nie powinno być sekretów — ciągnął. — Przyznam więc szczerze, że ostatnio wypadłem z łask ze względu na jakieś potknięcie przy przepowiedni. Powiedziałem Faraonowi, że przybędzie doń przepiękna księżniczka z Syrii, a niestety zjawiała się przeszło trzydziestoletnia kobieta. Ale jeszcze niedawno była naprawdę przepiękna. Czas, jak wiecie, jest tylko sposobem myślenia.

Dzieci zadrzały na brzmienie znajomych słów.

— Więc i o tym wiesz także? — spytał Cyryl.

— To część tajemnicy wszelkich czarów — odparł kapłan. — Teraz jednak, kiedy was przyprowadzę, tamta drobna przykreść, o jakiej mówiłem, zostanie zapomniana. Poproszę też Faraona, syna Słońca i Władcę Północy i Południa, aby postanowił, że mieszkać będziecie w świątyni. Wtedy będziecie mogli dobrze się po niej rozejrzeć i nauczyć mnie waszej magii. A ja was nauczę mojej.

Pomysł wydał się dobry — lepszy w każdym razie niż wszystko, co komukolwiek z czwórki rodzeństwa przychodziło na myśl — poszli więc za kapłanem przez miasto.

Ulice były bardzo wąskie i brudne. Najlepsze domy, wyjaśnił kapłan, miały po dwadzieścia do dwudziestu pięciu stóp wysokości, a okna znajdowały się bardzo wysoko. Nad murami kołysały się wierzchołki palm. Ludzie biedni mieszkali w małych, prostokątnych chatkach, w których były drzwi i dwoje okien, a dym wychodził otworem w dachu.

— Biedni Egipcjanie niewiele poprawili swoje domy od czasu, kiedy po raz pierwszy zjawiliśmy się w Egipcie — szepnął Antei Cyryl.

Chatki kryte były palmowymi liśćmi, a dokoła spacerowało pełno kur, kurcząt, kóz i drobnych nagich dzieci bawiących się w żółtym piasku. Na jednym dachu sterczał kozioł, który aż tam się dostał, i zjadał wyschłe liście palmowe, parszkając i kiwając głową z zadowolenia. Nad każdymi drzwiami wisały jakieś figurki, dziwaczne przedmioty.

— To amulety — wyjaśnił kapłan — dla odegnienia złego spojrzania.

— Nie bardzo mi się podoba twój „sliczny Egipt” — szepnął Robert do Janeczki — nie da się porównać z Babilonem.

— Poczekaj, aż zobaczysz pałac — odpowiedziała mu Janeczka.

Pałac był istotnie najwspanialszą rzeczą, jaką widzieli tego dnia, choć wypadłby niepozornie przy pałacu króla Babilonu. Weszli tam przez wielką kwadratową bramę z kamiennymi filarami, umieszczoną w wysokim, ceglanym murze. Zamknięte drzwi były z masywnego cedru, z brązowymi zawiasami i nabijane gwoździami również z brązu. Z boku mieściły się niewielkie drzwiczki, przez które kapłan poprowadził dzieci. Zdawało się, że wymawia jakieś słowo, które sprawiało, że posterunki ustępowały mu z drogi.

Wewnątrz był ogród z mnóstwem rozmaitych rodzajów drzew i kwitnących krzewów, sadzawka pełna ryb, zarosła u brzegu błękitnymi kwiatami lotosu, a po sadzawce wesoło pływała kaczka i, jak mówiła Janeczka, wyglądała bardzo nowocześnie.

— Budynek straży, skład, pałac królowej — mówił kapłan wskazując gmachy.

Przeszli obszernym dziedzińcem, brukowanym płaskimi kamieniami, a kapłan szepnął coś strażnikowi przy wielkiej wewnętrznej bramie.

— Mamy szczęście — powiedział dzieciom. — Faraon jest teraz właśnie w Sali Tronowej. Tylko nie zapomnijcie okazać mu szacunku i podziwu. Nie zaszkodzi, jeśli padniecie przed nim na twarz. I nic nie mówcie, póki Faraon sam się do was nie zwróci.

— Taki zwyczaj panował w naszym kraju — odparł Robert — kiedy mój ojciec był małym chłopcem.

U zewnętrznego krańca wielkiej sali tłum ludzi wyklócał się o coś ze strażnikami, którzy trzymali się prostej zasady niewpuszczania nikogo, chyba za łapówkę. Dzieci słyszały różne obietnice niezwykłych bogactw i zastanawiały się, czy którakolwiek będzie dotrzymana.

Sklepienie sali podtrzymywały słupy z malowanego drzewa. Strop był z cedru, wspaniale rzeźbionego. Mniej więcej pośrodku widniał szeroki a płytki stopień, który przecinał w poprzek wielką salę. Następnie, nieco dalej, wchodziło się do drugiej. Wreszcie zaś wąskie schodki wiodły aż do tronu, na którym siedział Faraon. Wyglądał wspaniale w czerwono-białej koronie na głowie i z berłem w ręku. Nad tronem wznosił się drewniany baldachim, dokoła zaś stały kolumny malowane żywymi kolorami. Na niskiej, szerokiej ławie, ciągnącej się wzdłuż całej sali, siedzieli przyjaciele, krewni i dworzanie Faraona, oparci o bogato haftowane poduszki. Kapłan poprowadził dzieci do stopni tronu, po czym nagle padł na twarz z wyciągniętymi ramionami. Pozostała czwórka zrobiła to samo, Antea zaś osunęła się bardzo ostrożnie z powodu Piaskoludka.

— Podnieście ich — rozległ się głos Faraona — aby mogli do mnie przemówić.

Dworzanie Faraona pomogli im wstać.

— Co to za przybysze? — spytał Faraon i dodał z gniewem: — I dlaczego, Rekh-mara, ośmielasz się stawić przed nami, choć twoja niewinność nie została jeszcze udowodniona?

— Wielki Władco — rzekł młody kapłan — jesteś doskonałym obrazem Ra i pod każdym względem podobieństwem jego syna Horusa. Znasz myśli i serca bogów i ludzi więc odgadłeś, że ci przybysze są dziećmi ohydneho i pokonanego przez nas władcy królestwa, gdzie słońce nigdy nie zachodzi. Znają oni czary nie znane Egipcjanom, A przychodzą z darami w ręku, jako daniną dla Faraona, w którego sercu mieszka mądrość bogów, a na którego ustach przebywa ich prawda.

— Bardzo dobrze — odparł Faraon — ale gdzie jest danina?

Dzieci kłaniając się, zakłopotane, że oto znalazły się w centrum zainteresowania osobistości bardziej potężnych, bardziej złośliwych i bardziej kolorowych, niż mogły to sobie wyobrazić, wydobły kłódkę, neseser i spinkę do krawata.

— To nie danina — bąknął Cyryl. — Anglia nikomu nie płaci daniny.

Faraon obejrzał tajemnicze przedmioty z wielkim zaciekawieniem.

— Wręczyć je skarbnikowi — rozkazał komuś blisko stojącemu, do dzieci zaś powiedział: — Mała to wprawdzie danina, ale dziwna i nie bez wartości. A jak z czarami, Rekh-mara?

— Ci niegodni synowie podbitego narodu... — zaczął Rekh-mara.

— Nic podobnego! — szepnął gniewnie Cyryl.

— ...nikczemnego i podbitego narodu przybyli, aby sprawić, by ogień w obecności wszystkich ukazał się z wyschłego drewnianka.

— Bardzo bym chciał to zobaczyć — rzekł Faraon. Cyryl, bez dalszych ceregieli, pokazał sztukę.

— Uczyni jeszcze jakieś czary — rozkazał Faraon z wyrazem uznania.

— On nie może uczynić więcej czarów — wtrąciła nagle Antea, wszystkie zaś oczy skierowały się na nią — z powodu głosów wolnego ludu, który domaga się chleba, cebuli i piwa, i dłuższego odpoczynku. Gdyby ci ludzie dostali, czego pragną, mógłby dalej wyczyniać czary.

— Bezczelna dziewczyna! — rzekł Faraon. — Dajcie jednak tym psom, czego chcą — dodał nie odwracając głowy. — Niech mają swoje dodatkowe racje. Pełno jest niewolników do pracy.

Bogato ubrany dworzanin wybiegł z sali.

— Będziecie ubóstwiani przez naród — szepnął z radością Rekh-mara. — Świątynia Amona nie pomieści wszystkich darów.

Cyryl zapalił jeszcze jedną zapalniczkę i dwór po prostu oniemiał z zachwytu i podziwu. Kiedy zaś Cyryl wydobył z kieszeni świecę, zapalił ją zapalniczką, a potem palącą się uniósł przed królem, zachwyty i podziw doszły do zenitu.

— O, Największy, przed którym skłaniają się słońce, księżyc i gwiazdy — rzekł przypoehlebnie Rekh-mara. — Czy jestem ułaskawiony? Czy moja niewinność została uznana?

— Całkowicie — odpowiedział krótko Faraon. — Niech ci będzie. Jesteś ułaskawiony. Idź w pokój.

Kapłan odszedł z błyskawiczną szybkością.

— A co — spytał nagle Faraon — co tam się rusza w worku? Pokażcie mi to, przybysze!

Nie pozostało nic innego, jak pokazać Piaskoludka.

— Weźcie go — rzekł niedbale Faraon do dworzan — to bardzo interesująca małpka. Będzie ciekawym uzupełnieniem w moim zbiorze egzotycznych zwierząt.

Natychmiast też, nie zważając na błagania dzieci i ukąszenia Piaskoludka — choć zarówno błagania, jak ukąszenia były bardzo gwałtowne — zabrano go sprzed ich oczu.

— Tylko proszę uważać! — zawołała Antea. — I przynajmniej nie dopuszczać do niego wilgoci! Proszę go trzymać w jego świętym pomieszczeniu.

Uniosła w górę haftowaną torbę.

— To czarodziejskie stworzenie — wykrzyknął Robert — jest zupełnie bezcenne!

— Nie wolno nikomu nam go zabierać! — zawołała nieopatrznie Janeczka. — To wstyd! Zwyczajny rabunek!

Zapadło straszliwe milczenie. Wreszcie przemówił Faraon.

— Zabierzcie im święte domostwo zwierzęcia — wyrzekł — i wtrąćcie ich do więzienia. Dziś po wieczery będziemy chcieli zobaczyć więcej czarów. Pilnujcie ich dobrze i nie torturujcie ich... na razie.

— O Boże! — szlochała Janeczka, gdy ich wyprowadzano. — Wiedziałam, że tak będzie! Szkoda, że wy nie wiedzieliście!

— Cicho bądź, głupia! — odparł Cyryl. — Wiedziałaś tylko, że chcesz być w Egipcie. To był twój pomysł! Cicho bądź! Wszystko się jakoś ułoży.

— Myślałam, że będziemy bawić się w piłkę z królowymi — szlochała Janeczka — i będzie wesoło. A tymczasem...

Miejsce, w którym ich zamknięto, nie było ciemnicą, jak obawiali się starsi z rodzeństwa. Stanowiło to, jak mówiła Antea, jedyną pociechę. Na ścianach widniały najrozmaitsze malowidła, które w każdym innym czasie wydawałyby się interesujące, a pod ścianą stało coś w rodzaju niskiej sofy i krzesła.

Kiedy już byli sami, Janeczka odetchnęła z ulgą.

— Teraz możemy spokojnie wracać do domu — rzekła.

— I zostawić Piaskoludka? — powiedziała z wymówką Antea.

— Poczekajcie chwilę, mam pomysł — odezwał się Cyryl.

Zastanawiał się jakiś czas, a potem zaczął uderzać w ciężkie cedrowe drzwi. Ukazała się w nich głowa strażnika.

— Uspokójcie się — rzekł ostro — bo...

— Słuchaj — przerwał mu Cyryl — chyba ci nie jest wesoło? Nic nie masz do roboty, tylko nas pilnować. Czy nie chciałbyś zobaczyć trochę czarów? Moglibyśmy ci je pokazać...

— Nie mam nic przeciw temu — odparł strażnik.

— W takim razie sprowadź tu małpkę, którą nam zabrano, a my pokażemy ci wszystko.

— A skąd mam pewność, że nie chcecie wypłatać mi jakiejś sztuczki? — spytał strażnik.

— Wcale bym się nie dziwił, gdybyście wypuścili to zwierzę na mnie. Boję się, że ma zatrute zęby i pazury.

— Więc posłuchaj — rzekł Robert. — Widzisz, że nie mamy nic z sobą? A teraz zamknij drzwi i otwórz je znowu za pięć minut, a będziemy mieli gotowy czar. Sam nie wiem jeszcze jaki. Powiedzmy — czarodziejski kwiat w doniczce.

— Jeżeli to możecie zrobić, to potrafiacie wszystko — odparł strażnik i odszedł ryglując za sobą drzwi.

Wtedy dzieci wydobyły Amulet.

Uniosły go w górę i odszukały wschód, obracając Amuletem powoli, aż zaczął rosnąć, wróciły do domu, zdjęły z okna przy schodach rozkwitłą pelargonię i wróciły do więzienia.

— No, no — szepnął wchodząc po chwili strażnik. — Coś podobnego...

— Możemy wyczyniać jeszcze bardziej zadziwiające rzeczy — powiedziała z przekonaniem Antea — gdybyśmy tylko mieli naszą małpkę. I masz tutaj dwa pensy.

Żołnierz spojrzał na błyszczący pieniążek.

— Co to jest? — spytał.

Robert wyjaśnił mu, o ile prostszą sprawą jest płacenie ludziom pieniędzmi za różne rzeczy niż wymiana ich na inne na targu, jak to widzieli. Później żołnierz wręczył monetę swemu dowódcy, a ten pokazał ją Faraonowi, który oczywiście zachował ją i był bardzo przejęty tym pomysłem. Tak, w gruncie rzeczy, zjawily się pierwsze pieniądze w Egipcie. Myślę, że nie uwierzycie temu, ale właściwie, jeżeli wierzycie w resztę tego opowiadania, nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyście i w to uwierzyć.

— Wiecie co? — spytała Antea, uderzona jakąś nagłą myślą. — Mam wrażenie, że z robotnikami będzie wszystko dobrze. Powiedz — spytała strażnika — czy król nie cofnie słowa, które wypowiedział, nim się na nas rozgniewał?

— O, nie — odparł żołnierz. — Bo, widzisz, on właściwie boi się czarów. Więc na pewno dotrzyma słowa.

— W takim razie wszystko jest w porządku — rzekł Robert.

Antea zaś odezwała się łagodnie:

— Ach, sprowadź naszą małą, a wtedy zobaczysz prześliczne czary. Zrób to, drogi, miły żołnierzu!

— Nie wiem, gdzie szukać tej cennej małą — odparł żołnierz. — Ale jeżeli znajdę tu kogoś na zastępstwo, postaram się zrobić, co będę mógł. — Po czym wyszedł.

— Czy myślicie — spytał Robert — że mamy obejść się bez poszukiwania drugiej połowy Amuletu?

— Chyba tak będzie lepiej — odparła drżącym głosem Antea.

— Oczywiście druga połowa Amuletu musi gdzieś tutaj być, bo nasza by nas tu nie sprowadziła. Chciałbym ją znaleźć. Szkoda, że nie znamy prawdziwych czarów. Wtedy znaleźlibyśmy na pewno. Ale gdzie też ona może być?

Gdyby tylko wiedzieli, że coś bardzo podobnego do drugiej połowy Amuletu było tuż obok nich! Wisiało to na szyi kogoś, kto przyglądał się im przez szparę, zrobioną specjalnie wysoko w ścianie, dla podglądania więźniów. O tym jednak nie wiedzieli.

Minęła prawie godzina pełnego niepokoju oczekiwania. Dzieci usiłowały rozerwać się oglądając malowidła na ścianie, przedstawiające harfiarzy grających na jakichś bardzo dziwnych harfach i tańczące kobiety. Obejrzały malowaną posadzkę i białe, drewniane fotele malowane w kolorowe pasy.

Czas jednak mijał powoli i wszyscy mieli w pamięci słowa wypowiedziane przez Faraona: „Nie torturujcie ich... na razie”.

— Jeżeli dojdzie do najgorszego — powiedział Cyryl — musimy po prostu zwać i zostawić Piaskoludka. Na pewno potrafi dać sobie radę. Nie zabiją go ani nie zrobią mu krzywdy, kiedy się przekonają, że potrafi mówić i spełniać życzenia. Nie zdziwiłbym się, gdyby mu zbudowali świątynię.

— Nie mogłabym tego znieść — odparła Antea — gdybyśmy odeszli bez niego. A Faraon powiedział „po wieczry”, więc to nie będzie tak zaraz. W dodatku żołnierz jest bardzo zaciekawiony. Z pewnością nic nam na razie nie grozi.

Mimo to odryglowywanie drzwi wydało im się jednym z najmilszych odgłosów.

— A jeżeli nie znalazł Piaskoludka? — szepnęła Janeczka.

Lecz tę wątpliwość rozwiązał sam Piaskoludek. Bo zanim drzwi zdążyły się na dobre otworzyć, skoczył przez szparę i znalazł się w ramionach Antei, drżąc na całym ciele i strosząc sierść.

— A tu jest jego śmieszny płaszcz — dodał żołnierz podając torbę, do której Piaskoludek natychmiast się wsunął.

— A teraz — rzekł Cyryl — powiedz, co chcesz, żebyśmy dla ciebie zrobili. Może chciałbyś coś dostać?

— To już jak chcecie — odparł żołnierz. — Jeżeli potraficie sprowadzić tu dziwny kwiat, kwitnący w glinianym naczyniu, możecie pewnie zrobić, co tylko chcecie. Chciałbym dostać dwie garście klejnotów ze skarbca Faraona. Zawsze tego pragnąłem.

Na dźwięk słowa „chciałbym” dzieci wiedziały, że Piaskoludek zajmie się czarami. Uczynił to i podłoga została dosłownie zasypana zwałami złota i drogich kamieni.

— Może jeszcze coś? — spytał wyniośle Cyryl. — Może chcesz, żebyśmy stali się niewidzialni? Znikli?

— Proszę bardzo! — rzekł żołnierz. — Tylko nie przez te drzwi. — Zamknął je starannie i oparł się o nie szerokimi, egipskimi plecami.

— Nie! Nie! — zawołał jakiś głos u szczytu wysokich drewnianych słupów, wspierających strop. Słychać było, że ktoś się tam rusza.

Żołnierz był równie zdziwiony, jak wszyscy inni.

— To chyba także czary — powiedział.

Potem Janeczka uniosła Amulet i wypowiedziała zaklęcie. Słyszając je i widząc, jak Amulet wyrasta w wielki łuk, żołnierz padł na twarz między klejnoty i wydał okrzyk zgrozy i przerażenia.

Dzieci przeszły przez łuk z szybkością, jaka wynika z długiej wprawy. Ale Janeczka zatrzymała się w środku łuku i spojrzała za siebie.

Inni, już na dywaniku w jadalni na Fitzroy Street, odwrócili się także i zobaczyli, że Janeczka wciąż jeszcze stoi pod łukiem.

— Coś ją przytrzymuje! — zawołał Cyryl. — Musimy wracać!

Ale pociągnęli Janeczkę za ręce tylko dla sprawdzenia, czy przejdzie, i naturalnie, tak się stało.

Po czym, jak zwykle, łuk stał się znów malutki i wszystko było jak zawsze.

— Szkoda, żeście to zrobili! — rzekła Janeczka ze złością. — To było takie ciekawe! Kapłan wszedł, zaczął kopać żołnierza, mówił mu, że teraz dopiero wszystko zaprzepaścił, a w końcu powiedział, że muszą zabrać klejnoty i uciekać dla ratowania życia.

— I zrobili tak?

— Nie wiem. Przeszkodziliście mi — odparła niewdzięcznie Janeczka. — A ja chciałam zobaczyć, jak to się skończy.

W gruncie rzeczy nikt z nich nie miał zobaczyć, jak to się skończy jeśli Janeczka miała na myśli przygodę z kapłanem i żołnierzem.

ROZDZIAŁ XII

PREZENT POKUTNY I WYGNANY CHŁOPCZYK

— Słuchajcie — rzekł Cyryl siadając na stole i wymachując nogami. — Teraz już wiem.

— Co wiesz? — padło zrozumiałe pytanie pozostałej trójki.

Cyryl robił statek za pomocą scyzoryka i kawałka drewna, a dziewczynki szyły ciepłe sukienki dla lalek, bo robiło się coraz chłodniej.

— Jak to, nie rozumiecie? Przecież to na nic się nie zda szukać Amuletu w Przeszłości. Przeszłość jest tak pełna różnych czasów, jak... jak morze piasku. Po prostu nie możemy trafić na właściwy czas. Możemy zużyć całe nasze życie szukając Amuletu i nigdy go nawet nie zobaczyć. Przecież to już koniec września. To jak szukanie igły w stogu...

— W stogu siana, wiem — przerwał Robert. — Ale jeżeli nie mamy tego robić, to co mamy robić?

— O to właśnie chodzi — rzekł tajemniczo Cyryl. — A, do licha!

Weszła stara niania z tacą pełną noży, widelców i szklanek i zaczęła wydobywać z komody obrus i serwetki.

— Okazuje się, że jak przychodzi do czegoś ciekawego, zawsze wypada pora jedzenia.

— Ładnie byście wyglądali — odparła stara niania — gdybym nie przynosiła wam jedzenia w porę. Nie powinniście narzekać, bo może się wam przytrafić, że będziecie mieli prawdziwy powód do narzekania.

— Ja nie narzekam — skłamał najwyraźniej Cyryl — ale zawsze jakoś tak się zdarza.

— Zasłużyliście na to, żeby wam się coś przydarzyło — odparła stara niania. — Haruję dla was dzień i noc i nie mam za to ani słowa wdzięczności.

— Ależ, nianiu — odparła Antea — wszystko robisz nadzwyczajnie.

— Pierwszy raz słyszę o tym od was — powiedziała niania.

— Po co mamy mówić? — zapytał Robert. — Połykamy wszystko, co nam dajesz, i prawie zawsze dobieramy. To chyba wystarczający dowód.

— Ach — rzekła stara niania krążąc dokoła stołu i układając noże i widelce — Robert to prawdziwy mężczyzna. A mój biedny mąż nieboszczyk przez cały czas, kiedy żył ze mną, nigdy nie powiedział nic więcej jak „owszem”, kiedy pytałam go, czy mu smakował obiad. Swoją drogą, kiedy umierał, jego ostatnie słowa były: „Mario, z ciebie zawsze była dobra kucharka” — dokończyła drżącym głosem.

— I tak też jest! — zawołała Antea i razem z Janeczką uściskały nianię.

Kiedy niania wyszła z pokoju, Antea powiedziała:

— Wiem dokładnie, co ona myśli. Wiecie co? Zrobmy pokutę, żeby udowodnić, jak bardzo żałujemy, że nie powiedzieliśmy wcześniej, jaka z niej świetna kucharka i jaka jest kochana.

— Pokuta nie ma sensu — rzekł Robert.

— Owszem, ma, jeżeli może komuś sprawić przyjemność. Nie myślałam o grochowinach, włosiennicach czy spaniu na kamieniach — wyjaśniła Antea. — Myślałam o zrobieniu jej pokutnego prezentu. I proponuję, żeby Cyryl nie mówił nam o swoim pomysłe, póki nie zrobimy czegoś dla starej niani. To gorsze dla nas niż dla niego — dodała pospiesznie — bo on wie, a my nie wiemy. Zgoda?

Janeczce i Robertowi byłoby wstyd nie zgodzić się, więc uczynili to. Ale dopiero pod koniec obiadu — baranie kotlety z borówkami i szarlotka — z poważnej rozmowy czwórki wyłoniła się myśl, która podobała się wszystkim i miała, jak sądzili, podobać się też niani.

Cyryl i Robert wyszli, mając wciąż w ustach smak jabłek, a na ustach czerwień borówek (Robert miał ją też na mankiecie), i kupili w papeterii duży arkusz tektury. Potem u

hydraulika, u którego w witrynie leżały rurki, kurki i przyrządy gazowe, kupili szybę szklaną tej samej wielkości, co tektura. Sprzedawca wykroił szybę bardzo interesującym przyrządem z kawałeczkiem diamentu na końcu, a wręczając im szybę dodał gratisowo sporą porcję kitu i odrobinę kleju.

Podczas nieobecności chłopców dziewczynki wypłukały w gorącej wodzie fotografie czworga dzieci, które w ten sposób odlepiły z kartonów. Następnie umieszczono je w jednym rzędzie u góry na tekturze. Cyryl włożył klej do słoika i aby się roztopił, słoik zanurzył w garnku z wodą, a garnek postawił na ogniu. Tymczasem Robert namalował wokół fotografii wianuszek czerwonych maków. Malował wcale dobrze i szybko, a maki były stosunkowo łatwe do malowania, jeżeli ktoś raz pokazał, jak się to robi. Następnie Antea wyrysowała drukowane litery, które Janeczka pokolorowała. Były to następujące słowa:

*Z podziękowaniem za wszystko,
Co dajesz nam do jedzenia.*

Kiedy malowidło już wyschło, podpisali się wszyscy u dołu, na to nałożyli szkło i okleili je z brzegu i z tyłu brunatnym papierem, przymocowując dwie tasiemki, aby było na czym powiesić całość.

No i oczywiście, kiedy już było za późno, wszyscy zauważyli, że w słowie „wszystko” brakowało litery „z”, więc ją dodano. Ale naturalnie nie można było wszystkiego przerobić z powodu jednej literki.

— Dobrze — powiedziała Antea umieściwszy całość pod kanapą. — Dobrych kilka godzin minie, zanim klej wyschnie. Więc teraz, Wiewiórku, strzelaj.

— Otóż — zaczął Cyryl pospiesznie i wytarł chusteczką pomazane klejem ręce — miałem na myśli rzecz taką...

Zapadło długie milczenie.

— Więc co miałeś na myśli? — spytał wreszcie Robert.

— To idzie tak — rzekł Cyryl i znowu urwał.

— Jak idzie? — spytała Janeczka.

— Czy mogę wam powiedzieć, kiedy mi wciąż przerywacie? — odparł ostro Cyryl.

Nikt już nie odezwał się słowem i Cyryl mówił zmarszczywszy czoło.

— Bo widzicie — rzekł — chodzi mi o to... że pamiętamy, co robiliśmy, kiedy szukaliśmy Amuletu. Więc gdybyśmy go znaleźli, to też byśmy pamiętali.

— Chyba tak — odparł Robert. — Ale nie znaleźliśmy.

— W Przyszłości jednak znajdziemy.

— Czy znajdziemy? — wątpiła Janeczka.

— Tak, chyba że nas Piaskoludek nabrał. Wobec tego powinniśmy pójść tam, gdzie będziemy pamiętali, gdzieś go znaleźli.

— Rozumiem — odparł Robert, chociaż nie rozumiał.

— A ja nie — powiedziała Antea, choć prawie zrozumiała. — Powtórz to jeszcze raz, Wiewiórku, tylko bardzo powoli.

— Jeżeli — zaczął Cyryl istotnie bardzo powoli — pójdziemy w Przyszłość po znalezieniu Amuletu...

— Ale go nie znaleźliśmy — wtrąciła Janeczka — więc po pierwsze musimy znaleźć.

— Cicho — szepnęła Antea.

— Będzie taka chwila w Przyszłości — rzekł Cyryl, wyrażając się coraz jaśniej wobec niepewnych twarzy pozostałej trójki — przyjdzie czas, który nastąpi p o znalezieniu Amuletu. Więc chodźmy w ten czas i wtedy będziemy pamiętali, jak go znaleźliśmy. A potem możemy się cofnąć i zająć się szukaniem.

— Rozumiem — rzekł Robert i tym razem zrozumiał naprawdę, a mam nadzieję, że i wy rozumiecie.

— Tak — powiedziała Antea. — Ach, Wiewiórku, jaki ty jesteś mądry!

— Ale czy Amulet będzie działał na obydwie strony? — zaniepokoił się Robert.

— Powinien — odparł Cyryl — jeżeli czas jest tylko czymś tam czegoś tam. Tak czy owak, możemy spróbować.

— W takim razie ubierzmy się jak najładniej — napomniała Janeczka. — Wiecie wszyscy, co mówi się o postępie i o tym, że świat staje się coraz lepszy i ładniejszy. Myślę, że w Przyszłości ludzie będą strasznie eleganccy.

— Dobrze — zgodziła się Antea. — W każdym razie musimy się umyć. Jestem cała pomazana klejem.

Kiedy wszyscy byli już umyści i ubrani, uniesiono talizman w górę.

— Chcemy pójść w Przyszłość i zobaczyć talizman po jego znalezieniu przez nas — rzekł Cyryl, a Janeczka wymówiła zaklęcie. Przeszli jak zwykle pod wielkim łukiem i znaleźli się w Muzeum. Poznali je od razu i zobaczyli, tuż przed sobą, w szklanej gablotce, Amulet. Swoją własną połowę, a także tę połowę, której nigdy nie mogli znaleźć. Obydwie połowy były złączone czerwoną szpilką tworzącą rodzaj zawiasu.

— Wspaniale! — wykrzyknął Robert. — Jest tutaj cały!

— Tak — odparł pośepnie Cyryl — jest cały, ale nie możemy go zabrać.

— Nie możemy — potwierdził Robert przypominając sobie, jaką niemożliwością było dla królowej Babilonu wydobyć czegokolwiek ze szklanych gablotek Muzeum, z jedynym wyjątkiem, ale to już dzięki czarom Piaskoludka, chociaż i wtedy nie mogła nic zabrać z sobą. — Nie możemy, ale pamiętajmy, gdzie go znaleźliśmy, i wobec tego...

— Ach, tak? — przerwał gorzko Cyryl. — Czy ty p a m i ę t a s z, gdzieśmy go znaleźli?

— Nie — przyznał Robert. — Teraz, kiedy o tym myślę, to właściwie nie pamiętam.

Inni także nie pamiętali.

— Ale d l a c z e g o nie możemy sobie przypomnieć? — martwiła się Janeczka.

— Czy ja wiem? — zniecierpliwiał się Cyryl. — To pewnie jakaś reguła czarodziejstwa. Szkoda, że nie uczą w szkołach czarodziejstwa, tak jak arytmetyki albo zamiast niej. Teraz bardzo przydałby się Amulet.

— Ciekawa jestem, jak daleko jesteśmy w Przyszłości — rzekła Antea. — Muzeum wygląda tak samo, tylko jest jakoś lepiej urządzone.

— Wracajmy i spróbujmy jeszcze raz wejść w Przeszłość — zaproponował Robert.

— A może tutaj w Muzeum powiedzą nam, skąd go wzięli? — powiedziała Antea z nagle budzącą się nadzieją. W sali nie było nikogo, ale obok, gdzie znajdowały się przedmioty asyryjskie, trafili na tęgiego, uprzejmego człowieka w niebieskim stroju i pończochach.

— Ach! — zawołała Janeczka. — Dostali nowe uniformy. Jakie śliczne!

Zapytany wskazał im tabliczkę obok gablotki. Napis głosił: „Ze zbiorów...” Dodane było przy tym nazwisko, a było to nazwisko uczonego, którego, kiedy byli z nim razem po drugiej stronie Amuletu, nazywali Ji-jimmy.

— Niewielki z tego pożytek — rzekł Cyryl. — W każdym razie bardzo dziękujemy.

— Jak to się dzieje, że nie jesteście w szkole? — spytał człowiek w uniformie. — Mam nadzieję, że was nie wyrzucano.

— Na pewno nas nie wyrzucano — odparł żywo Cyryl.

— W każdym razie nie radziłbym robić tego na przyszłość — rzekł człowiek w uniformie i widać było, że im nie wierzył. Mało na świecie jest ludzi tak nieprzyjemnych, jak ci, co nam nie wierzą.

— Dziękujemy za pokazanie tabliczki — rzekł Cyryl, po czym wszyscy odeszli. Gdy wychodzili z bramy Muzeum, aż zmrużyli oczy, tak oślepiło ich słońce i błękitne niebo. Domów na wprost Muzeum nie było. Zamiast nich znajdował się wielki ogród porośły

zieloną trawą i pełen drzew i kwiatów. Nie było zaś żadnego napisu zabraniającego chodzenia po trawie, niszczenia drzew i krzewów czy też zrywania kwiatów. Wszędzie stało mnóstwo wygodnych krzesełek i pełno było pnących róż. Szemrzące, pluskające wodotryski spływały do marmurowych zagłębień, wśród drzew lśniły białe posągi, a gołębie krążące pośród gałęzi lub też dziobiące na drobnym żwirze nie były ciemne i nie podrywały się, jak to robią dzisiejsze gołębie przed Muzeum, ale błyszczwały i wyglądały jak ptaki ze srebra. Na krzesłach i ławkach siedziało mnóstwo ludzi, a na trawie bawiły się małe dzieci, bardzo skąpo ubrane. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety opiekowali się dziećmi i bawili się razem z nimi.

— To zupełnie jak śliczny obrazek — powiedziała Antea.

I tak też było. Ludzie mieli na sobie piękne, miękkie, kolorowe ubrania, bardzo prosto uszyte. Nikt bodaj nie nosił kapelusza, wiele osób natomiast miało przeciwsłoneczne okulary. Wśród drzew wisiały lampy z kolorowego szkła.

— Pewnie zapalają je wieczorem — rzekła Janeczka. — Chciałabym żyć w Przyszłości.

Poszli dróżką, a ludzie przyglądali się im z ciekawością, ale życzliwie. Dzieci ze swej strony też przypatrywały się — mam nadzieję, że się nie gapiły — twarzom tych ludzi w pięknych, miękkich ubraniach. Twarzom tym warto było się przyjrzeć. Nie żeby były wszystkie takie piękne, choć i pod tym względem przedstawiały się lepiej niż twarze ludzi, jakich dzieci znały. Ale ciekawy był wyraz tych twarzy. Z początku dzieci nie mogły zrozumieć, na czym on polega.

— Już wiem! — rzekła nagle Antea. — Nie mają zmartwień.

Tak było w istocie. Nikt nie miał zmęczonego wyglądu, nikt się nie spieszył, nikt nie był zatroskany i chociaż na niektórych twarzach widniał smutek, żadna nie miała wyrazu zafrasowania.

Chociaż na twarzach przechodniów malowała się życzliwość, wpatrywali się w dzieci tak bardzo, że zaczęły one odczuwać zażenowanie i z głównej alei skręciły w boczną ścieżkę wiodącą wśród drzew, krzewów, i szemrzących źródełek.

Tu właśnie, w głębokiej, cieniejszej rozpadlinie wśród wysokich cyprysów, znaleźli wygnanego chłopczyka. Leżał z twarzą we mchu, a szczególne wstrząsanie jego ramion było czymś, co wiele razy oglądali u siebie. Antea przyklekła więc przy chłopczyku i spytała go:

— Co ci się stało?

— Wyrzucili mnie ze szkoły — odparł chłopczyk szlochając.

Sprawa była poważna. Nikogo nie wyrzuca się bez istotnego powodu.

— A cóżeś ty takiego zrobił?

— Podarłem kawałek papieru i rzuciłem go na trawnik — wyjąkał chłopczyk, jakby zwierzał się ze straszliwego przestępstwa. — Teraz, kiedy już wiecie, nie będziecie chcieli ze mną rozmawiać — dodał nie patrząc na nich.

— Czy to wszystko? — spytała Antea.

— To chyba dosyć! — odparł chłopczyk. — Wygnali mnie na cały dzień.

— Nie bardzo rozumiem — rzekła Antea łagodnie.

Chłopczyk uniósł twarz, odwrócił się i usiadł.

— A kto wy jesteście? — spytał.

— Jesteśmy z dalekiego kraju — rzekła Antea. — W naszym kraju rzucenie kawałka papieru nie jest zbrodnią.

— A tutaj jest — odparł chłopczyk. — Jeżeli robi to ktoś dorosły, płaci mandat. A nas wyrzucają na cały dzień ze szkoły.

— Ale — powiedział Robert — w takim razie masz przez cały dzień wakacje.

— Pewnie przychodzicie z bardzo daleka — powiedział chłopczyk. — Wakacje są wtedy, kiedy wszyscy razem mogą się bawić i mieć różne przyjemności. A kiedy się jest wyrzuconym, nikt nie chce z takim rozmawiać. Każdy widzi, że to wyrzucony, bo inaczej byłby w szkole.

— Przypuśćmy, że byłbyś chory...

— U nas nikt prawie nigdy nie choruje. A jeżeli tak, to nosi opaskę i wszyscy są dla niego bardzo dobrzy. Znam chłopczyka, który ukradł chorobową opaskę swojej siostrzyczki i nosił ją, kiedy go wypędzono na jeden dzień. Wypędzono go za to na tydzień. To musi być okropne nie chodzić do szkoły przez tydzień.

— A czy ty lubisz szkołę? — spytał z niedowierzaniem Robert.

— Pewnie, że lubię. To najmiłsze miejsce, jakie tylko jest. W tym roku wybrałem sobie za przedmiot koleje, mamy takie wspaniałe modele, a teraz będę musiał bez nich się obejść z powodu tego podartego papieru.

— Sam wybierasz swój przedmiot? — spytał Cyryl.

— Pewnie, że tak. Ale skąd wy jesteście? Czy zupełnie nic nie wiecie?

— Nie — rzekła stanowczo Janeczka — więc może nam opowiesz.

— W połowie lata następuje przerwa w nauce, wszystko tego dnia jest udekorowane kwiatami i trzeba wybrać swój specjalny przedmiot na następny rok. Oczywiście, trzeba się tego trzymać co najmniej przez rok. A poza tym są, naturalnie, i inne przedmioty — czytanie, malowanie i zasady obywatelskie.

— Ojej! — wykrzyknęła Antea.

— Słuchajcie — powiedział zrywając się chłopczyk. — Jest już prawie czwarta. Wyrzucenie trwa do tej godziny. Chodźcie ze mną do domu. Mama opowie wam wszystko.

— A czy twoja mama nie będzie się gniewać, że przyprowadzisz do domu obce dzieci? — spytała Antea.

— Nie rozumiem, co ty mówisz — odpowiedział chłopczyk. Poprawił skórzany pasek na jasnej kurteczce i podał dzieciom rękę. — Chodźcie ze mną.

Więc poszli.

Ulice były szerokie i bardzo czyste. Nie widzieli wcale konnych pojazdów, tylko rodzaj motocykli, jadących zupełnie bez hałasu. Tamiza płynęła między zielonymi brzegami, gdzie rosły drzewa, a pod drzewami siedzieli ludzie i łowili ryby, bo rzeka była kryształowo czysta. Wszędzie widać było zielone drzewa i nigdzie ani śladu dymu. Wszystkie domy znajdowały się jakby w jednym zielonym ogrodzie.

Chłopczyk podprowadził ich do jednego z domów, a z okna wyjrzała pogodna, dobrotliwa twarz jego mamy. Chłopczyk podbiegł do niej, objął ją serdecznie i coś jej widocznie mówił wskazując na dzieci.

Pani w miękkiej, zielonej sukni wyszła do nich. Odezwała się do dzieci uprzejmie i zaprowadziła je do najdziwniejszego domu, jaki kiedykolwiek w życiu widziały. Było tam bardzo mało mebli i żadnych ozdób, ale każdy przedmiot był piękny, począwszy od kredensu z mnóstwem ślicznych talerzy, a skończywszy na wschodnim dywanie rozpostartym na podłodze. Nie mogę wam opisywać tego domu, brak mi na to czasu. Poza tym przykro mi, kiedy pomyślę, jak różnił się od naszych domów. Pani oprowadziła ich po całym mieszkaniu. Najdziwniejszą rzeczą był duży pokój w samym środku domu. Miał wyściełane ściany, miękki, gruby dywan, a wszystkie krzesła i stoły były też wyściełane. Nie można było w nic się uderzyć.

— Dla kogo to ma być? — spytał Cyryl. — Dla wariatów?

Pani była bardzo zgorzozona.

— Skąd! To jest, oczywiście, pokój dla dzieci — odparła. — Nie uwierzę, że w waszym kraju nie ma takich pokoi.

— Są pokoje dziecinne — odparła Antea — ale meble są tam twarde i kanciaste, jak w innych pokojach.

— To straszne — rzekła pani. — Musicie być bardzo zacofani w waszej ojczyźnie. Przecież dzieci stanowią ponad połowę ludności. Nie jest to wiele, jeżeli się dla nich przeznacza w każdym domu jeden pokój, gdzie mogą się bawić i nie zrobić sobie krzywdy.

— Ale tu nie ma kominka — zauważyła Antea.

— Są rury z rozgrzanym powietrzem — odparła pani. — Jak można rozpalać ogień w dziecinnym pokoju? Przecież dziecko mogłoby się spalić!

— U nas — rzekł nagle Robert — ponad trzy tysiące dzieci umiera co roku od oparzeń. Tatusi mi tak powiedział — dodał, jakby usprawiedliwiając się ze swoich wiadomości — gdy bawiłem się kiedyś przy ogniu.

Pani zbladła.

— W jakim strasznym miejscu mieszkacie! — wykrzyknęła.

— A dlaczego meble są wyściełane? — spytała Antea skwapliwie zmieniając temat.

— Przecież to proste. Gdyby kilkoro dzieci biegało po pokoju, w którym są twarde, ostre przedmioty, mogłyby zrobić sobie krzywdę.

Robert dotknął blizny na czole: uderzył się o kratę kominka, kiedy był mały.

— Ale czy wszyscy mają takie pokoje, nawet biedni ludzie? — spytała Antea.

— Takie pokoje są wszędzie, gdzie jest choćby jedno dziecko — odparła pani. — Jacy wy jesteście rozkosznie nieświadomi... nie, nie to chciałam powiedzieć. Oczywiście, doskonale znacie historię starożytną. Ale widzę, że nie przerobiliście jeszcze lekcji zasad obywatelskich.

— I żebracy także? — upierała się Antea. — I włóczęgi, i ludzie, którzy nie mają mieszkań?

— Ludzie, którzy nie mają mieszkań? — powtórzyła pani. — Doprawdy zupełnie nie rozumiem, o czym mówisz.

— U nas wszystko wygląda zupełnie inaczej — powiedział ostrożnie Cyryl — a czytałem, że było inaczej także i w Londynie. Podobno byli ludzie, którzy nie mieli gdzie mieszkać i żebrali, kiedy byli głodni. I Londyn był kiedyś podobno brudny i zasmolony, Tamiza też brudna i zamulona, wąskie uliczki...

— Musiałeś chyba czytać bardzo staroświeckie książki — odparła pani. — Przecież tak było w ciemnych wiekach. Mój mąż mógłby ci dużo więcej o tym powiedzieć ode mnie. Wybrał historię starożytną jako przedmiot swoich studiów.

— Nie widziałam wcale ludzi pracujących — rzekła Antea.

— Jak to, przecież wszyscy jesteśmy ludźmi pracującymi — zdziwiła się pani. — Mój mąż na przykład jest stolarzem.

— Mój Boże! — zawołała Antea. — Przecież pani jest damą!

— Ach — odparła pani — wciąż ten dziwny staroświecki świat! Mój mąż z pewnością ucieszy się bardzo z rozmowy z wami. W ciemnych wiekach dozwolone były dymiące kominy, na ulicach widziało się zapracowane kobiety, a do Tamizy wrzucano mnóstwo odpadków. I trudno sobie wprost wyobrazić, jak ludzie cierpieli. To ciekawe, że wiecie o tym wszystkim. Czy uczyliście się specjalnie historii starożytnej?

— Niezupełnie — powiedział Cyryl niepewnym głosem. — A na czym polegają lekcje obowiązków obywatelskich?

— Czy naprawdę nie wiecie? Czy tylko mówicie tak dla zabawy? Naprawdę nie? Otóż lekcje obywatelstwa uczą, jak być dobrym obywatelem, co należy robić i czego robić nie wolno, jak brać udział w upiększaniu miasta. Są takie bardzo proste przepisy, których uczą się zupełnie małe dzieci. Zaraz, jak to jest?...

*Nie wolno kraść, a trzeba się uczyć.
Wszystko, co moje, to plon moich trudów.
Praca, a po niej zabawa umiła
Każdą godzinę swojego życia.
Muszę uśmiechu mieć dar dla każdego
i uciśnionym przyjść zawsze z pomocą.
Nigdy nie płakać, gdy coś mnie zabol,*

*Zawsze być dzielnym i nigdy nie tchórzyc.
Kiedy dorosnę, zarabiać na siebie
I innych plonem mej pracy wspomagać.*

— To bardzo łatwe — wtrąciła Janeczka. — Mogłabym to zapamiętać.
— To tylko sam początek, naturalnie — odparła pani. — Takich wierszyków jest całe mnóstwo. Jeden z nich się zaczyna od słów:

*Nie wolno zaśmiecać ślicznej ulicy,
Rzucać papierków i resztek jedzenia.
Nie wolno kwiatów zrywać po parkach,
Bo one są wszystkich, a nie tylko moje!*

— Ale — przerwała — skoro mowa o jedzeniu, czy nie jesteście głodni? Wells, przynieś z kuchni coś do przegryzienia.

— Dlaczego pani nazywa go Wells? — spytał Robert, gdy chłopczyk wybiegł z pokoju.

— To na pamiątkę wielkiego reformatora*, musieliście o nim słyszeć. Żył w wiekach ciemnych i rozumiał, że każdy powinien wykryć, czego właściwie potrzebuje, a następnie starać się to uzyskać. Do jego czasów ludzie starali się radzić sobie z tym, co mieli. A teraz mamy wiele rzeczy, o których ten działacz myślał. Poza tym Wells to znaczy źródło czystej wody. Chyba zgodzicie się, że to ładne imię.

W tym momencie Wells wrócił z tacą, na której były truskawki, ciastka i lemoniada. Wszyscy zaczęli jeść z apetytem.

— A teraz, Wells — rzekła pani — biegnij, bo spóźnisz się na powitanie taty.

Wells pocałował ją, skinął ręką na pożegnanie i wyszedł.

— Proszę pani — zaproponowała nagle Antea — może udałoby się pani do naszej ojczyzny i zobaczyła, jak tam jest. Nie zabierze to więcej niż minutę czasu.

Pani roześmiała się. Ale Janeczka uniosła talizman i wymówiła zaklęcie.

— Co za wspaniała rzecz! — krzyknęła pani patrząc z zachwytem na piękny, ogromny łuk.

— Proszę przejść — rzekła Antea.

Pani, śmiejąc się, przeszła przez otwór łuku. Ale przestała się śmiać, gdy znalazła się nagle w jadalni na Fitzroy Street.

— Ach, co za złośliwy figiel! — zawołała. — Jak tu jest ohydnie, ciemno i brzydko.

Podbiegła do okna i wyjrzała. Niebo było szare, ulice zamglone, na wprost drzwi stał jakiś wynędzniały kataryniarz; żebrak i sprzedawca zapalek kłócili się o coś na skraju brudnego chodnika, po którym biegli ludzie do swoich domów.

— Jakież oni mają okropne twarze! — krzyknęła pani. — Co im jest?

— To są biedni ludzie, i tyle — odparł Robert.

— Nie, to nie wszystko. Oni są chorzy, nieszczęśliwi, źli! Ach, skończcie już z tym, drogie dzieci, chociaż to było bardzo zrecznie zrobione. To pewnie jakiś rodzaj latarni magicznej, czytałam kiedyś o tym. Ale skończcie już z tym. Ach, te nieszczęśliwe, zmęczone i złe twarze.

Łzy napłynęły jej do oczu. Antea dała znak Janeczce. Łuk wyrósł pod wpływem zaklęcia, a dzieci przeprowadziły pod nim panią do jej własnego miejsca i czasu: czystego, pięknego, pełnego zieleni Londynu nad przezroczystą Tamizą, gdzie ludzie żyli bez strachu, niepokoju i pośpiechu.

Zapadło milczenie. Przerwała je Antea:

— Cieszę się, żeśmy tam byli.

* H. Wells (1866–1946) — pisarz angielski, autor wielu powieści obyczajowych i fantastyczno-naukowych o wyprawach międzyplanetarnych i o podróżach w czasie — w przeszłość i przyszłość.

— Już nigdy, póki żyję, nie będę rzucał papierków na ulicę — rzekł Robert.

— Mama zawsze mówiła, że nie trzeba — przypomniała Janeczka.

— Chciałbym przejść specjalną naukę obowiązków obywatelskich — powiedział Cyryl.

— Może ojciec mógłby mnie tego nauczyć. Spytałem go, kiedy wróci.

— Gdybyśmy znaleźli drugą połowę Amuletu — rzekła Antea — ojciec byłby już teraz w domu. I mama z Barankiem.

— Pójdźmy jeszcze raz w Przyszłość — zaproponowała Janeczka. — Tylko nie w tak daleką. Może wtedy łatwiej sobie przypomnimy.

Tak też uczynili. Tym razem powiedzieli:

— W Przyszłość, gdzie jest Amulet, ale nie tak daleką.

Przez tak często już oglądany łuk weszli do dużego jasnego pokoju o trzech oknach. Na wprost okien znajdowała się znana im skrzynia z mumią, a przy stole pod oknem siedział uczony. Chociaż był siwy, poznali go od razu, gdyż miał twarz, która nie zmienia się z wiekiem. W rękę trzymał obydwie części Amuletu.

Drugą ręką pocierał sobie czoło w dobrze im znany sposób.

— Sny, sny! — powiedział. — Starość jest pełna snów!

— Pan już przedtem bywał z nami w snach — rzekł Robert — pamięta pan?

— Tak — potwierdził uczony. W pokoju było znacznie więcej książek niż na Fitzroy Street i znacznie więcej interesujących przedmiotów egipskich i asyryjskich. — Zjawialiście się w najdziwniejszych moich snach.

— A skąd wziął pan ten przedmiot, który pan trzyma w rękę? — spytał Cyryl.

— Gdybyście nie byli snem — odparł z uśmiechem uczony — pamiętalibyście, że to od was go dostałem.

— Ale skąd myśmy go wzięli? — dopytywał się uparcie Cyryl.

— Ach, nie chcieliście mi powiedzieć. Zawsze mieliście swoje własne małe sekrety. Drogie dzieci! Jak przyjemnie było z wami w tamtym starym domu! Chciałbym, żebyście częściej nawiedzali mnie we śnie. Ale teraz, od czasu kiedy jesteście dorośli, staliście się całkiem inni.

— Dorośli? — spytała Antea.

Uczony wskazał ramkę z czterema fotografiami.

— Przecież to wy jesteście — powiedział.

Dzieci ujrzały podobizny czworga dorosłych osób — dwóch pań i dwóch panów — i patrzyły na nie z niesmakiem.

— Czy będziemy tak wyglądali? — szepnęła Janeczka. — To po prostu okropne!

— Myślę — odszepnęła Antea — że jeżeli będziemy tacy, to nie będziemy wiedzieli, jakie to jest okropne. Człowiek przyzwyczaja się do siebie, kiedy się zmienia. To wygląda strasznie tylko dlatego, że stało się tak nagle.

Uczony patrzył na nich czule i przyjaźnie.

— Proszę, nie dajcie mi się jeszcze zbudzić — powiedział.

Po czym zapadło milczenie.

— Czy pamięta pan, kiedy daliśmy panu Amulet? — spytał nagle Cyryl.

— Wiecie albo wiedzielibyście, gdybyście nie byli snem, że stało się to 3 grudnia 1905. Nie zapomnę nigdy tego dnia.

— Dziękuję panu! — zawołał szczerze Cyryl. — Bardzo panu dziękuję!

— Pan ma teraz nowy pokój — mówiła Antea patrząc przez okno — i jaki piękny ogród.

— Tak — odparł uczony — ale jestem już za stary nawet na chodzenie do Muzeum, chociaż to tak niedaleko. Tu jest rzeczywiście bardzo ładnie. Czy wiecie? Ledwo mogę uwierzyć, że jesteście snem, wyglądacie zupełnie jak żywi. I powiem wam, choć nie powiedziałbym tego nikomu poza snem, bo nazwaliby mnie wariatem, że było coś bardzo tajemniczego z tym Amuletem, który od was dostałem.

— Tak, tak było naprawdę — odparł Robert.

— Nie mam na myśli waszych dziecinnych sekretów, skąd go wzięliście. Myślę o samym przedmiocie. Po pierwsze, miałem takie niezwykle sny, kiedy pokazaliście mi pierwszą jego połowę. Napisałem wtedy książkę o Atlantydzie, która była początkiem mojej sławy i majątku. A napisałem ją całą, opierając się na śnie. A potem napisałem dzieło „Anglia w czasie inwazji rzymskiej”, które wyjaśniało wiele niezrozumiałych dotąd rzeczy.

— Spodziewam się — rzekła Antea.

— Taki był początek. Ale kiedy dostałem od was cały Amulet — to było takie ładne z waszej strony — wtedy miałem uczucie, jakbym znał na wskroś starą cywilizację egipską. I nikt nie może podważyć moich teorii — tu zatarł ręce i roześmiał się tryumfalnie — nikt nie może, chociaż próbowano już nieraz. Nazywają to teoriami, ale są to raczej wspomnienia. Jestem pewien, że mam zupełną rację co do tajemnych obrzędów świątyni Amona.

— Cieszę się, że jest pan teraz bogaty — rzekła Antea. — Bo nie był pan, kiedy pan mieszkał na Fitzroy Street.

— Nie, nie byłem, ale teraz jestem. Ten piękny dom i prześliczny ogród... pracuję w nim czasami. Pamiętacie, jak mi tłumaczyliście, że powinienem używać więcej ruchu? Otóż wszystko to zawdzięczam wam i Amuletowi.

— Strasznie się cieszę — zawołała Antea i pocałowała go. Uczony zerwał się.

— To wcale nie wygląda na sen — powiedział drżącym głosem.

— To niezupełnie sen — odparła Antea łagodnie. — To wszystko za sprawą Amuletu, taki dodatkowy, prawdziwy sen, drogi Jimmy.

— A — zawołał uczony — kiedy tak mnie nazywasz, wiem, że to sen. Czasem śnię o mojej małej siostrzyczce, ale nie są to tak prawdziwe sny, jak ten. Czy pamiętacie, jak przysniło mi się, że przynieśliście mi pierścień babiloński?

— Wszystko pamiętamy — odparł Robert. — Czy pan przeniósł się z Fitzroy Street dlatego, że zrobił pan majątek?

— O, nie — rzekł z wyrzutem uczony. — Wiecie, że nigdy nie zrobiłbym nic podobnego. Przeniosłem się po prostu dlatego, że wasza stara niania umarła i... Co się stało?

— Niania umarła? — wykrzyknęła Antea. — Ach, nie!

— Owszem, taki jest los wszystkich. Już dosyć dawno temu.

Janeczka uniosła Amulet w drżącej dłoni.

— Chodźcie! — zawołała. — Wracajmy do domu! Niania może umrzeć, zanim wrócimy. Chodźcie!

— Ach, niech się sen jeszcze nie kończy! — prosił uczony.

— Musi się skończyć — rzekła stanowczo Antea i znów go pocałowała.

— Kiedy dochodzi do tego, że ludzie umierają — rzekł Robert — musimy się pożegnać. Cieszymy się, że pan jest bogaty, sławny i szczęśliwy.

— Chodźcie prędzej! — zawołała Janeczka tupiąc niecierpliwie nogą.

I poszli. A gdy tylko wrócili na Fitzroy Street, stara niania przyniosła podwieczorek. Gdy weszła z tacą, dziewczynki rzuciły się ku niej i o mało jej nie przewróciły.

— Nie umieraj nam, nianiu! — wołały Janeczka z Antea. — Kochana, droga nianiu, nie umieraj!

— Co wam się stało, dzieci? — zdziwiła się niania. — Jeszcze się wcale nie wybieram na tamten świat.

— Nic się nie stało. Tylko nie umieraj!

Niania odstawiła tacę i chwyciła dziewczynki w ramiona, a chłopcy serdecznie klepali ją po plecach.

— Czuję się tak dobrze, jak zawsze — powiedziała niania. — Co za pomysł z tym umieraniem! Siedzieliście za długo na dworze po zachodzie słońca. Puśćcie mnie, muszę zapalić gaz.

Żółte światło ukazało cztery blade twarze.

— My cię tak wszyscy kochamy — ciągnęła Antea. — że na dowód zrobiliśmy dla ciebie obrazek. Pokaż go, Wiewiórku.

Oszklony dowód uczuć dobyto spod kanapy i pokazano niani.

— Uwaga — powiedział Cyryl — klej jeszcze nie zasechł.

— Ależ to śliczne! — zawołała niania. — Wcale się nie spodziewałam. I wasze fotografie, i taki piękny napis. Zawsze wiedziałam, że macie dobre serduszka. Ale tego nigdy się nie spodziewałam. Nie miałam chyba takiej przyjemności w życiu.

Obejmowała ich wszystkich po kolei, a chłopców jakoś to tym razem nie krępowało.

* * *

— Jak to się dzieje, że już teraz możemy pamiętać Przyszłość? — spytała Antea Piaskoludka budząc go z wielką ostrożnością. — Dlaczego pamiętamy, co widzieliśmy w Przyszłości, a jednak kiedy byliśmy w Przyszłości, nie mogliśmy przypomnieć sobie tego jej kawałeczka, który właśnie był już wtedy Przeszłością — czasem znalezienia Amuletu?

— Co za głupie pytanie! — odparł Piaskoludek. — Oczywiście nie mogliście pamiętać tego, co jeszcze się nie zdarzyło.

— Ale Przyszłość też się jeszcze nie zdarzyła — nalegała Antea — a jednak pamiętamy ją dokładnie.

— Moje dziecko — powiedział z irytacją duszek — to nie jest to, co się zdarzyło, ale prorocza wizja. Potrafisz zapamiętać sny, prawda? Więc dlaczego nie mogłabyś zapamiętać wizji? Zdaje się, że nigdy nie rozumiecie najprostszyczych rzeczy.

Z tymi słowy Piaskoludek wrócił w piasek.

Antea zeszła na dół w nocnej koszuli, aby raz jeszcze pocałować starą nianię i raz jeszcze spojrzeć na wspaniały, oszklony dowód uczuć, wiszący teraz na ścianie kuchni.

— Dobranoc, kochanie — powiedziała niania — tylko nie złap kataru.

ROZDZIAŁ XIII

ROZBITKI NA WYSPACH

— Błękit i czerwień — rzekła z namysłem Janeczka — zawsze dają fiolet.

— Nie zawsze — odparł Cyryl. — Potrzebny jest do tego karmin i błękit pruski. Bo jeśli pomieszasz indygo z czerwienią, wyjdzie z tego obrzydliwy, szary kolor.

— Myślę, że sepia jest najbrzydszym kolorem — powiedziała Janeczka biorąc pędzelek do ust.

Wszyscy malowali. Niania, wzruszona makami zrobionymi przez Roberta, z wielkiej wdzięczności podarowała każdemu z czwórki po pudełku farb i uzupełniła te dary stosem starych ilustracji.

— Sepia — rzekł pouczająco Cyryl — wyrabiana jest z okropnego stworu morskiego.

— A fiolet z jakiejś morskiej ryby — dodał Robert. — W każdym razie tyryjski fiolet robiono z czerwonych i niebieskich ryb.

— Może z raków? — spytała w zamyśleniu Janeczka. — Raki są czerwone po ugotowaniu, a granatowe przed ugotowaniem. Jeżeli pomieszać żywe i nieżywe raki, wyjdzie z tego tyryjski fiolet.

— Nie mieszałabym nic z żywym rakiem! — zawołała Antea, którą przeszedł dreszcz.

— Ale nie ma żadnych ryb czerwonych i granatowych — odparła Janeczka — więc musiałybyś.

— To wolałabym wcale nie mieć fioletu — rzekła Antea.

— Tyryjski fiolet był innego koloru, kiedy go dobywano z ryby — objaśnił Robert — a innego później. Właściwie to był szkarłat i w ten kolor ubierali się cesarze rzymscy. A w rybie nie był to wcale ładny kolor. Żółtawobiały płyn, podobny do śmietanki.

— Skąd wiesz? — spytał Cyryl.

— Czytałem — odparł Robert z dumą niewątpliwej wiedzy.

— Gdzie? — spytał Cyryl.

— Wydrukowane — odrzekł jeszcze dumniej Robert.

— Myślisz — powiedział Cyryl mocno tym dotknięty — że wszystko, co wydrukowane, jest prawdą. Ale tak nie jest, ojciec mi mówił. Mnóstwo kłamstw idzie do druku, zwłaszcza w gazetach.

— Ale tak się składa — oświadczył Robert doprawdy dokuczliwym tonem — że to nie było w gazecie, ale w książce.

— Jaka słodka jest biel chińska — powiedziała Janeczka, w zamyśleniu biorąc znów pędzel do ust.

— Nie wierzę — rzekł Cyryl do Roberta.

— Pokosztuj sam — zaproponował Robert.

— Nie mówię o bieli chińskiej. Mówię o śmietankowej rybie zmieniającej się w fiolet i...

— Ach! — zerwała się Antea. — Mam już dość malowania! Przejdźmy przez Amulet i znajdziemy się gdzieś daleko. I niech on sam wybierze dla nas miejsce.

Cyryl i Robert przyznali, że jest to dobry pomysł Janeczka zaś postanowiła przestać malować, bo jak powiedziała, biel chińska, choć z pewnością słodka, daje przykre uczucie w gardle, jeżeli maluje się nią za długo. Uniesiono Amulet do góry.

— Przenieś nas w Przeszłość — rzekła Janeczka — dokąd chcesz, ale gdzieś, gdzie sam jesteś. — Po czym wymówiła zaklęcie.

W następnej chwili wszyscy odczuli dziwne kołysanie, takie, jakiego doznaje się w łódce rybackiej. Było to zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż znajdowali się w łodzi. Łódź była dziwaczna, w burtach miała otwory, przez które przechodziły wiosła. Z tyłu łodzi znajdowało

się wysokie siedzenie dla sternika, a przód miał kształt głowy jakiegoś ogromnego zwierzęcia o dużych, nieruchomych oczach. Łódź znajdowała się na kotwicy w zatoce, a powierzchnia zatoki była gładka jak lustro.

Wioślarze mieli ciemne ciała, czarne brody i włosy. Nosili krótkie spódniczki, od bioder do kolan, a na głowach coś w rodzaju okrągłych czepców z guzami na wierzchu. Byli bardzo zapracowani, a to, co robili, tak zaciekawiło dzieci, że w pierwszej chwili nie zastanawiały się nawet, dokąd je przeniósł Amulet.

Załoga była zbyt zajęta, aby zauważyć dzieci. Przymocowywali kosze z sitowia do długiej liny opatrzonej na końcu korkiem, a kosze wypełniali mięczakami i małymi żabkami. Następnie zarzucali sznury do wody, w której kosze zanurzały się, ale korek pływał po wierzchu. Wszędzie dokoła po błękitnej powierzchni wody unosiło się mnóstwo łodzi, a ich załogi były również zajęte zanurzaniem w wodzie koszów z żabkami i mięczakami.

— Co wy robicie? — spytała nagle Janeczka człowieka, który miał na sobie nieco więcej odzienia niż inni i wyglądał na kapitana czy nadzorcę. Ten odwrócił się i spojrzał na Janeczkę, ale widział w życiu zbyt wiele nieznanych łądów, aby zbyt dziwić się osobliwie ubranym dzieciom.

— Wydobywamy z wody barwiące skorupiaki — odparł. — A jakżeście wy się tu dostali?

— Za pomocą czarów — powiedział wymijająco Robert, a kapitan dotknął talizmanu zwisającego mu na szyi.

— A co to jest za miejsce? — spytał Cyryl.

— Jak to? Przecież to Tyr — odrzekł kapitan. Następnie odszedł na bok i zaczął coś mówić szeptem jednemu z wioślarzy.

— Teraz dowiemy się czegoś o kremowych rybach — rzekł Cyryl do Janeczki.

— Ale myśmy wcale nie powiedzieli, że chcemy się wybrać do Tyru — odparła Janeczka.

— Pewnie Amulet słyszał, jak rozmawialiśmy — odparła Antea. — Myślę, że to bardzo uprzejmie z jego strony.

— I Amulet także jest tutaj — wtrącił Robert. — Powinniśmy go znaleźć w jednym z tych stateczków. Ciekaw jestem w którym.

— Patrzcie! Patrzcie! — wykrzyknęła nagle Antea. Na nagiej piersi jednego z wioślarzy rozblysło coś czerwonego. Wyglądało to dokładnie tak samo, jak ich własna połowa Amuletu. Janeczka pierwsza przerwała pełne napięcia milczenie.

— W takim razie znaleźliśmy go! — zawołała. — Weźmy go i wracajmy do domu.

— Łatwo to powiedzieć — odparł Cyryl — ale ten człowiek wygląda na bardzo silnego.

Istotnie tak wyglądał, choć nie był tak silny, jak inni wioślarze.

— Dziwna rzecz — powiedziała z namysłem Antea — ale zdaje mi się, że już go gdzieś widziałam.

— Przypomina trochę naszego uczonego — odparł Robert. — Ale wiecie co? On jest bardziej podobny do...

W tym momencie wioślarz spojrzał na nich. Oczy jego spotkały się ze wzrokiem Roberta, po czym Robert i reszta rodzeństwa nie mieli już wątpliwości, gdzie go spotkali. Był to Rekh-mara, kapłan, który zaprowadził ich do pałacu Faraona i którego Janeczka widziała przez luk, kiedy radził strażnikowi Faraona, by zabrać klejnoty i uciekać.

Nikt nie był tym zachwycony, choć nikt nie wiedział dlaczego.

Janeczka wyraziła uczucia wszystkich, gdy dotknąwszy Amuletu powiedziała:

— Możemy w każdej chwili wrócić, gdyby się coś przykrego zdarzyło.

Na razie jednak nic przykrego się nie zdarzyło. Zaofiarowano im jedzenie: świeże figi i ogórki, bardzo zresztą smaczne.

— Widzę — rzekł kapitan — że jesteście z dalekiego kraju. Skoro zaszczyciliście mój statek zjawieniem się na nim, musicie tu pozostać do rana. Zaprowadzę was do jednego z naszych wielkich. Ubóstwia on przybyszów z dalekich krajów.

— Wracajmy do domu — szepnęła Janeczka. — Wszystkie żabki już potonęły. Mam wrażenie, że ci ludzie są okrutni.

Ale chłopcy chcieli poczekać do rana i zobaczyć wydobywanie koszów z wody.

— To zupełnie jak pułapki na węgorze i raki — rzekł Cyryl. — Kosze otwierają się tylko z zewnątrz. Głosuję, żeby zostać.

Tak więc zostali.

— Tam widać Tyr — powiedział kapitan, który starał się być uprzejmy. Wskazał na wielką, skalistą wyspę, wystającą stromo z morza, a uwieńczoną olbrzymim murem i wieżami. Na lądzie widniało z daleka jeszcze inne miasto.

— W tamtej części Tyru — wyjaśnił kapitan — wielcy kupcy mają swoje domy, ogrody i pola.

— Patrzcie! — zawołał nagle Cyryl. — Co za śliczny stateczek!

Flotę rybacką mijał statek pod pełnymi żaglami. Twarz kapitana uległa gwałtownej zmianie. Zmarszczył się, a oczy zabłyśły mu wściekłością.

— Bezczelny mały barbarzyńco! — krzyknął. — Ośmielasz się nazywać statki Tyru stateczkami? Nie ma większych statków na morzach. Ten statek wraca z trzyletniej podróży. Znany jest we wszystkich wielkich portach handlowych, stąd aż do Wysp Cynowych. Powraca pełen bogactw i sławy. Kotwicę ma ze srebra.

— Bardzo pana przepraszam — wtrąciła pospiesznie Antea — ale w naszym kraju zdrobnienie oznacza serdeczne uczucie. Na przykład pana żona mogłaby pana nazwać swoim kochanym mężulkiem.

— Niechby tylko spróbowała — burknął kapitan, ale jakoś się udobruchał.

— To zyskowny handel — objaśnił. — Za słabo barwione tkaniny, gorszego gatunku szkło i rzeźby, które nasi młodzi artyści wyrabiają tylko dla wprawy, barbarzyński król w Tessos daje nam dostęp do swoich kopalni srebra. Dostajemy tam tyle srebra, że zostawiamy żelazne kotwice, a wracamy ze srebrnymi.

— To wspiania! — rzekł Robert. — Więc niech pan nam powie: co to jest tkanina słabo barwiona?

— Musicie być barbarzyńcami z dalekiej dziczy — odparł z pogardą kapitan. — Wszystkie bogate narody wiedzą, że nasze najlepsze tkaniny są podwójnie barwione. Przeznaczone są wyłącznie na kołpaki dla królów, kapłanów i książąt.

— A co noszą bogaci kupcy? — spytała z zaciekawieniem Janeczka.

— Noszą podwójnie barwione tkaniny. Nasi kupcy są książętami — odparł wyniośle kapitan.

— Ach, niech się pan nie gniewa, ale my tak lubimy słuchać takich ciekawych rzeczy. Chcemy dowiedzieć się wszystkiego o barwieniu — powiedziała serdecznie Antea.

— Ach, tak?! — wrzasnął kapitan. — Więc po toście się tu zjawili? Ale ode mnie nie dowiecie się sekretów barwienia.

Odszedł, a całej czwórce zrobiło się nieprzyjemnie. W dodatku Egipcjanin nie spuszczał z nich swoich długich i wąskich oczu. Mieli wrażenie, że przypatruje się im w ciemności, kiedy położyli się do snu na rozpostartych na ziemi płaszczach.

Następnego ranka wyciągnięto z wody kosze pełne czegoś, co wyglądało na małże.

Dzieci zawadzały trochę, ale starały się jak najmniej przeszkadzać. Kiedy kapitan był na drugim końcu statku, zadawały pytania wioślarzowi o twarzy nieco mniej nieuprzejmej niż inne.

— Tak — odparł wioślarz — to są skorupiaki. Inny rodzaj takich skorupiaków łowią w Sydonie, a jeszcze inny gatunek idzie na podwójnie barwione tkaniny. Ale to co innego, to...

— Zamknij gębę! — krzyknął kapitan. I wioślarz zamilkł.

Naładowany statek popłynął powoli na kraniec wyspy i został przycumowany w jednej z dwóch wielkich przystani znajdujących się poza długim falochronem. Przystań pełna była

rozmaitych statków, więc Cyryl i Robert przyglądali się im z zaciekawieniem. Na falochronie i nadbrzeżach pełno było balii i koszów i aż tłoczno od niewolników i wiosłarzy. Nieco dalej jacyś ludzie ćwiczyli się w nurkowaniu.

— Świetnie! — zawołał Robert, gdy nagie, brunatne ciało zanurzyło się w wodzie.

— Pewnie, że świetnie — odparł kapitan. — Perscy poławiacze pereł wcale nie są zręczniejsi. Mamy na dnie morza źródło słodkiej wody. Otóż nasi nurkowie potrafią nurkować i przynosić wodę z tego źródła w skórzanych butlach. Czy wasi barbarzyńscy nurkowie tak potrafią?

— Chyba nie — rzekł Robert i zrezygnował z gorącego pragnienia, by wyjaśnić kapitanowi, jak w Anglii funkcjonują wodociągi i wszystko, co jest z nimi związane.

Gdy zbliżali się do nadbrzeża, kapitan przycesał włosy i brodę, włożył strój przypominający sweter z krótkimi rękawami, haftowany pas, naszyjnik z paciorków i sygnet z dużym, czerwonym kamieniem.

— Teraz mogę już się pokazać — rzekł. — Pójdziecie ze mną.

— A dokąd? — spytała ostrożnie Janeczka.

— Do wielkiego dowódcy morskiego, Felesa — odparł kapitan. — Już wam mówiłem, że ubóstwia on barbarzyńców.

W tym samym momencie podszedł Rekh-mara i po raz pierwszy przemówił.

— Znałem te dzieci w innej krainie — rzekł. — Wiecie, jaka jest potęga moich czarów. To właśnie moje czary przywiodły tych barbarzyńców na twój statek. Wiesz, kapitanie, jaki z nich będziesz miał pożytek. Czytam w twoich myślach. Pozwól, że pójdę z wami i zobaczę, jak to się skończy, a wtedy dopełnię czarów, które ci obiecałem w zamian za tak życzliwą gościnę na twoim statku.

Kapitan spojrzał niechętnie na Egipcjanina.

— Więc to twoja sprawka — powiedział. — Mogłem się tego domyślić. Dobrze, chodź.

Egipcjanin poszedł więc z nimi ku wielkiemu zmartwieniu dziewczynek. Tylko Robert szepnął:

— Nic nie szkodzi! Póki jest z nami, mamy jakąś szansę zdobycia Amuletu. Zawsze możemy uciec, gdyby coś źle poszło.

Poranek był świeży i jasny. Śniadanie bardzo im smakowało, a było wystawne. Na szyi Egipcjanina wisiał Amulet. Wszystko to sprawiło, że humory dzieci nagle się poprawiły. Przeszły wesoło przez bramę miasta — nie była łukowata, a jako sklepienie miała ogromny, płaski kamień — następnie zaś szli ulicami, gdzie unosił się okropny zapach ryb, czosnku i tysiąca innych jeszcze mniej przyjemnych rzeczy. Ale jeszcze gorszy od zapachów ulicznych był zapach w fabryce, dokąd kapitan udał się, by sprzedać swój nocny połów. Chętnie opowiedziałabym wam dokładnie o tej fabryce, ale nie mam czasu, a zresztą może nie interesują was farbiarnie. Wspomnę tylko, że Robert tryumfował: całkowicie miał rację. Barwnik był istotnie płynem żółtawobiałym, podobnym do śmietanki; wydzielał woń podobną do czosnku, ale silniejszą jeszcze niż czosnek.

Gdy kapitan targował się z zarządcą farbiarni, Egipcjanin podszedł do dzieci i powiedział łagodnie:

— Ufajcie mi.

— Chcielibyśmy — odparła Antea.

— Myślicie — rzekł Egipcjanin — że pragnę waszego Amuletu. Dlatego mi nie ufajcie.

— Tak — przyznał szczerze Cyryl.

— Ale i wy także chcecie mieć mój Amulet, a ja wam ufam.

— Jest w tym pewna słuszność — rzekł Robert.

— Mamy obydwie połówki Amuletu — powiedział Egipcjanin — ale brak nam łączącej je zapinki. Jedyna okazja zdobycia jej będzie, jeśli pozostaniemy razem. Bo jeśli te dwie

połówki znów się rozejdą, może już nigdy nie spotkają się w tym samym miejscu i czasie. Bądźcie rozumni. To nasz wspólny interes.

Nikt nie zdążył na to odpowiedzieć, gdy wrócił kapitan, a wraz z nim zarządca farbiarni. Miał włosy i brodę utracone jak mężczyźni w Babilonie, a ubrany był podobnie jak kapitan, tylko miał na sobie więcej złota i haftu. Miał także kilka naszyjników z paciorków i srebra i szklany talizman z ludzką twarzą, podobną do jego własnej, osadzoną między dwiema głowami byków. Pobrzękiwał złotymi i srebrnymi naramiennikami i bransoletami, a przy tym bacznie wpatrywał się w dzieci. Wreszcie odezwał się:

— Mój brat, Feles, właśnie wrócił z Tarsu. Jest teraz w swoim ogrodzie, chyba że poluje w bagnach na dziki. Na łądzie nudzi się okropnie.

— Ach — zawołał kapitan — prawdziwy z niego Fenicjanin! „Tyr, Tyr nieśmiertelny! Tyr rządzi na morzach!” — jak głosi stara pieśń. Udam się do niego zaraz i pokażę mu moich małych barbarzyńców.

— Dziwacznie wyglądają, prawda? — rzekł zarządca farbiarni. — Co za potworne ubiory! I ile tego mają na sobie! Spójrz, co noszą na nogach. Jakie to wstrętne.

Robert nie mógł powstrzymać się od myśli, że byłoby rzeczą bardzo przyjemną chwycić zarządcę farbiarni za nogi i pchnąć go do wielkiej kadzi stojącej tuż obok. Ale gdyby to zrobił, trzeba by zaraz uciekać, więc zapanował nad sobą.

Tyryjska przygoda pod jednym względem różniła się od poprzednich. Była mniej burzliwa. Ponadto stwierdzili niewątpliwy fakt, że talizman znajdował się tuż obok, na szyi Egipcjanina.

Z całą więc przyjemnością dzieci popłynęły z wyspy na łąd, a potem pojechały na osiołkach, wynajętych przez kapitana przy bramie miasta. Posuwali się pośród samych ogrodów, gdzie rosły palmy, figowce, cedry, drzewa oliwkowe i morwowe, krzewy jaśminowe i mnóstwo kwiatów — tulipanów, mieczyków, a także kępy wilczej jagody jakby obsypane szafirami. W oddali wznosiły się szczyty Libanu.

Wreszcie dotarli do niewielkiego domku, który był długi i niski, a z frontu wspierał się na słupach. Dokoła rosły cedry i sykomory tworzące miłe dla oka otoczenie.

Wszyscy zsiadli na ziemię i osiołki zabrano.

— To zupełnie wygląda jak lotnisko — szepnął Robert i dodał natychmiast: — Można tu przyjemnie spędzić cały dzień.

— To bardzo ładnie ze strony kapitana, że nas tutaj przywiózł — dodał Cyryl.

— Prawda? — powiedziała Antea. — Ma się wrażenie, jakby się było na wsi na wakacjach. Może dlatego to wydaje się rzeczywistsze niż wszystko, co dotąd widzieliśmy.

Dzieci pozostawiono same w rozległej sieni. Mozaikowa posadzka tworzyła piękne obrazy statków, ryb i zwierząt morskich. Przez otwarte drzwi widać było dziedziniec z mnóstwem kwiatów.

— Chętnie zostałabym tutaj cały tydzień — odezwała się Janeczka — żeby tylko można codziennie jeździć na osiołku.

Wszyscy czuli się znakomicie. Nawet Egipcjanin wydawał się pogodniejszy niż zwykle. Nagle wrócił kapitan z radosnym uśmiechem na twarzy. Razem z nim wszedł pan domu. Przyjrzał się uważnie dzieciom i skinął dwukrotnie głową.

— Dobrze — powiedział — mój zarządca wypłaci ci umówioną cenę. Ale nie dam ci tyle za tego egipskiego psa.

Po czym obydwaj wyszli.

— Teraz — rzekł Egipcjanin — jesteśmy w saku.

— W czym? — spytały dzieci.

— Znaleźliśmy się w trudnym położeniu — wyjaśnił Rekh-mara. — Nasz przyjaciel ze statku sprzedał nas w niewolę.

* * *

Po pierwszym wstrząsie nastąpiła pośpieszna narada. Dopuszcili do niej kapłana. Radził on, aby zostać, gdyż na razie nie grozi im niebezpieczeństwo, a zapinka od Amuletu musi być w pobliżu, gdyż inaczej nie byłiby się tutaj znaleźli. Po krótkiej wymianie zdań przyznali mu rację.

Dzieci potraktowano bardziej jako gości niż jak niewolników, ale Egipcjanina wysłano zaraz do pracy w kuchni.

Pan domu, Feles, z rozkazu królewskiego wyruszył tegoż wieczoru w nową podróż. W czasie jego nieobecności żona Felesa uznała towarzystwo dzieci za zabawne i kazała im mówić, śpiewać i tańczyć aż do późnej nocy.

— Aby oderwać moje myśli od smutków — wyjaśniła.

— To bardzo miło być niewolnicą — powiedziała wesoło Janeczka, gdy dzieci ułożyły się na miękkich poduszkach, które dano im zamiast łóżek.

Była ciemna noc, gdy zbudziło ich delikatne dotknięcie czyjejs dłoni i ściszony głos, który szepnął:

— Zachowajcie spokój, bo wszystko będzie stracone.

Zachowali więc zupełny spokój.

— To ja, Rekh-mara, kapłan Amona — szeptał dalej głos. — Człowiek, który nas tu sprowadził, wyruszył znowu na morze i zabrał mi przemocą Amulet, a nie mam żadnych czarów, aby go odzyskać. Czy istnieją na to czary w waszym Amulecie?

Wszyscy byli oburzeni.

— Możemy udać się za nim — poderwał się Cyryl. — Ale on gotów odebrać i nasz Amulet. Albo może być zły, że go ścigamy.

— Tym to już ja się zajmę — odparł w ciemności Egipcjanin. — Ukryjcie tylko dobrze wasz Amulet.

W głębokim mroku tyryjskiego letniego domku uniesiono ponownie Amulet i wypowiedziano zaklęcie. Wszyscy przeszli pod łukiem i znaleźli się na statku kołyszącym się na sfalowanym od wiatru morzu. Przyczajeni doczekali ranka, przy czym Janeczka i Cyryl czuli się bardzo niedobrze. Kiedy nadszedł świt i widać już było stalowoszare fale, wstali i starali się w miarę możliwości utrzymać równowagę. Feles, odważny marynarz i poszukiwacz przygód, pobladł, gdy odwróciwszy się dostrzegł ich obecność.

— No, no! — zawołał. — Nigdy bym się tego nie spodziewał!

— Panie — rzekł Egipcjanin i złożył niski ukłon, co było jeszcze trudniejsze od stania — jesteśmy tutaj za sprawą czarów świętego Amuletu, który masz na szyi.

— Nigdy bym nie powiedział — powtórzył Feles. — No, no!

— Do jakiego portu zmierza ten statek? — spytał Robert z miną wilka morskiego.

Ale gdy Feles zapytał, czy jest żeglarzem, Robert musiał przyznać, że nie.

— W takim razie — rzekł Feles — mogę wam powiedzieć, że płyniemy do Wysp Cynowych. Tylko jeden Tyr wie, gdzie one leżą. I tajemnicę tę ukrywamy przed całym światem. Jest to dla nas rzecz równie wielka, jak wasze czary dla was.

Mówił zupełnie odmienionym głosem i zdawał się mieć znacznie większy niż dotąd szacunek zarówno dla dzieci, jak i dla Amuletu.

— Król was wysłał, prawda? — spytała Janeczka.

— Tak — odparł Feles. — Król wysłał mnie na morze z sześciu dzielnymi mężami i załogą. Popłyniecie z nami i zobaczycie wiele cudownych rzeczy.

Skłonił się i odszedł.

— Co teraz będziemy robili? — zagadnął Robert, kiedy Feles kazał im dać na osobności śniadanie złożone z suszonych owoców i czegoś w rodzaju twardych biszkoptów.

— Czekajmy, aż wylądujemy na Wyspach Cynowych — odparł Rekh-mara — a wtedy będziemy mogli pozyskać sobie pomoc barbarzyńców. Napadniemy go w nocy i zerwiemy święty Amulet z jego przeklętej, pogańskiej szyi! — dodał zaciskając zęby.

— A kiedy dopłyniemy do Wysp Cynowych? — spytała Janeczka.

— Za jakie sześć miesięcy albo za rok — odparł pogodnie Egipcjanin.

— To jeszcze cały rok tego? — zawołała Janeczka, a Cyryl, który wciąż czuł się tak niedobrze, że nie miał apetytu na śniadanie, skulił się i zadrżał.

Wtedy to Robert powiedział:

— Słuchajcie, możemy skrócić ten rok. Janeczko, wydobądź talizman! Powiedz, żebyśmy byli tam, gdzie Amulet, kiedy statek znajdzie się o dwadzieścia mil od Wysp Cynowych. Będziemy mieli czas na obmyślenie planów.

Uczynili to w okamgnieniu i znaleźli się na tym samym statku, między szarym północnym niebem i szarym północnym morzem. Słońce zachodziło i widnokrąg rysował się bladej żółtą linią. Był to ten sam statek, ale bardzo zmieniony, podobnie jak jego załoga. Żeglarze byli brudni i wyczerpani, ich ubiór podarty i zniszczony. Dzieci zauważyły, że chociaż one przeskoczyły dziewięć miesięcy, statek musiał je w pełni przeżyć. Feles był wychudzony, a twarz miał zatroskana.

— Aha! — wykrzyknął. — Czary znowu was tutaj przywiodły! Modliłem się o to codziennie przez tych dziewięć miesięcy. Czy nie możecie nam pomóc swymi czarami?

— A czego ci potrzeba? — zapytał spokojnie Egipcjanin.

— Potrzeba mi wielkiej fali, która odrzuci pływający za nami obcy statek. Miesiąc temu dopadł nas przy słupach bogów i odtąd płynie za nami, aby odkryć tajemnicę Tyru: miejsce, gdzie leżą Wyspy Cynowe. Gdybym mógł sterować w nocy, zdołałbym jeszcze im umknąć, ale tej nocy nie będzie gwiazd.

— Moje czary nic ci tu nie pomogą — odparł Egipcjanin.

Ale Robert powiedział:

— Moje czary nie potrafią sprowadzić wielkich fal, ale mogę ci pokazać, jak sterować bez gwiazd.

Wydobył z kieszeni mały kompas, na szczęście w dobrym stanie, który wymienił od kolegi w szkole za pięć pensów, gumkę, fiszbin i pół laseczki laku.

Pokazał Felesowi, jak przyrząd funkcjonuje, a Feles patrzył z podziwem na czarodziejstwo kompasu.

— Dam ci go — rzekł Robert — w zamian za talizman na twojej szyi.

Feles nie odpowiedział. Roześmiał się, wyrwał kompas z ręki Roberta i śmiejąc się odszedł.

— Pociesz się — szepnął kapłan — nasz czas nadejdzie.

Mrok gęstniał i Feles siadł pod latarnią sterując za pomocą kompasu Roberta.

Nikt nie dowiedział się nigdy, jaki sposób żeglował obcy statek, lecz nagle, w środku nocy, żeglarz, trzymający straż na rufie statku, zawołał strasznym głosem:

— Płynie tuż za nami!

— A my — rzekł Feles — jesteśmy tuż przy przystani! Milczał przez chwilę, po czym nagle zmienił kurs statku, a następnie wstał i przemówił:

— Drodzy przyjaciele i dzielni mężowie, którzy z rozkazu króla bierzecie udział w tej odważnej wyprawie! Przeniewierczy, obcy statek płynie tuż za nami. Jeśli wylądujemy, oni też wylądują i tylko bogom wiadomo, czy nie pokonaliby nas w walce, by samym wykorzystać tajemnicę Tyru dla wzbogacenia swego nędznego kraju. Czy dopuścimy do tego?

— Nigdy! — wykrzyknęło sześciu stojących obok niego mężczyzn. Niewolnicy wiosłowali ciężko pod pokładem i nie mogli słyszeć jego słów.

Egipcjanin rzucił się na niego raptownie i wściekle jak dziki zwierzę.

— Oddaj mój Amulet! — krzyknął i wyciągnął rękę. Łańcuszek zerwał się i Amulet spoczął w ręku kapłana.

Feles zaśmiał się, utrzymując mocno równowagę mimo kołysania statku.

— Nie jest to czas na czary i talizmany — powiedział. — Żyliśmy jak mężczyźni i umrzemy, jak przystało mężom, dla honoru i chwały Tyru, naszego wspaniałego miasta. „Tyr, Tyr nieśmiertelny! Tyr włada na morzach!” Steruję teraz prosto na Smocze Skały i zatoniemy dla dobra naszego miasta, jak prawdziwi mężczyźni. A podstępni tchórze, którzy płyną za nami, zatoną jak niewolnicy i będą niewolnikami naszymi, kiedy znów żyć będziemy. Tyr nieśmiertelny!

Rozległ się głośny okrzyk, do którego przyłączyli się niewolnicy przy wiosłach.

— Prędko, Amulet! — zawołała Antea i uniosła go w górę. Rekh-mara uniósł w górę Amulet odebrany Felesowi. Wypowiedziano zaklęcia i dwa wielkie łuki wyrosły na tonącym statku, pod ciemnym niebem i wśród wycia wiatru. Z każdego Amuletu płynęło piękne zielone światło oświetlając dokoła fale. Oświetliło również czarne zarysy olbrzymich skał wznoszące się na wprost dzioba statku.

— „Tyr, Tyr nieśmiertelny! Tyr włada na morzach!” — rozległ się tryumfujący okrzyk straceńców.

Dzieci przecisnęły się przez łuk i stały drżąc i mrugając powiekami w saloniku na Fitzroy Street. W uszach ich nadal rozbrzmiewało wycie wiatru, plusk wiosł, uderzenie statku o skały i ostatni okrzyk dzielnych poszukiwaczy przygód, którzy aż do śmierci śpiewali chwałę ukochanego miasta.

* * *

— I tak znowu zgubiliśmy drugą połowę Amuletu — powiedziała Antea, kiedy opisali całą przygodę Piaskoludkowi.

— Bzdura — rzekł Piaskoludek. — To nie była druga połowa. To była ta sama, którą macie, ta, która nie była zmiądzona i zgubiona.

— Ale w jaki sposób mogła to być ta sama połowa? — spytała Antea łagodnie.

— No, niezupełnie. Ta, którą macie, jest o wiele lat starsza, ale w każdym razie to nie była druga połowa. Co powiedzieliście wypowiadając zaklęcie?

— Zapomniałam — odparła Janeczka.

— A ja nie — rzekł Piaskoludek. — Powiedziałaś: „Zabierz nas tam, gdzie jesteś”. I Amulet to uczynił, więc widzicie, że to była ta sama połowa.

— Rozumiem — powiedziała Antea.

— Ale zapamiętajcie sobie moje słowa — ciągnął Piaskoludek. — Będziecie jeszcze mieli kłopoty z tym kapłanem.

— Dlaczego? Był taki przyjacielski... — powiedziała Antea.

— To nic nie znaczy. Wystrzegajcie się wielebnego Rekh-mary.

— Ach, już mi obrzydł Amulet — rzekł Cyryl — nigdy go nie znajdziemy!

— Owszem — odparł Robert. — Czy już zapomniałeś? Trzeci grudnia!

— Prawda! — przyznał Cyryl. — Nie pamiętałem już o tym.

— A ja w to nie wierzę — wtrąciła Janeczka — w dodatku nie czuję się dobrze.

— Na waszym miejscu — rzekł Piaskoludek — nie wybierałbym się znowu w Przeszłość przed tą datą. Bezpieczniej będzie nie wybierać się tam, gdzie możecie spotkać znów tego Egipcjanina.

— Naturalnie, zrobimy, jak mówisz — odezwała się ugodowo Antea — choć w jego twarzy było coś, co mi się naprawdę podobało.

— Mimo to mam nadzieję, że nie będziecie się za nim uganiać — parsknął Piaskoludek. — Czekać do trzeciego i uważajcie, co się wtedy zdarzy.

Cyryl i Janeczka bardzo źle się czuli, Antea zaś zawsze była skłonna do posłuszeństwa, więc Roberta przegłosowano. Złożyli uroczystą obietnicę. Ale nikt z nich, nawet Piaskoludek, nie przewidział wcale, o czym chyba nie wątpicie, co właściwie miało się zdarzyć w tym pamiętnym dniu.

ROZDZIAŁ XIV

NAJGORĘTSZE PRAGNIENIE SERCA

Gdybym tylko miała czas, mogłabym wam opowiedzieć mnóstwo rzeczy. Na przykład jak, wbrew radzie Piaskoludka, czwórka dzieci pewnego deszczowego dnia udała się przez łuk Amuletu do złocistej pustyni i znalazła tam wielką świątynię Baalbeka, gdzie spotkała Feniksa, którego nikt nie spodziewał się już zobaczyć. I jak Feniks nie mógł ich sobie przypomnieć, póki nie popadł w rodzaj proroczego natchnienia, jeśli tak można nazwać pamięć. Niestety nie mam czasu, a więc muszę to wszystko pominąć, choć była to nadzwyczajna przygoda. Muszę też pominąć wszystko, co dotyczy odwiedzin dzieci w hipodromie* z Piaskoludkiem w torbie podróźnej i jak życzenia ludzi dokoła były spełniane tak nagle i zaskakująco, że wreszcie Antea musiała Piaskoludka zabrać pospiesznie do domu, a przez to stracić połowę widowiska. Innym znów razem, kiedy niania wybrała się ze znajomą na herbatkę do miasta, dzieci bawiły się w „diabła w ciemnościach” i właśnie w samej pełni tej mrożącej krew w żyłach zabawy zapukał listonosz, co przstraszyło Janeczkę tak, że o mało nie umarła. Wzięła wprawdzie listy i włożyła je do szuflady, aby nie zginęły, ale przez całe tygodnie o nich nie pamiętała, wobec czego listy rzeczywiście nie zginęły. Z pewnością także chcielibyście wiedzieć wszystko o przygodzie z wędką, haczykami i kucharką z sąsiedztwa, która była zabawna z różnych punktów widzenia, choć może nie z punktu widzenia kucharki. Ale Niestety nie ma na to doprawdy czasu.

Jedyne, na co jest czas, to przygoda z Nieoczekiwaną Zjawą, która jest zresztą także początkiem końca.

Jesienny deszcz uderzał posępnie w szyby, gdy niania zaproponowała zwiedzenie Sali Egipskiej w Domu Tajemnic. Chociaż dzieci miały powody uważać swoje własne, osobiste tajemnice za coś o wiele ważniejszego, cała czwórka aż podskoczyła z radości na ten pomysł. Wszystkie dzieci, podobnie jak wielu dorosłych, przepadają za kuglarskimi sztuczkami.

Niania wręczyła Cyrylowi odpowiednią ilość pieniędzy, po czym udzieliła im bardzo dokładnych wskazówek, jak trafić do Domu Tajemnic.

— Tak, tak, wiemy! — zawołały dzieci jednogłośnie i wyruszyły.

Choć trzymały się dokładnie wskazówek niani, nie mogły trafić na nic, co przypominałoby Dom Tajemnic.

Wreszcie zatrzymały jakąś panią, ale i ona też nie umiała im nic powiedzieć.

— Co dowodzi — powiedziała Janeczka — jak dorośli mało wiedzą.

Wreszcie drogę wskazał im policjant. Spóźnili się i opuścili dwa pierwsze punkty programu. Ale zdążyli na czas, by zobaczyć niezwykle wprost czarodziejskie zjawy i zniknięcia, tak szczególne, że mimo swej wiedzy o czarach, ledwo mogli uwierzyć, że nie są to właściwie prawdziwe czary.

— Żeby to Babilończycy mogli zobaczyć — szepnął Cyryl. — To zupełnie zaćmiewa wszystkich ich magików.

— Tss! — syknęła Antea, a wraz z nią wiele innych osób na sali.

Obok Roberta było puste miejsce. I właśnie w chwili gdy oczy wszystkich skupione były na scenie, gdzie główny magik nalewał do wysokich szklanek najrozmaitsze rzeczy do picia, wszystko z jednego dzbanka i za pomocą jednej łyżeczki — właśnie w tym momencie, kiedy widownia z zachwytem kosztowała rozmaitych napojów, Robert poczuł, że ktoś siedzi obok. Nie zauważył, jak ten ktoś siadł. Po prostu w pewnej chwili nie było tam nikogo, a w chwilę potem ktoś już był.

* Hipodrom — miejsce przeznaczone na naukę konnej jazdy.

Robert spojrzął i poznał, że tym kimś, kto nagle wypełnił puste miejsce, był Rekh–mara, kapłan Amona.

Wówczas gdy oczy całej widowni skupione były na magiku na scenie, oczy magika wpatrzone były w publiczność. I tak się złożyło, że jego oczy wpatrywały się zwłaszcza w puste miejsce obok Roberta. Dostrzegł więc najzupełniej wyraźnie nagle zjawienie się znikąd egipskiego kapłana.

„Świetna sztuczka — pomyślał — w dodatku wykonana w moich oczach i w mojej własnej sali. Muszę odkryć, jak to było zrobione”.

Nigdy bowiem dotąd nie widział sztuczki, której nie potrafiłby sam powtórzyć, jeżeli tylko spróbował.

Tymczasem spośród publiczności wiele osób patrzyło z zaciekawieniem na gładko wygolonego i dziwnie ubranego egipskiego kapłana.

— Panie i panowie — rzekł magik zręcznie dostosowując się do sytuacji — jest to sztuka, jakiej nigdy dotąd nie pokazywałem. Na pustym krześle, trzecim od końca, w drugim rzędzie na galerii, zobaczycie państwo teraz najbardziej autentycznego starożytnego Egipcjanina.

Nawet nie przypuszczał, jak bardzo prawdziwe były jego słowa.

Teraz oczy wszystkich skierowały się na kapłana i dzieci, cała widownia przez chwilę znieruchomiała, zaskoczona, a potem wydała głośny okrzyk uznania. Tylko jakaś pani, siedząca z drugiej strony Rekh–mary, odsunęła się trochę. Wiedziała, że nikt nie przechodził koło niej i, jak powiedziała później przy kolacji, zjadając zimny ozór i popijając herbatę, „było to tak niespodziewane, że aż skóra ścierpła”.

Rekh–mara zdawał się bardzo zakłopotany wzbudzoną przez siebie powszechną uwagą.

— Wyjdźmy stąd — szepnął do Roberta. — Muszę z wami pomówić na osobności.

— O, nie — odparła szeptem Janeczka — zostańmy. Strasznie chcę zobaczyć Tajemniczą Ćmę i Brzuchomówcę.

— Jak tu się dostałeś? — spytał szeptem Robert.

— A jak wy dostaliście się do Egiptu i Tyru? — odparł Rekh–mara. — Chodźcie, wyjdźmy stąd.

— Zdaje się, że naprawdę będziemy musieli — skrzywił się z irytacją Robert. Po czym wszyscy wstali.

— Oni są w zmowie! — zawołał jakiś człowiek z następnego rzędu. — Teraz pójda za kulisy i wezmą udział w następnej scenie.

— Chciałbym, żeby tak było — rzekł Robert.

— Sam pan jest w zmowie! — dodał Cyryl. Następnie wyszli z kapłanem, a publiczność cały czas klaskała.

W szatni postarali się przebrać Rekh–marę, by nie zwracał uwagi. Ale nawet w czapce Roberta i płaszczu Cyryla był on zbyt rzucającą się w oczy postacią, aby wędrować z nim pieszo po Londynie. Musieli wynająć powozik, na co wydali resztę pieniędzy. Zatrzymali dorożkę o kilka kroków od domu. Dziewczynki weszły pierwsze i zaabsorbowały nianię dokładnym sprawozdaniem z przedstawienia i zachwyty nad przygotowaną kolacją.

Drzwi frontowe zostały otwarte i kiedy niania rozmawiała z dziewczynkami, chłopcy cichutko zakradli się z Rekh–marą i zaprowadzili go niepostrzeżenie po schodach do swojego pokoju.

Wkrótce potem dziewczynki weszły tam i zastały egipskiego kapłana siedzącego na łóżku Cyryla, z rękoma wspartymi na kolanach. Wyglądał jak posąg króla.

— Chodźcie prędzej! — zawołał niecierpliwie Cyryl. — On nie chce nic opowiadać bez was. Ale może zamkniecie drzwi za sobą, dobrze?

Gdy drzwi zostały zamknięte, Egipcjanin powiedział:

— Mamy wspólne interesy.

— To bardzo ciekawe — rzekł Cyryl — a będzie jeszcze ciekawsze, jeżeli dalej będziesz nam towarzyszył w przyzwoitym kraju tak ubrany!

— Spokój — odparł kapłan. — A co to za kraj? I jaki to czas?

— Ten kraj nazywa się Anglia — wyjaśniła Antea — a czas jest mniej więcej sześć tysięcy lat późniejszy niż twoje czasy.

— A więc — powiedział z głębokim namysłem kapłan — Amulet daje moc poruszania się tam i z powrotem zarówno w czasie, jak i przestrzeni.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził cierpko Cyryl. — Ale jest już pora kolacji, więc co mamy z tobą zrobić?

— Macie jedną połowę Amuletu — odparł Rekh-mara — a ja drugą. Potrzeba nam teraz tylko łączącej je zapinki.

— Nic podobnego — rzekł Robert. — Twoja połowa to ta sama, co nasza.

— Ale ta sama rzecz nie może być w tym samym miejscu i w tym samym czasie i jedną, i dwoma — powiedział kapłan. — Patrzcie, tu jest moja połowa. — Położył ją na brzegu łóżka.

— A gdzie jest wasza?

Janeczka porozumiała się wzrokiem z resztą rodzeństwa, rozwiązała wstążeczkę, na której wisiał Amulet, i położyła go na drugim końcu łóżka, tak daleko, by kapłan nie mógł jej pochwycić, nawet gdyby chciał być nieuczciwy. Cyryl i Robert stali tuż przy nim, gotowi rzucić się, gdyby zrobił najłżejszy ruch w stronę ich czarodziejskiego skarbu. Ale ręce kapłana nie drgnęły. Otworzył tylko szeroko oczy, jak zresztą uczynili pozostali, ponieważ Amulet kapłana zadrżał, poruszył się i jak stał przyciągana przez magnes zaczął sunąć powoli i zbliżać się coraz bardziej do Amuletu zdjętego z szyi Janeczki. Wreszcie, jak dwie krople deszczu łączą się na szybie, jak łączą się dwie kulki żywego srebra, Amulet Rekh-mary wtopił się w Amulet dzieci tak, że stanowiły już teraz jedną całość.

— Czarna magia! — zawołał Rekh-mara i skoczył chcąc złapać obcy talizman, który pochłonął jego talizman. Ale Antea zdążyła go w porę chwycić, a w tej samej chwili kapłan został pociągnięty do tyłu sznurem zarzuconym mu na głowę. Pod wpływem skoku sznur obsunął się, zacisnął mocniej i skrępował mu łokcie. Nim kapłan zdążył użyć siły, aby się uwolnić, Robert zrobił węzeł i przymocował sznur do nogi łóżka. Następnie czwórka dzieci związała szamocącemu się kapłanowi nogi za pomocą drugiego sznura.

— Spodziewałem się — rzekł Robert ciężko dysząc i zaciskając mocno supły — że będzie się starał zagarnąć nasz Amulet, więc na wszelki wypadek przygotowałem sznury.

Dziewczynki, mocno pobladłe, wyraziły uznanie dla dalekowzroczności Roberta.

— Uwolnijcie mnie! — wołał z wściekłością Rekh-mara. — Bo rzucę na was siedem tajemnych przekleństw Amona Ra!

— Nawet wtedy cię nie uwolnimy! — odparł Robert.

— Ach, nie kłóćcie się! — zawołała w rozpacz Antea. — Przecież on ma takie same prawa do tego Amuletu, co my. W tym — pokazała Amulet, który wchłonął drugi — zawiera się tak samo jego talizman, jak i nasz. Musimy go dopuścić do spółki.

— Uwolnijcie mnie! — krzyknął kapłan i szarpnął sznury.

— Tylko nie rób awantur — rzekł Robert — bo otworzymy okno i zawołamy policję — wiesz, naszą straż — i powiemy, że chciałeś nas ograbić. A teraz siedź spokojnie i daj sobie przemówić do rozumu.

— Dobrze — odparł niechętnie Rekh-mara. Okazało się jednak, że nie można przemówić mu do rozumu, więc w drugim końcu pokoju, przy umywalni i ręcznikach, odbyła się dość długa i poważna narada. Wreszcie Antea podeszła sama do kapłana.

— Posłuchaj — rzekła miłym, uprzejmym głosem — chcemy być z tobą w zgodzie. Chcemy ci pomóc. Zróbmy więc umowę. Połączmy nasze wysiłki, aby zdobyć cały Amulet. A wtedy będzie należał tak samo do ciebie, jak i do nas i spełnią się nasze najgorętsze pragnienia.

— Dobre chęci — odparł kapłan — ale z nich nic nie wyrośnie.

— U nas się mówi, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami — wtrąciła Janeczka.
— Ale sam chyba rozumiesz, że chcemy postąpić z tobą uczciwie. Chcemy tylko związać cię więzami honoru.

— Czy i ty będziesz wobec nas uczciwy? — spytał Robert.

— Będę — odparł kapłan. — Zaklinam się na najświętsze imię wypisane pod ołtarzem Amona Ra, że będę wobec was uczciwy. A teraz wy również złożcie taką przysięgę.

— Nie — odmówiła Antea z miejsca. — U nas przysięga się tylko w sądzie, tam gdzie jest straż i gdzie oczywiście nie chciałbyś się znaleźć. Ale kiedy mówimy, że coś zrobimy, to jest to tak samo ważne, jak przysięga. Zaufaj nam, a my będziemy tobie ufali.

To mówiąc zaczęła rozwiązywać mu nogi, a chłopcy pospieszyli uwolnić mu ręce. Kiedy był już wolny, kapłan wstał, wyprostował ramiona i zaśmiał się.

— Silniejszy jestem niż wy — powiedział — a moja przysięga jest niczym, bo na nic nie przysięgałem. Nie ma przecież żadnego najświętszego imienia wrytego pod ołtarzem Amona Ra.

— Owszem jest! — odezwał się głos spod łóżka. Wszyscy byli zdumieni, a najbardziej Rekh-mara.

Cyryl nachylił się i wyciągnął wanienkę z piaskiem, gdzie spał Piaskoludek.

— Nie wiesz wszystkiego, choć jesteś kapłanem świątyni Amona — rzekł duszek otrząsając się z piasku. — Pod ołtarzem Amona Ra jest wryte najświętsze imię. Czy chcesz, abym je wymienił?

— Nie, nie! — krzyknął z przerażeniem kapłan.

— Nie — dodała Janeczka — nie trzeba żadnych imion.

— Zresztą — rzekł Rekh-mara, bardzo blady mimo swej smagłej cery — chciałem tylko powiedzieć, że chociaż nie ma żadnego imienia pod...

— Owszem, jest — odparł groźnym głosem Piaskoludek.

— Ale nawet gdyby nie było, czułbym się związany ustnym przyrzeczeniem, jakie obowiązuje w waszym dziwnym kraju, i skoro powiedziałem, że będę waszym przyjacielem, to będę.

— W takim razie wszystko w porządku — zgodził się duszek. — Ale teraz dzwonią na kolację. Co zamierzacie zrobić z waszym dostojnym współnikiem? Nie może przecież pójść do stołu w takim stanie.

— Nie możemy nic robić aż do trzeciego grudnia — odparła Antea — bo wtedy dopiero mamy znaleźć cały Amulet. — Ale co będzie z Rekh-marą do tego czasu?

— Niech posiedzi w składziku — rzekł Cyryl — a jedzenie będziemy mu przemycać. To może być nawet zabawne.

Zaprowadzono więc kapłana do składziku i umieszczono go możliwie najwygodniej w kącie, między starymi gratami, złamanym łóżkiem i starym wózkiem dla dzieci. Dali mu worek pełen różnych skrawków, by miał na czym usiąść, i zjedzone przez mole futro, aby mu było ciepło. A po kolacji zanieśli mu jedzenie na górę. Herbata nie smakowała mu wcale, z przyjemnością natomiast zjadł chleb z masłem i kawałek ciasta. Wieczorem dotrzymywali mu po kolei towarzystwa i zostawili go w dość dobrym humorze na noc.

Nazajutrz po śniadaniu chcieli mu zanieść wędzonego śledzia i wtedy okazało się, że Rekh-mara znikł. W zacisznym kącie pozostał worek ze skrawkami i zjedzone przez mole futro, ale kącik był pusty.

W pierwszej chwili wszyscy byli zachwyceni, że się go pozbyli. Następna jednak myśl była mniej przyjemna: przypomnieli sobie, że ich Amulet wchłonał Amulet Rekh-mary, więc kapłan w żaden sposób nie mógł wrócić do swej egipskiej Przeszłości. Musi zatem być w Anglii, zapewne gdzieś w pobliżu, i knuje coś niedobrego.

Na wszelki wypadek przeszukali składzik, ale bez wyników.

— Jedyne, co możemy zrobić — rzekł Cyryl — to przejść zaraz przez połowę Amuletu, jaką mamy, zdobyć cały Amulet i wracać.

— Czy ja wiem? — wahała się Antea. — Czy to będzie w porządku? Może on nie zamierza nas oszukać? Może mu się coś przydarzyło?

— Przydarzyło — odparł Cyryl. — Skąd! Co zresztą mogło mu się zdarzyć?

— Nie wiem — rzekła Antea. — Może w nocy wdarli się włamywacze, zabili go przypadkiem i aby uniknąć wykrycia, zabrali to, co było w nim śmiertelne.

— A może — powiedział Cyryl — schowali go w którymś kufrze w składziku. Może pójdziemy sprawdzić? — dodał ponuro.

— Nie — wzdrygnęła się Janeczka. — Chodźmy opowiedzieć wszystko Piaskoludkowi. Zobaczymy, co o tym myśli.

— Lepiej spytajmy uczonego — poradziła Antea. — Jeżeli coś przydarzyło się Rekh-marze, rada uczonego będzie pożyteczniejsza niż słowa Piaskoludka. A uczoney, jak zwykle, pomyśli, że to tylko sen.

Zapukali do drzwi i na słowo „proszę” weszli. Uczony siedział przy nie rozpoczętym śniadaniu, a na wprost niego na fotelu zasiadł Rekh-mara.

— Tylko cicho — rzekł z powagą uczoney — bo inaczej sen zniknie. Dowiaduję się... Ach, czegoż to ja się dowiedziałem przed godziną!

— O świcie — powiedział kapłan — wyszedłem z kryjówki i gdy znalazłem się tutaj, wśród skarbów z mojego kraju, zostałem. Czuję się tu jak u siebie w domu.

— Oczywiście, wiem, że to sen — rzekł niespokojnie uczoney. — Ale co za sen, bogowie!

— Nie wzywaj bogów — poradził mu kapłan — bo nie potrafisz nad nimi panować. Jesteśmy już jak bracia — wyjaśnił dzieciom — i jego dobro jest mi równie drogie, jak moje własne.

— Opowiedział mi... — zaczął uczoney, ale przerwał mu Robert. Nie było czasu na dobre manieri.

— Czy opowiedziałeś mu — spytał kapłana — wszystko o Amulecie?

— Nie — odparł Rekh-mara.

— W takim razie opowiedz. On jest bardzo uczoney. Może poradzi nam, co mamy robić.

Rekh-mara zawahał się, potem zaś opowiedział. Ale, rzecz dziwna, żadne z dzieci nie mogło sobie później przypomnieć, co właściwie opowiedział. Być może użył jakichś czarów, aby zamącić im pamięć?

Gdy skończył, uczoney oparł w milczeniu głowę na rękę.

— Drogi Jimmy — łagodnie powiedziała Antea — nie martw się tym. Jesteśmy pewni, że znajdziemy to jeszcze dziś.

— Tak — rzekł Rekh-mara — a razem z tym może śmierć.

— To ma spełnić nasze najgorętsze pragnienie — wyjaśnił Robert.

— Kto wie — odparł kapłan — jakie niezbadane, a upragnione rzeczy znajdują się poza mroczną bramą.

— Przestań! — zawołała Janeczka, bliska płaczu.

Nagle uczoney podniósł głowę.

— A może — zaproponował — udać się w Przeszłość? W takiej chwili, gdy Amulet nie będzie strzeżony. Wyrażcie życzenie, aby być razem z nim i aby Amulet znalazł się pod waszą ręką.

Była to najprostsza rzecz w świecie. A nikt jakoś o tym nie pomyślał.

— Chodźmy — wykrzyknął Rekh-mara zrywając się. — Chodźmy w tej chwili!

— A czy ja mogę pójść z wami? — spytał nieśmiało uczoney. — To przecież tylko sen.

— Naturalnie, chodź, bracie — powiedział Rekh-mara.

Lecz Cyryl i Robert jednogłośnie zawołali:

— Nie!

— Nie byłeś z nami na Atlantydzie — dodał Robert — bo inaczej nie zapraszałbyś go.

— Drogi Jimmy — tłumaczyła Antea — nie nalegaj! Wrócimy, nim zdążysz zauważyć, żeśmy poszli.

— A on też?

— Musimy trzymać się razem — wyjaśnił Rekh–mara — bo jest tylko jeden całkowity Amulet, do którego ja i te dzieci mamy równe prawa.

Janeczka uniosła Amulet do góry i wszyscy z Rekh–marą na przedzie przeszli przez wielki łuk, w jaki talizman wyrósł po wymówieniu zaklęcia. Uczony dojrzał poza łukiem ciemność rozświetloną ogniem i dymem. Przetarł oczy. Ale wszystko to razem nie trwało dziesięciu sekund.

* * *

Kapłan i dzieci znaleźli się w małej, ciemnej komnacie. Przez niskie, kamienne wejście wpadał odbłask ruchomych świateł i słychać było liczne głosy śpiewające dziwny, powolny hymn. Wszyscy stali nasłuchując. Chwilami śpiew stawał się szybszy, a światło wzmagало się, jakby ktoś rozżarzał ognisko.

— Gdzie my jesteśmy? — szepnęła Antea.

— I w jakim czasie? — dodał Robert.

— To jest podziemie świątyni gdzieś na początku wiary w Amulet — odparł z drzeniem w głosie Egipcjanin. — Bierzcie Amulet i wracajmy. Zimno tu o zaraniu świata.

Wtem Janeczka poczuła, że jej ręka spoczywa na kamieniu czy na kamiennym stole, a pod ręką wyczuła coś zupełnie przypominającego talizman, jaki miała na szyi. Tylko że ten był grubszy. Dwa razy grubszy.

— Jest — powiedziała. — Mam go! — dodała głosem, którego sama nie mogła rozpoznać.

— Chodźmy — powtórzył Rekh–mara.

— Chciałbym, żebyśmy mogli obejrzeć świątynię — opierał się Robert.

— Wracajmy — nalegał kapłan. — Dokoła jest śmierć i potężne czary. Słuchajcie.

Śpiewające głosy brzmiały coraz uroczystej i głośniejszej, a światło się nasilało.

— Idą tu! — zawołał Rekh–mara. — Prędko, Amulet!

Janeczka uniosła Amulet do góry.

* * *

— Wciąż jeszcze przeciera pan oczy? — spytała Antea. — Nie widzi pan, żeśmy wrócili? Uczony patrzył na nich w zdumieniu.

— Antea! Janeczka! — rozległ się głos niani znacznie bardziej donośny i uroczysty niż zazwyczaj.

— Masz ci los! — mruknęli wszyscy.

— Niech pan dalej śni — powiedział uczonemu Cyryl — a my zaraz wrócimy. Jeżeli nie zejdziemy, niania przyjdzie tutaj. A ona nie będzie myślała, że Rekh–mara jest snem.

Zbiegli na dół. Niania stała w sieni. Trzymała w ręku depeszę.

— Ojciec i mama wracają! *Będziemy w Londynie o jedenastej, proszę przygotować pokoje według wskazówek listu.* Podpisane: *Rodzice.*

— Hura! Hura! Hura! — wykrzyknęli chłopcy i Janeczka. Tylko Antea nie mogła krzyżeć, bo była bliska płaczu.

— Więc to była prawda — szepnęła. — Spełniło się nasze najgorętsze życzenie.

— Tylko nie rozumiem, jak jest z tym listem — ciągnęła niania. — Nie dostałam przecież żadnego listu.

— Ach — powiedziała dziwnym głosem Janeczka — może to jeden z tych listów, które przysły wtedy wieczorem, pamiętacie, kiedy bawiliśmy się w „diabła w ciemności”, a ja włożyłam je do szuflady w przedpokoju... Zaraz — dodała wyciągając szufladę — są!

Był tam list do niani i drugi list do dzieci. Listy wyjaśniały, że ojciec przestał już być korespondentem wojennym i wraca do domu, a mama i Baranek spotkają się z nim we Włoszech i wrócą wszyscy razem. W listach było jeszcze, że Baranek i mama czują się doskonale i że przyjdzie depesza zawiadamiająca o dokładnym dniu i godzinie powrotu.

— Ładne rzeczy! — jęknęła niania. — Ale mnie urządziłaś, Janeczko! Będę miała pełno roboty przygotowaniem wszystkiego.

— Nie gniewaj się, nianiu! — objęła ją Janeczka. — Przecież to i tak wspaniale!

— Zaraz przyjdziemy i będziemy ci pomagać — dodał Cyryl. — Musimy tylko załatwić coś na górze i zaraz wracamy.

— Obejdzie się — odparła niania, ale z wesołym uśmiechem. — Ładna będzie z was pomoc, już ja wiem. W dodatku jest prawie dziesiąta.

* * *

Dzieci zaś miały istotnie coś do załatwienia na górze. Coś bardzo poważnego, co zabrało im znacznie więcej czasu, niż myślały.

Wpadły do pokoju chłopców i porwały Piaskoludka, pokrytego piaskiem i bardzo gniewnego.

— Mniejsza z tym, niech się złości — rzekła Antea — powinien być przy ostatniej naradzie.

— Uczony zwariuje pewnie, jak go zobaczy — dodał Robert.

Uczony jednak nie zwariował.

— Sen staje się coraz bardziej cudowny! — zawołał, gdy Rekh-mara wyjaśnił mu, kim jest Piaskoludek. — Śniłem już o nim kiedyś.

— Janeczka — powiedział Robert — ma połowę Amuletu, a ja mam cały. Pokaż, Janeczko.

Janeczka rozwiązała wstążeczkę — i położyła połowę Amuletu na stole pokrytym zakurzonymi papierami i glinianymi tabliczkami, pełnymi znaków podobnych do śladów ptasich nóżek.

Robert położył obok cały Amulet, Antea zaś łagodnym ruchem powstrzymała rękę uczonego, sięgającą już po „doskonały egzemplarz”.

W tej samej chwili, jak poprzednio na kapie łóżka, tak obecnie na zakurzonych papierach, połowa Amuletu zakolysała się, drgnęła, po czym jak stal przyciągana przez magnes zaczęła posuwać się coraz bliżej w stronę całkowitego Amuletu, dobytego z kieszeni Roberta. Następnie zaś, jak dwie krople deszczu łączą się na szybie, jak dwie kulki żywego srebra łączą się w jedną, połowa Amuletu, należącego do dzieci i do Rekh-mary, wtopiła się w całkowity Amulet. I teraz był już tylko jeden, doskonały i niewątpliwy Talizman.

— I tak powinno być — rzekł Piaskoludek przerywając zapierające dech w piersi milczenie.

— Tak — potwierdziła Antea — a nam spełniło się najgorętsze pragnienie serca. Ojciec, mama i Baranek wracają i będą tu za godzinę.

— A co będzie ze mną? — spytał Rekh-mara.

— Jakie jest najgorętsze pragnienie twego serca? — zapytała go Antea.

— Wielka i głęboka wiedza — odparł bez wahania kapłan. — Wiedza głębsza i większa niż jakiegokolwiek człowieka w moim kraju i w moim czasie. Ale wiedza zbyt wielka jest na nic. Jeśli wrócę do mego kraju i moich czasów, kto uwierzy w to, co widziałem w Przyszłości? Pozwólcie mi zostać tutaj i być wielkim wiedzącym o wszystkim, co było w

czasach tak żywych dla mnie, tak dawnych dla was, a o których wasi uczeni bez przerwy snują domysły bardzo często, jak mój brat powiada, daremne.

— Na twoim miejscu — odezwał się Piaskoludek — poradziłbym się w tej sprawie Amuletu. Jest rzeczą niebezpieczną próbować żyć w nie swoim czasie. Nie można oddychać powietrzem o tysiące wieków późniejszym od twoich płuc i nie odczuć, prędzej czy później, następstw. Zakreśl mistyczny krąg i poradź się Amuletu.

— Ach, co za sen! — zawołał uczony. — Drogie dzieci, jeśli mnie lubicie — a myślę, że tak, w snach i poza snami — zakreście mistyczny krąg i zasięgnijcie rady Amuletu.

Tak też uczynili. I jak kiedyś, kiedy świeciło wspaniałe sierpniowe słońce, rozmieścili się kręgiem na podłodze. Na dworze była gęsta, żółta mgła, która dziwnym zrządzeniem losu zawsze zjawiała się o tej porze. Przekupnie wykrzykiwali coś na ulicy.

— Ur Hekau Seczeh — wypowiedziała Janeczka zakłęcie. Natychmiast światło zgasło i zacichły wszelkie odgłosy. Panowało zupełne milczenie i ciemność, głębsze niż wszelka ciemność i wszelkie milczenie, jakie moglibyście sobie kiedykolwiek wyobrazić. Było tak, jakby wszyscy naraz doszczętnie ogłuchli i oślepli.

Po czym z głębi mroków ukazało się światło, a z głębi ciszy rozległ się głos. Światło było zbyt słabe, by przy nim cokolwiek zobaczyć, a głos zbyt cichy, by usłyszeć, co mówił. Ale i światło, i głos wzmagaly się. Światło było takie, jakiego żaden żywy człowiek nie widział, a głos był najłagodniejszym i najbardziej przejmującym głosem w świecie. Dzieci opuściły wzrok. Tak też uczynili kapłan i uczony.

— *Przemawiam do was* — rzekł głos. — *Co chcecie usłyszeć?*

Nadal panowało milczenie. Nikt nie miał odwagi się odezwać.

— Co mamy zrobić z Rekh–marą? — spytał nagle i stanowczo Robert. — Czy ma wracać przez Amulet do swoich czasów, czy...

— *Nikt nie może teraz przejść przez Amulet* — odparł straszliwy, przepiękny głos — *do żadnego kraju i czasu. Tylko kiedy Amulet był niezupełny, było to możliwe. Ludzie mogą jednak przejść przez doskonały Talizman do związku doskonałego, który jest poza czasem i przestrzenią.*

— Czy byłbyś łaskaw — poprosiła Antea — mówić tak, abyśmy mogli zrozumieć? Piaskoludek wspomniał, że Rekh–mara nie zdoła tutaj żyć, a jeżeli nie może wrócić... — urwała, gdyż serce biło jej zbyt mocno.

— *Nikt nie może żyć w miejscu i w czasie sobie nie przeznaczonym* — odparł cudowny głos. — *Ale duch może przetrwać, jeśli to tym innym czasie i miejscu znajdzie istotę tak sobie bliską, że będzie mógł się z nią zespolic.*

Dzieci zniechęcone spojrzały po sobie. Ale wzrok Rekh–mary i wzrok uczonego spotkały się obiecując sobie serdecznie wiele rzeczy tajemnych i pięknych.

Dostrzegła to Antea.

— Ale przecież — powiedziała, nie zastanawiając się nad tym, co mówi — kochany Jimmy nie jest taki jak Rekh–mara. Na pewno nie. Nie chcę być niegrzeczna, ale z pewnością tak nie jest. Drogi Jimmy ma duszę dobrą, szlachetną jak złoto...

— *Nic, co nie jest dobre, nie może przejść pod podwójnym łukiem doskonałego Amuletu* — odparł głos. — *Jeśli obydwaj chcą tego, wymówcie zakłęcie i pozwólcie dwóm istnieniom stać się jednym na zawsze.*

— Czy mam wymówić? — spytała Janeczka.

— Tak.

— Tak.

Były to głosy egipskiego kapłana i uczonego, żywe, gorące, nabrzmiałe nadzieją i pragnieniem rzeczy wielkich. Wtedy Janeczka wzięła od Roberta Amulet, uniosła go w górę, trzymając między kapłanem i uczonym, i po raz ostatni wypowiedziała zakłęcie:

— Ur Hekau Seczeh!

Doskonały Amulet wyrósł w podwójny łuk, a obydwie te łuki wspierały się na sobie, tworząc razem ogromne A.

— A znaczy Amon — szepnęła Janeczka — a on był jego kapłanem.

— Tss! — syknęła Antea.

Podwójny łuk rozjarzył się i płonął zielonym światłem, jakie rozbłysło, kiedy zaklęcie wypowiedziane zostało po raz pierwszy. Podwójny łuk zabłysnął blaskiem jaśniejszym, choć łagodniejszym niż tamto światło, o niebywalej wprost wspaniałości.

— Chodźmy! — zawołał Rekh–mara wyciągając ręce.

— Chodźmy! — zawołał uczony i również wyciągnął ręce.

Obydwaj ruszyli naprzód pod jarzącym się, wspaniałym łukiem doskonałego Amuletu.

Nagle Rekh–mara drgnął i jak stal przyciągana przez magnes zaczął pod czarodziejskim łukiem przybliżać się coraz bardziej do uczonego. I jak dwie krople deszczu łączą się na szybie, jak łączą się dwie kulki żywego srebra, tak Rekh–mara, kapłan świątyni Amona Ra, został wchłonięty i znikł tworząc jedno z Jimmym, dobrym, szlachetnym uczniem.

Wówczas wróciło nagle światło dzienne i ukazało się grudniowe słońce. Mgła zaś znikła jak sen.

Amulet, znów mały, ale całkowity, spoczywał w ręku Janeczki, obok była reszta dzieci, Piaskoludek i uczony. Natomiast Rekh–mary już nie było...

* * *

— Czy Rekh–mara jest teraz w Jimmym? — spytała Janeczka.

— Wszystko, co w Rekh–marze było dobrego — odparł Piaskoludek.

— Jego najgorętsze pragnienie powinno się też spełnić — powiedziała Antea wskazując na uczonego.

— Jego najgorętszym pragnieniem — wyjaśnił Piaskoludek — jest doskonały Amulet, który trzymacie w ręku. I był nim od pierwszej chwili, odkąd zobaczył odłamaną połówkę.

— Nasze pragnienie spełniło się — szepnęła Antea.

— Tak — rzekł Piaskoludek, bardziej zirytowany niż kiedykolwiek — wasi rodzice już wracają. Ale co będzie ze mną? Ludzie odnajdą mnie i zrobią ze mną nie wiedzieć co. Jestem pewien, że każą mi siedzieć w Parlamencie, w okropnym miejscu, gdzie jest pełno błota, ale gdzie wcale nie ma piasku. Ach, ta piękna świątynia Baalbeka na pustyni! Pełno tam ślicznego piasku i żadnej polityki! Chciałbym tam być, bezpieczny, w Przeszłości.

— Ja też chciałbym, żebyś tam był — odparł bez namysłu, ale uprzejmie uczony.

Piaskoludek nadął się, ślimaczymi oczkami spojrzał na Anteę (bardzo serdecznie, jak zawsze potem mówiła) — i znikł.

— No tak — odezwała się po chwili milczenia Antea. — Myślę, że jest szczęśliwy. Jediną rzeczą, na której zawsze mu zależało, był piasek.

— Drogie dzieci — powiedział uczony — musiałem chyba spać. Miałem niezwykle wprost sen.

— Mam nadzieję, że był przyjemny — odparł grzecznie Cyryl.

— Tak. Czuję się teraz nowym człowiekiem. Zupełnie nowym człowiekiem.

Przy drzwiach frontowych rozległ się dzwonek. Słysząc było otwieranie drzwi, a potem głosy.

— Przyjechali! — zawołał Robert i cztery serca mocno zabiły.

— Proszę! — krzyknęła Antea, wydzierając Janeczce Amulet i wciskając go w rękę uczonego. — Proszę, on należy do pana, tylko do pana. Prezent od nas, bo pan jest Rekh–marą, no i... Chciałam powiedzieć — bo pan jest taki kochany.

Uścisnęła go krótko, ale serdecznie i cała czwórka popędziła po schodach na dół, gdzie dorożkarz wnosił walizki i gdzie stali w podróżnych płaszczach ci, którzy stanowili najgorętsze pragnienie ich serc mama, ojciec i Baranek.

Mój Boże! — zawołał uczony, gdy pozostał sam. — Co za skarb! Drogie dzieci! To chyba ich serdeczność napęłniła mnie taką przenikliwością. Zdaje mi się, że rozumiem teraz mnóstwo nowych rzeczy. Takich, których nigdy przedtem nie rozumiałem. Kochane, drogie dzieci!